

Saulovne
w 6

KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania***PARYŻ****Nr 3/510****1990**• *« La Culture » • Revue mensuelle •*LEOPOLITA: **NAZWAĆ PO IMIENIU**A. TUSZYŃSKA: **PAMIĘĆ NA TALONY**

M. FELDHUZEN:

AMERYKA ŁACIŃSKA W OGNIUW. CHARŁAMP: **DZIENNIK ZEWNĘTRZNY**

J.M. BOCHEŃSKI:

DUCHOWA SYTUACJA CZASU

SPIS RZECZY

Leopolda:	<i>Nazwać po imieniu</i>	3
Agata Tuszyńska:	<i>Pamięć na talony</i>	13
Jarosław Abramow-Newerly:	<i>Gdyby Bata kupił Stalina</i>	26
WIERSZE		
Czesław Miłosz:	<i>Powrót</i>	30
Adam Lizakowski:	<i>Pieszycze miasto. — Dwa wiersze pieszyckie</i>	32
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Maciej Feldhuzen:	<i>Ameryka Łacińska w ogniu</i>	39
Andrzej Krzeczunowicz:	<i>Czy nowe Święte Przymierze?</i>	51
WYWIADY KULTURY		
Aureliusz M. Pedziwol:	<i>Jakaś Afryka, proszę Pana! (Rozmowa z Józefem Kuśmierkiem)</i>	56
Maciej Kozłowski:	<i>Wielobarwny bukiet kwiatów. (Rozmowa z Włodzimierzem Mokrym)</i>	65
KRAJ		
Witold Charlamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	77
Krzysztof Pomian:	<i>Książka w niebezpieczeństwie</i>	96
SĄSIEDZI		
(amp):	<i>Jesień praska 1989</i>	100
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	105
Grzegorz Ziętkiewicz:	<i>Kronika niemiecka</i>	111
KRONIKA KULTURALNA		
J.M. Bocheński:	<i>Duchowa sytuacja czasu</i>	116
Janina Katz Hewetson:	<i>Piotr Rawicz, pisarz zapomniany</i>	125
NAGRODY		
—	<i>Nagroda Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych dla Jerzego Giedroycia — Przemówienie Tadeusza Nowakowskiego</i>	134
Dr h.c. Heinz Friedrich:	<i>List do red. Giedroycia</i>	140
•		
—	<i>Różne nagrody za 1989 r.</i>	141
KSIĄŻKI		
Renata Gorczyńska:	<i>Archipelag New York (IV)</i>	143
Benedykt Heydenkorn:	<i>„Ameryka kanadyjska”</i>	151
—	<i>Nadane nowości wydawnicze</i>	154
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki amerykańska i kanadyjska</i>	156
Z OSTATNIEJ CHWILI		
—	<i>Japońska pomoc gospodarcza dla Polski</i>	164
•		
St. Bereś, K. Braun, J. Hurwic, Leopolda, J. Maurer, T. Mianowicz, J. Prokop, L. Soliński:	<i>Listy do Redakcji</i>	166
Zb. Brzeziński:	<i>Sprostowanie</i>	173
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	174

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1990

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Inż. Mieczysław Bornet, Toronto ON (Kanada), po raz 22-gi ..	F. 525,00
Tomira Buxell, Wellesley, MA (USA), po raz 15-ty — \$106,00	F. 705,00
Stefan J. Ginilewicz, Backersfield, CA (USA), po raz 12-ty — \$50,00	F. 332,50
Dr Teodor Goroszeniuk z Matką, Londyn — zamiast kwiatów na grób Leonii Zubowej z domu Jędrzejak, zmarłej w Paryżu — £ stg. 20,00	F. 210,00
Leon Grobelny, Dearborn, MI (USA), po raz 11-ty — \$22,00	F. 146,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 30-ty — \$25,00 ...	F. 166,00
Dr Jacek Jędruch, Summit, NJ (USA), po raz 16-ty — \$25,00	F. 166,00
Dr S. Judek, Ottawa, ON (Kanada), po raz 14-ty — \$ can. 70,50	F. 338,00
J.W.S., Los Angeles, CA (USA), po raz 17-ty — \$14,00	F. 93,00
S. Kazmierski, Ditzingen (RFN) — DM 20,00	F. 68,00
Halina Kościuch, Sterling Hts., MI (USA) — dla uczczenia pamięci Męża, Mieczysława i Syna, Henryka — \$30,00	F. 200,00
L. Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 11-ty	F. 500,00
Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz 17-ty	F. 300,00
Tad de Laurent, Bielefeld (RFN), po raz 15-ty — DM 30,00 .	F. 102,00
Zenon Lortz, Chicago, IL (USA) — zamiast kwiatów na grób Leona Gepperta — \$25,00	F. 166,00
Kazimierz Mamak, Knutange-Nilwange (Francja)	F. 100,00
Wilhelm Matykiewicz, Old Bethpage, NY (USA), po raz 17-ty — \$12,00	F. 80,00
Witold i Renata Mikułowski, Conacry (Gwinea), po raz 11-ty..	F. 605,00
Józef F. Morelewski, Evergreen Park, IL (USA), po raz 18-ty — \$25,00	F. 166,00
Michał S. Ochalski, Highland Park, IL (USA), po raz 16-ty — \$25,00	F. 166,00
Pamięci długoletniej prenumeratorki śp. Marii Morawskiej z Kanady	F. 310,00
Zbigniew Pietrzyk, Lausanne (Szwajcaria), po raz 6-ty	F. 30,00
Andrzej Pleszczyński, Santa Barbara, CA (USA), po raz 18-ty — \$100,00	F. 665,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 47-my — \$200,00	F. 1.330,00
Teresa Romer, St. Eustache, PQ (Kanada), po raz 16-ty — \$can. 52,00	F. 250,00
Stefan Rosé, Paryż, po raz 11-ty	F. 1.000,00
Edward L. Salamoński, St. Petersburg, FL (USA), po raz 16-ty i 17-ty (za miesiące grudzień 89, styczeń i luty 90 r.) — po \$20,00 = \$60,00	F. 390,00
Michał Sienko, South River, NJ (USA), po raz 14-ty — \$10,00	F. 65,00
Ryszard Snarski, Montreal, PQ — zamiast kwiatów na groby Przyjaciół poległych na Warkucie i w innych miejscach „Archipelagu” — \$can. 50,00	F. 240,00
Dr Władysław W. Socha, Nyack, NY (USA), po raz 13-ty — \$50,00	F. 325,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 175)

Nazwać po imieniu

Jak wiadomo, wszyscy w Polsce, PZPR-u nie wyłączając, są zwolennikami gospodarki rynkowej, czyli po prostu kapitalizmu. Zdawałoby się zatem: cóż prostszego. Tymczasem okazuje się (!?), że nie jest to takie łatwe i nawet ci, którzy jak Stefan Bratkowski pisali, żeby nie straszyć kosztami, bo wcale nie muszą być wielkie, spuścili z tonu i przyznają, że czeka nas trudny okres, a rezultat końcowy wcale nie jest pewny.

W istocie swej kapitalizm — jedyne rozsądne wyjście dla naszej gospodarki — jest u nas zarazem nienarodzony i zagrożony, lub mówiąc uczenie prenatalnie zainfekowany. Spróbujmy tedy uporządkować owe poważne niebezpieczeństwa, zagrażające naszej wielkiej nadziei.

Zagrożenie wymyśleniowe

Pisze się ostatnio dość często, iż jedną z naczelných wad socjalizmu jest to, że został wymyślony za biurkiem, podczas gdy poprzednie ustroje, a w szczególności gospodarka rynkowa, powstawały w sposób organiczny. Tezę tę po raz pierwszy sformułował Stalin, tyle że to, co uważamy za wadę socjalizmu, on wynosił jako szczególną jego zaletę. Ale mniejsza o anegdotyczne drobiazgi.

Nie jest oczywiście prawdą, że gospodarka rynkowa powstawała w sposób bezmyślny i jedynie przez przypadek tak się nad podziw udało. Zwolennikom przypomnianej tu przed chwilą tezy chodzi zapewne o to, że wpływ XVIII- i XIX-wiecznej myśli ekonomicznej na rozwój kapitalizmu był ograniczony. Podobnie rzecz miała się z rolą państwa, z ustawodawstwem i

władzą wykonawczą, które „bogactwu narodów” sprzyjały lub przeszkadzały. Te poprawki uwzględniając, możemy powiedzieć, że w niektórych krajach europejskich oraz w Ameryce kapitalizm powstawał w sposób organiczny, nie był „wymyślony”. Fakt, że te właśnie kraje po dziś dzień należą do najbogatszych nie jest, wolno mniemać, przypadkiem.

Niestety, ta szczęśliwa faza minęła i to bezpowrotnie. Umownie można powiedzieć, że od rewolucji Meiji w Japonii wszystkie kraje zafowane skazane są na to, by wymyśleć, w jaki to sposób do tego kapitalizmu dotrzeć. A już szczególnie ciężki wyrok w tym zakresie spadł na społeczeństwa, którym dane było żyć pod rządami komunistów i zaznać dobrodziejstw socjalistycznej gospodarki. Wszystkie absurdy tej ekonomiki stają się „sensowne”, jeśli założyć, iż ich celem naczelnym, obok utrzymania władzy przez komunistów, było uniemożliwienie, a w każdym razie maksymalne utrudnienie powrotu do normalnej czyli rynkowej gospodarki.

Toteż istotnym i nie dającym się ominąć zagrożeniem dla nowych rządów w Polsce — i w innych krajach Europy Środkowej — jest to, że muszą one wymyśleć, jak dojść do gospodarki, do której najlepiej dochodzić nie przy pomocy wymyślania ekonomicznych modeli, a przez możliwie swobodne działania rzeczywistych przedsiębiorców, handlowców i bankierów.

Miejmy nadzieję, że mimo wszystkich niekonsekwencji „plan Balcerowicza” okaże się skutecznym pomysłem na dojście do gospodarki rynkowej. Bowierniebezpieczeństwo tego, co nazwałem zagrożeniem wymyśleniowym polega m.in. na tym, że zły pomysł musi pomnażać siłę pozostałych zagrożeń. Zdarza się niestety, i nie wolno nam o tym zapominać, że dobry pomysł został źle wykonany. Bywa to tematem ożywionych dyskusji na seminariach historyków, politologów i ekonomistów. Tak się jednak składa, że społeczeństwa, na których ciele źle wykonano dobry pomysł, rzadko wykazują zaciekawienie tego rodzaju fascynującą tematyką.

Zagrożenie komunistyczne

Uważa się na ogół, że w swej drodze do obalenia rządów komunistów i gospodarki socjalistycznej, społeczeństwa Europy Środkowej przekroczyły to, co w lotnictwie nazywa się *point of return*. Że, mówiąc inaczej, nie grozi nam powrót do ustroju socjalistycznego. Dziś, pod koniec grudnia 1989 r., teza ta brzmi o wiele bardziej prawdopodobnie niż dwanaście miesięcy temu.

Żadną jednak miarą nie wolno jej uznać za pewnik. W swoim *surfingu*, nawet na szczycie fali „reformatorskiej”, komuniści nie twierdzą, iż zarzucili nadzieję na odzyskanie władzy. Owszem, zapewnijają, że chcą się zmienić, że nie uciekną się do użycia siły, że właściwie już są kulturalnymi, prawdziwie europejskimi socjalistami. I że gdy tylko okrzepną, to ubłagani przez umęczone społeczeństwo zgodzą się zafundować nam nowoczesny ustrój sprawiedliwości społecznej (chodzi zapewne o socjalizm z ludzką twarzą debila). Z powyższych zapewnień wierzę jedynie ostatniemu. I dlatego sędzę, że mimo wszystkich naszych — tj. polskich i w ogóle środkowoeuropejskich — sukcesów ostatnich miesięcy, tygodni, dni, nad rodzącą się gospodarką rynkową nie przestało się unosić widmo komunizmu.

Napisałem to, nie wspominając o istnieniu Związku Sowieckiego. A istnieje.

Zagrożenie nomenklaturowe

Jest ono pokrewne, choć nie tożsame z komunistycznym. Pokrewne, bowiem zasada nomenklatury i ludzie nomenklatury spłodzeni zostali przez komunizm, odmienne zaś dlatego, że ściśle ideologiczna jest zasada nomenklatury. Ludzie nomenklatury skłonni są dziś prezentować samych siebie wedle czterech wzorów:

- byłem ideowy i nieco naiwny;
- płaciłem jedynie składki, bo miałem ciężko chorą żonę;
- byłem Wallenrodem (K.T. Teopltiz, Manfred Gorywoda);
- jestem znakomitym fachowcem i ratowałem com tylko mógł.

Toteż nic dziwnego, że większość ludzi nomenklatury wita nowych, „mazowieckich” zwierzchników naręczami uśmiechów i zachowuje się jak bohater nieznaney im zresztą, a znakomitej komedii „Śmierć Tarełkina”: gdy modny był postępek — Tarełkin kroczył na przodzie, a postępek trzy kroki za nim, gdy modna była „kwestia kobieca” — Tarełkin szlochał, że nie jest kobietą.

Mniejsza jednak o problemy psychologiczne. Nie ulega wszak wątpliwości, że dowolny „aparatus” składa się w znacznej mierze z oportunistów i inaczej być nie może. To zaś, że oportunizm totalitarny i posttotalitarny jest wyjątkowo niesmaczny, zaliczyć możemy spokojnie do siódmej dziesiątki naszych kłopotów.

Zagrożenie nomenklaturowe nie jest zatem natury estetycznej, a czysto praktycznej.

Po pierwsze, znaczna część stanowisk stworzonych przez zasadę nomenklatury jest całkowicie zbędna. Nie należy wymieniać „nie naszych” na „naszych”, a po prostu zlikwidować co najmniej kilkadziesiąt tysięcy „posad”. Osobiście sądzę, że więcej.

Po drugie, znaczna część ludzi zajmujących różne potrzebne stanowiska po prostu się do tego nie nadaje. Jakaś ich część będzie sabotowała przejście do gospodarki rynkowej celowo, większość jednak po prostu dlatego, że nie potrafi funkcjonować inaczej niż w sposób, który umożliwił im dotychczasowe kariery.

Po trzecie, ludzie nomenklatury — a wraz z rodzinami jest tego kilka milionów — stworzyli trwałą, sprawną i całkowicie nieformalną sieć wzajemnych powiązań. Są czymś w rodzaju mafii, której siła polega m.in. na tym, że trudno dowieść, iż istnieje.

Po czwarte, rząd Mazowieckiego — a należy przypuszczać, że niezależnie od różnic także pozostałe nowe władze w krajach Europy Środkowej — jest za słaby, by móc wypowiedzieć wojnę nomenklaturze. Nadto zaś nie dysponuje po temu odpowiednią ilością wykwalifikowanych zastępców. Fakt, iż ktoś spędził kilkanaście miesięcy w podziemiu lub i kilka lat w więzieniu nie stanowi żadnej podstawy do wnioskowania na temat jego uzdolnień jako ewentualnego prezydenta dużego miasta, dyrektora okręgowego zarządu lasów czy choćby gajowego. (Powyższe nie oznacza, że uważam politykę rządu Mazowieckiego, OKP-u i KK w stosunku do nomenklatury za bezbłędną, ale to inna sprawa).

Tak tedy istota tego, co nazywam zagrożeniem nomenklaturowym, zasadza się na fakcie, iż każdy postkomunistyczny rząd, zmierzający do re-kreacji kapitalizmu, musi to czynić przy pomocy aparatu, który albo przez ową operację jest zagrożony, bo ulec musi likwidacji, albo do jej przeprowadzenia zupełnie się nie nadaje.

Zagrożenie socjaldemokratyczne

Uważam, iż nie ma normalnego życia politycznego bez silniejszej lub słabszej partii socjaldemokratycznej, która od czasu do czasu wygrywa wybory i tworzy lub współtworzy rząd. Z punktu widzenia interesu społecznego pożądane jest, by była to partia Żuławskiego i Pragiera, a nie Cyrankiewicza i Matuszewskiego. Zarazem jednak sądzę, iż szanse na powstanie takiej socjaldemokracji są w dzisiejszej Polsce niewielkie. A to dlatego, że to, co powstanie przybierając nazwę socjaldemokracji, nie

wyrośnie z ducha Liebermana, Pużaka, Kurta Schumachera, Guy Molleta czy Ben Guriona, a z reklamowanego już sojuszu części „Solidarności” z „reformatorskim” skrzydłem partii komunistycznej. Ale o tym obszerniej kiedy indziej.

Mówiąc o zagrożeniu socjaldemokratycznym, mam na myśli nastroje i przeświadczenia znacznej części robotników oraz inteligencji, ludzi, którzy do żadnego stronnictwa politycznego nie należeli i należeć nie zamierzają. Owe przeświadczenia i nastroje można bez obawy o zniekształcenie przedstawić w następujących punktach:

1. Polski *nie stać na thatcheryzm*, który dobry był w Anglii — my natomiast musimy utrzymać państwo opiekuńcze.

2. Własność *naprawdę uspołeczniona* lepsza jest od własności indywidualnej i na pewno się sprawdzi, czy to w postaci banków spółdzielczych, czy w postaci „akcjonariatu robotniczego”, czy choćby jako *prawdziwy* samorząd robotniczy.

Otóż teza pierwsza oparta jest na doskonałym pomieszanu przyczyn oraz skutków z równie znakomitą nieznanością historii. Thatcheryzm zastosowano w Wielkiej Brytanii nie dlatego, że była ona bogata, a dlatego, że w rezultacie wprowadzenia w życie coraz bardziej obłąkanych pomysłów *welfare state*, wywodzących się z łona lewicy *Labour Party*, Zjednoczonemu Królestwu groziła ruina. (Dla ścisłości: pierwsze, nieśmiałe posunięcia zmierzające do ograniczenia wszechwładzy opanowanych przez radykałów i trockistów związków zawodowych zaczął wprowadzać labourzystowski rząd Wilsona). Jak dotychczas, nigdy nie działa się tak, by „budowanie kapitalizmu” zaczynało od państwa opiekuńczego. Nic nie wskazuje na to, by Polska mogła i powinna być w tym zakresie doświadczalnym polemiką choćby i samego Pana Boga. (Kto jak kto, ale On na pewno wie, czym to się musiało skończyć).

Nie znaczy to, że rząd Mazowieckiego (czy jakikolwiek inny) ma z dnia na dzień zlikwidować renty, emerytury, przedszkola i muzea (elementy tego, co po drugiej wojnie światowej nazwano państwem opiekuńczym, wprowadził w Niemczech jeszcze Bismarck). Natomiast możliwie szybko powinniśmy odstąpić od tego dziedzictwa po komunistach, które nazwałem kiedyś „zbełkarconym państwem opiekuńczym”. Przykładowo: nie jest prawdą, jakoby opieka lekarska była w Polsce bezpłatna. Płacimy za nią przez całe dorosłe życie, od chwili gdy zaczynamy pracować. W rezultacie zaś nasze żony, siostry i córki leżą na oddziałach położniczych, na których w sto dwadzieścia pięć lat po śmierci dr. Soemmelweissa gorączka połogowa nie należy do rzadkości! Więc może na początek pozwólmy sobie na luksus kilkunastu prywatnych szpitali i sanatoriów, które będą miały obowiązek leczenia 15% pacjentów

za darmo. Jakoś już oni to sobie skalkulują i może obejdzie się bez płacenia niewiarygodnych „kubanów” niewiarygodnie chamskim salowym. Tyle o państwie opiekuńczym, na które, w odróżnieniu od Anglii — możemy sobie ponoć pozwolić.

A teraz o tezie, że własność *naprawdę uspołeczniona* jest lepsza od własności indywidualnej. Lepsza, to znaczy co? Lepiej pomnażająca zamożność społeczeństwa jako całości? Cokolwiek miałyby znaczyć „prawdziwie uspołeczniona” — a myślę, że nie znaczy nic — jest to albo nonsens, albo fałsz.

Powtórzę tu to, co pisałem kilka lat temu: jeśli grupa ludzi chce założyć spółdzielczą stocznnię rybacką — proszę bardzo. Jeśli jednak spółdzielnia ta łamałaby stosowne przepisy prawne lub domagała się preferencji z tytułu tego, że jest spółdzielnią, a więc „własnością uspołecznioną” — co to, to nie! Resztę zaś niech reguluje konkurencja. Żadnego bankrutującego przedsiębiorstwa nie wolno ratować przy pomocy argumentu, że działa tam samorząd robotniczy.

Zagrożenie utopistyczne

„A on nie Konrad, on nie
Gustaw,
Nie Króla Ducha dalszy
ciąg”.

J. Tuwim

Z pozoru podobne jest ono do socjaldemokratycznego, stąd też niektórzy socjaldemokraci korzystają z argumentacji, o której za chwilę. Wydaje się jednak, że to, co nazywam zagrożeniem utopistycznym, należy wyodrębnić z jednego choćby powodu: ludzie, których będę tu nazywał utopistami, nie muszą się uważać za socjaldemokratów i mogą się przyznawać do różnych, w tym tzw. pravicowych, opcji politycznych. Z reguły zresztą deklarują się jako zwolennicy prywatyzacji. Dodają do tego tylko jedno zastrzeżenie: czy ten nasz kapitalizm musi być taki pierwotny, pazerny, okrutny?

Prywatnie mogę nie lubić prymitywizmu, łąpczywości i okrucieństwa, a tak się nawet składa, że nie lubię. Chodzi jednak nie o osobiste sympatie czy antypatie, a o realną ocenę sytuacji kraju i możliwie trzymające się ziemi prognozy.

Utopijność przedstawionego przed chwilą zastrzeżenia jest trojakiej natury. Po pierwsze, z reguły operuje czasem terażniejszym, tj. nieświadomie sugeruje, że oto mamy już w Polsce gospodarkę rynkową. A nie mamy. Po drugie, nie proponuje

żadnej recepty na kapitalizm elegancki, nie myślący o zysku oraz zajmujący się głównie likwidacją ubóstwa.

Po trzecie wreszcie, grymaśnicy, o których mowa, narzekający na spekulację, nadmierne (?) bogacenie się oraz łamanie prawa, jakoś zapominają, że wspomniane zjawiska stanowią w większym jeszcze stopniu właściwość socjalizmu niż kapitalizmu. W socjalizmie bowiem nie sposób jest wzbogacić się w sposób legalny, tj. w zgodzie z obowiązującym prawem, podczas gdy w warunkach gospodarki rynkowej jest to w pełni możliwe. *De facto*, życie w socjalizmie wyposażone jest w wiele obrzydliwych cech pierwotnego kapitalizmu, tyle jedynie, że nie posiada żadnych jego zalet.

Nie jest zresztą prawdą, że czekają nas wszystkich złe cechy kapitalizmu dziewiętnastowiecznego. Wątpliwe jest np., by zatrudniano u nas dzieci; ostatnio zresztą uprawiali ten proceder komuniści, choć akurat nie w Polsce. A niewątpliwie doświadczymy wielu arcydziwnych cech rodzącego się kapitalizmu. Na jedno trzeba będzie przystać, inne rozsądnie temperować. Na jedną tylko nie wolno się pod żadnym pozorem zgodzić: na dalsze niszczenie przyrody! Na to nas rzeczywiście nie stać. W tym punkcie całe ustawodawstwo musi być nastawione na kapitalizm najnowocześniejszy i tak czysty, jak powietrze w Zakopanem w dniu, w którym po raz pierwszy pojawił się tam dr Chałubiński.

Zagrożenie nacjonalistyczne

Otóż wedle niektórych, nie wiem jak licznych, ale na pewno hałaśliwych ugrupowań „narodowych”, Polsce grozi to, że zostanie „wysprzedana” i stanie się kolonią międzynarodowego, tj. żydowsko-niemieckiego kapitału.

Ten sposób oddziaływania na opinię publiczną groźny jest z trzech powodów.

Proponuje nierealny model gospodarki autarkicznej. Odwraca uwagę od faktycznego zagrożenia, polegającego na tym, że Polska wcale nie jest takim atrakcyjnym miejscem, w które warto inwestować pieniądze, a na pewno jest mniej atrakcyjna niż Węgry lub Czechosłowacja.

Odwołuje się do silnych resentymentów antyradzieckich. Nam zaś pilnie potrzebne są nie odruchy, a przemyślana polityka gospodarcza. W tym zakresie „sprawa niemiecka” wymaga odrębnej refleksji. Tu zanotuję tylko dwie uwagi.

Po pierwsze, nie ulega wątpliwości, że w związku ze zmianami w NRD preferencje polityki gospodarczej Republiki Federalnej ulegną istotnym, a niekorzystnym dla Polski zmianom.

Po drugie, jeśli ktoś wyobraża sobie, iż należy zmierzać do sytuacji, w której polskiej spółce wolno będzie kupić sanatorium w Truskawcu, zaś niemieckiej nie wolno będzie nabyć jakiegoś zakładu leczniczego w Kudowie, to jest po prostu głupcem. Głupcy są niebezpieczni w ogóle, ale szczególnie groźni są w okresach trudnych.

Zagrożenie rodzinne

Co innego jest aprobować nawet drastyczne środki, mające na celu stworzenie gospodarki rynkowej, a co innego dowiedzieć się, że brat czy szwagier stali się bezrobotnymi. Politykowi nie wolno sobie wyobrażać, że psychologiczny efekt bezrobocia — a będzie ono czymś nieodzownym i na dłuższą metę wielce pożytecznym — ogranicza się jedynie do osoby, która utraciła pracę, jej współmałżonka i nieletnich dzieci. Jeśli rządowe prognozy mówią o 500.000 bezrobotnych — a myślę, że powinno ich być więcej — to psycho-społeczny efekt takiego stanu rzeczy musi objąć, z większą lub mniejszą siłą, co najmniej dwa miliony ludzi. Mówię oczywiście o efektach negatywnych. Pozytywne, bodźcowe, są oczywiste i na omawianie ich w tym artykule brak miejsca.

Zagrożenie populistyczne

Pisze się o nim bodaj czy nie najczęściej, choć na ogół z niejakim zażenowaniem. Autorzy tych rozważań nie są bowiem wolni od przeświadczenia, że Polacy to najwspanialszy naród na świecie, a głupio się jakoś przyznać do tego, że znaczna część tego wspaniałego narodu może pewnego dnia w porywie niekontrolowanego gniewu zniszczyć jedyną szansę na wydobyć się z socjalistycznego bagna. (Groźba prowokacji? Prawdopodobna. Ale sprowokować można jedynie to, co jest na prowokację podatne. Nie ludźmy się jednak, do wybuchu może dojść i bez prowokacji. Może się okazać, że wystarczy szok inflacyjny).

Nie sądzę jednak by zagrożenie populistyczne sprowadzało się do groźby eksplozji. Równie, jeśli nie groźniejsza jest masowa, choć niezorganizowana odmowa wejścia w nowy układ funkcjonowania gospodarki i społeczeństwa. Gdyby do tego doszło, zagrożenie populistyczne automatycznie musi sprzążyć się z ostatnim, a najgroźniejszym z tu wymienionych.

Zagrożenie kulturowe

Łatwo byłoby uznać je za rezultat czterdziestu pięciu lat rządów komunistów, czyli sowietyzacji. Łatwo, ponieważ sowietyzacja stanowi nader istotny składnik tego, co nazwałem zagrożeniem kulturowym. Komuniści, czy to rządząc danym społeczeństwem, czy wpływając na ludzi w krajach należących do ich imperium, z reguły posługują się zespołem dwojakiego rodzaju chwytów psychologicznych: odwołują się do złych cech danego człowieka czy danej kultury narodowej (a każda takowe posiada) oraz dokonują, głównie przy pomocy nowomowy, takiego zniekształcenia dobrych intencji, by zmieniły się one we własne przeciwieństwo. W każdym indywidualnym przypadku można to nazwać praniem mózgu, dodać jednak do tego należy koniecznie, że jest to operacja, do której pacjent zgłasza się sam.

Otóż, w przypadku kultury polskiej komunizm do perfekcji doprowadził jedną jej cechę negatywną — mianowicie niegospodarność.

Zdaję sobie sprawę, że w tym miejscu okrzyczony zostanie wrogiem, paszkwilantem, obcym elementem. Trudno. Ponieważ jednak nie chcę nikogo obrażać, spróbuję rzecz wyłożyć obszerniej.

Polemizując z określeniem *polnische Wirtschaft*, publicyści nasi posługują się na ogół dwoma argumentami. Przede wszystkim, powiadają, to nieprawda: doświadczenie wykazuje, że Polacy umieją pracować nie gorzej niż inni, a za granicą cenieni bywają jako solidni i zdolni pracownicy. Po drugie zaś, wspomniane określenie ukute zostało przez pruskich nacjonalistów w celach wyraźnie perswazyjno-obraźliwych.

Otóż, argument pierwszy oparty jest na nieporozumieniu, jeśli nie samooszustwie. Niemieccy nacjonałiści, nawet oni, nie twierdzili, że Polacy nie umieją *pracować*, lecz że nie umieją *gospodarować*. A to wcale nie to samo. Po drugie, ośmielałam się twierdzić, że owo wyraźnie obraźliwe w intencji określenie w jakimś sensie wyszło na dobre. Nie przypadkiem dzielnice, w których funkcjonowało ono na co dzień, tj. dawny zabór pruski, mimo prawie półwiecza komunistycznych rządów są najczystsze i najlepiej zagospodarowane w kraju.

Kiedy wypowiadamy banalny z pozoru sąd, że gospodarność jest lepsza od niegospodarność, to milcząc zakładamy, że odnosi się on do kultury, która preferuje takie sposoby zachowania się jak punktualność, dotrzymywanie terminów zobowiązań, niewymuszona przez biedę oszczędność, umiejętność kalkulowania niezbędnego ryzyka, „kupiecka grzeczność”, szacunek dla cudzego czasu. Czyżby rzeczywiście obrońcy polskiej gospodarności sądzili, że są to zachowania wysoko notowane w naszej kulturze?

Moi adwersarze, a wiem iż będzie ich mnóstwo, powiedzą, że przecież Polacy świetnie dawali sobie radę w czasie okupacji hitlerowskiej, że pod rządami komunistów rozwinęli niezwykle umiejętności „kombinowania”, czego przykładem jest jeśli nie każdy, to co drugi murowany dom na wsi czy w podmiejskim osiedlu. Obawiam się jednak, że znaczna część tej „kombinatoryki” nie tylko nie nadaje się do tworzenia gospodarki rynkowej, ale w jednym przynajmniej punkcie jest z nią w zasadniczy sposób sprzeczna. A to dlatego, że rozwijająca się w ustrojach totalitarnych umiejętność „kombinowania” jest nierozzerwalnie związana z — nazwijmy to — niedbałym stosunkiem do własności. Zwrócił już na to uwagę, w sposób pośredni, Wyka w „Gospodarce wyłączony”. Od tego czasu — szkic Wyki powstał jeszcze w czasie wojny — ów niedbały stosunek do własności przybrał na sile. I nie jest tak, by dotyczyło to jedynie własności państwowej. Istnieją podstawy, by przypuszczać, że znaczna część kradzieży akumulatorów oraz kół zapasowych z samochodów dokonywana była do niedawna przez „amatorów” — to jest właścicieli innych małych czy dużych fiatów, którzy w ten sposób uzupełniali braki na rynku.

Zespół antykapitalistyczny

Gdybym miał powiedzieć, które z wymienionych zagrożeń uważam za najbardziej niebezpieczne, wymieniałbym trzęcie, populistyczne oraz kulturowe. Problem polega jednak na tym, że zagrożenia, o których mowa, poklasyfikować, tj. podzielić można, a nawet należy, na papierze. W życiu natomiast występują one jako *Eintopfgericht*, czyli misz-masz w jednym garnku. Naprawdę i na co dzień mamy do czynienia z mieszaniną złych nawyków, błędnych koncepcji, fatalnego dziedzictwa i naiwnych marzeń. Nie są to zagrożenia funkcjonujące równolegle. To jest zespół — zespół antykapitalistyczny, z którym musimy sobie dać radę, jeśli chcemy, by Polska stała się zamożnym, kulturalnym krajem, w którym można ufać pieniądzu, słowu kontrahenta i pływać w Bałtyku bez obawy złapania jakiejś francji.

Otóż, jednym z nieodzownych warunków wstępnych pokonania zagrożeń jest nazwanie ich po imieniu. Bywa to operacja nieprzyjemna i wyglądająca na odbieranie nadziei. W istocie jest to próba ufundowania nadziei na trwałym gruncie poprawnego rozeznania sytuacji.

Pamięć na talony

Andrzejowi Drawiczowi

Zdziwisz się gdy ci powiem, kiedy pierwszy raz poczułam, że jestem w Rosji naprawdę. Wcale nie pod murem Kremla, nad którego wieżami przez całą dobę „goreją rubinowe gwiazdy pięcioramienne”, zastępujące od 1937 roku dwugłowe carskie orły. Ani nie przed mauzoleum Lenina, które przez pięćdziesiąt trzy lata zwiedzało kilkadziesiąt milionów ludzi. Także nie wtedy, gdy oszołomiona patrzyłam na jedną z siedmiu moskiewskich *wysotek* — uniwersytet z 45-cioma tysiącami pomieszczeń, których przejście wymaga zrobienia 145 kilometrów, co trwałoby ponad miesiąc, gdyby przystanąć tylko minutę w każdym. Otóż nie wtedy.

Także nie wówczas, gdy odwiedziłam dom Czechowa, ani gdy jadłam antonówki z sadu Lwa Tołstoja, a w szafie oglądałam jego skarpetki ze starannie wyhaftowanym monogramem. Nie na Łubiance, nie przed ikonami Rublowa w soborze Błogoszczęńskim ani na Placu Czerwonym na widok GUM-u w „bojarskim kaftanie”. Nie nad szklanką kwasu, pod oknami Stalina czy Berii, ani patrząc na kolejkę po wódkę. To wszystko były jedynie zewnętrzne dekoracje i rekwizyty.

Pierwszy raz poczułam, że jestem w Rosji naprawdę, kiedy w Moskwie, na stacji metra Oktiabrskaja w pobliżu pomnika Lenina, dostałam w głowę wielkimi drzwiami prowadzącymi do podziemnych, murowanych korytarzy. A może jeszcze nie wtedy? Może dopiero ów czwarty lub piąty raz, kiedy uderzona spuściłam drzwi na idącego za mną człowieka. Zrobiłam coś, czego nie zrobiłabym nigdzie na świecie, co mi się dotąd nie zdarzyło i — jak sądziłam — nie mogło się zdarzyć. To był moment, kiedy zrozumiałam, na czym to polega. I czym to grozi.

Można było wtedy uciec za szybę — hotelu, taksówki, restauracji. Daleko od mdlącego zapachu spożywczych sklepów, walających się po kątach łupin kapusty albo widoku pustych wystaw, na przykład jubilera, gdzie świecą jak na ironię złote obrączki na kartki dla szczęśliwych nowożeńców. Ale to byłoby zbyt proste, uciec.

Wiem, na pewno można było zobaczyć inną Rosję. Z Ałłą na przykład przy ziołowym balsamie z Gruzji. Albo z Edwardem w strumieniach szampana. Nawet z salonu muzeum Herzena, gdzie zawsze dozwolone było więcej niż gdziekolwiek, nawet stamtąd perspektywa jest inna. Nie mówiąc o łoży teatru czy Pałacu Zjazdów. Nie wiem dlaczego wołałam ulice, bary, dworce, przejścia podziemne. Niczego specjalnie nie wybierałam, pozwalałam się prowadzić codzienności, rytmowi pędzącego tłumu, pełnemu wyższości krzykowi urzędniczek, sprzątaczek, portierów, mamrotaniu żebraczek. Staralam się niczego nie prze-gapić, wszystkiego dotknąć, poznać wiele smaków i trzymać fason, jak pięćdziesięcioletnia Jula, która po raz pierwszy zobaczyła amerykański supermarket, zacisnęła zęby i nie zemdląła.

Świadoma byłam od początku pewnej nieuczciwości mego planu. Chciałam wejść we wszystkie niedostępne mi kręgi, ale bez płacenia rachunku, z życiodajną pewnością, że to tylko rodzaj przygody — chwilowe doświadczenie nie obciążone koniecznością psychicznej przynależności. Jak nauczył mnie przykład drzwi — całkowity brak uzależnień okazał się nie w pełni możliwy, ale zawsze ratowała mnie moja obcość. — Poczuję się pani trochę, jak w naszej skórze, pani Agata — mówili mi znajomi Rosjanie, obserwując mnie w sklepie albo na pocztce z zaciekawieniem, łączącym zażenowanie z cieniem satysfakcji. Nigdy jednak nie umiałam dorosnąć do ich obojętnej apatii.

Mówili do mnie „pani Agata” (nie odmieniając) i w tym małym słówku „pani” było wszystko — od szacunku, podziwu, nutki rycerskiego wyniesienia, od czegoś co mnie niewątpliwie nobilitowało w ich mniemaniu, do czegoś co wyraźnie od nich różniło, oddzielało, sytuowało na innej płaszczyźnie. Wyróżniało zatem, akcentując moją obcość.

Jak każdy cudzoziemiec, uosobiałam niedostępny świat swobody i prawdy, a równocześnie jako Polka drażniłam wymyślonym czy też faktycznym poczuciem wyższości. Z prawdziwym zajęciem śledziłam niezliczone kształty i odcienie wariantów stereotypu Polaków, jaki funkcjonuje na Wschodzie. Moja polskość budziła całą gamę najróżniejszych uczuć. Od instynktownej niechęci na poziomie kolejki, poprzez rodzaj lęklivego podziwu, aż po niesłychaną przychylność, z jaką wita się zwiastuna wyzwolenia.

Ci sami handlarze pod klasztorem Nowodziewiczym, którzy poinformowali mnie, że Polak to nie narodowość, a profesja, kiedy pogodzili się z tym, że nie mam do sprzedania lakieru do paznokci, zaśpiewali na moją cześć hymn narodowy, a potem długo prosili, by pozdrowić Wałęsę.

W Leningradzie na Newskim Prospekcie jako potomkinię Kościuszki poczęstowano mnie kielichem.

Zdarzało mi się słyszeć zdania na temat polskiego lenistwa i konieczności karmienia butnych i hardych Polaków. Na temat naszej łapczywej zachłanności życia, podczas gdy „my cierpliwie znosimy, co los przyniesie”. Zdarzały się też wyznania bardziej intymne, jak to Ałły, dla której przez wiele lat Polska była duszą jej wewnętrznego świata, swoistą ojczyzną, oparciem. Ona także powie o swoim poczuciu winy i wstydzie za swój kraj.

Jesteśmy dla nich szansą i wyrzutem sumienia, przykładem i ciężarem, „pawiem narodów” i „służebnicą”. Mają nam za złe awanturczość i skłonność do *bezporządków*. I jednocześnie — paradoksalnie — chcą dorosnąć do polskiej niezależności. Tylko jako władcy świata czują się i naszymi władcami. Nie jako ludzie.

Wielkimi, ruchomymi schodami zjeżdżają w głąb ziemi, kilkaset stopni. Minutę to trwa, a czasem i dwie minuty. Marmurowe ściany, sufity, ozdoby gigantycznej podziemnej budowli, szeregi lamp, stylowe komunistyczne figury, popiersia, rzeźby. To także, jak świat na powierzchni, przygnieść ma, onieśmielić, przytłoczyć, wydrzeć z piersi okrzyk niekłamane go podziwu. Plac Rewolucji, Prospekt Marksa, Marksistskaja, Krasnyje Ww-
rota...

Tłum szary, jak przyprószony zmęczeniem. Zmęczenie złości na twarzach bruzdy. Zmarszczki mozolnie wypełnia kurzem, potem, trudem. Stare kobiety z tobołami. Z jednego koszyka wystaje przeraźliwie chuda kura, cienkie nogi z nienaturalnie długimi pazurami rozczapierzone, zwrócone ku górze. Dla Breughla. Obok mężczyzna w wyświeconym berecie i takiej samej kurtce czyta „Archipelag Gułag” w *Nowym Mirze*. Dla Dudy-Gracza. Młoda dziewczyna prezentuje z dumą na bladej twarzy zdobyczny zestaw węgierskich kosmetyków, które udało się jej wystać nocą w kolejce. Dla fowistów.

„My nie wiemy, że można żyć inaczej” — powie trzydziestoletnia Nina, która niczym się nie wyróżnia, a której słów, wypowiedzianych matowym głosem, nie umiem zapomnieć. — „Nasi rodzice tak żyli, my patrzyliśmy jak oni żyją i żyjemy tak samo. Religią jest państwo. Tak nas nauczono. Dla niego pracujemy, dla niego jesteśmy w stanie oddać i poświęcić wszystko. Wszystko robimy dla państwa, sami będąc niczym. Żyję w poczuciu własnej znikomości. Kim jestem w tym milionowym

państwie? Nikim, moje życie nie ma żadnego znaczenia. Jakby go wcale nie było. Wiem o tym i muszę żyć. Żyć w tym absurdzie, świadoma absolutnego bezsensu”.

Nina ma małego synka, Wanię, w którego oczach widać ten sam wyrok.

Ała opowie mi o swoim spotkaniu w Krasnojarsku. O tym, jak z ekscytacją i entuzjazmem rozprawiła o przyszłości współczesnej kultury, gdy nagle podniosła się młoda kobieta i powiedziała: Ja panią bardzo przepraszam, ale co robić, kiedy o szóstej rano nie ma już w sklepie mleka dla mojego dziecka? Tak, zawstydziła się Ała, tak, od tego trzeba zacząć.

Nie wiem, czy od tego trzeba zacząć, ale o tym nie wolno zapomnieć. W Rosji mówią — jeszcze dwa lata *periestrojki* i wszyscy umrzemy z głodu. Między światem ze słów jest ów pogardzany świat kolejkowo-kielbasiany, codzienny wszechświat wielu milionów, których — o ironio — „byt określa świadomość”. Nie sposób ominąć tego świata.

Wydaje się, że można z nimi zrobić wszystko. Reagują na *niezła*, choćby wypowiedane przez portiera czy sprzątaczkę, z takim samym skwapliwym zrozumieniem, jakby słuchali rozkazu wyorderowanego generała. Wiedzą, że człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego. I kiedy to mówią, czuję, że mają podstawy, by tak sądzić. Nie umawiali się z Bogiem na szczęście na ziemi. Sprawiają wrażenie, jakby w ogóle z nim nie rozmawiali. W ich świątyniach był daleki i niedostępny, zamknięty w złocie i majestacie, groźny Bóg budzący strach. A potem — potem już byli tylko królujący na monumentach zwyczajcy nowej wiary, jeszcze bardziej godni modlitwy, bo jeszcze bardziej wszechmocni.

Ale oni się nie skarżą. Przerazająca jest ta uległość, „utrwalająca zadawane i doznawane zło”. Dowodem siły, wytrzymałości czy też kompletnej rezygnacji i bezsilności jest to posłuszeństwo?

„Trzeba żyć, wujaszku Wania, trzeba żyć...” I kiedy po raz kolejny ktoś mnie popycha, trątuje, zabiera z rąk talerz, zanim skończę jeść, nie wpuszcza, obraża — nie mogę się powstrzymać od pełnych oburzenia, długich monologów. Oni patrzą na mnie wówczas pustymi oczyma. Tak, tak, powtarzają, ale to na nic się nie zda. W nich nie ma buntu. Nie ma śladu sprzeciwu. W ich spojrzeniach kryje się jeszcze coś, czego nie rozumiem — jakby pobłażanie, jakby świadomość, że moje słowa nic nie znaczą, bo to oni — nie ja — tutaj zostaną.

I odmieniam na wszystkie sposoby pytanie Custine'a — czy to przymioty ludu stworzyły samowładztwo, czy też odwrotnie? Na czym polega wzajemna zależność, w którą stronę oddziałuje siła sprawcza?

Czy rzeczywiście nie ma w tym ich winy? I na ile groźna, na ile zaawansowana jest ta choroba wewnętrznego ubezwłasnowolnienia? Jakie zostawi ślady tyłowiekowa praktyka codziennej niewoli, pozbawiania godności, możliwości decydowania, myślenia? „Wydrążeni, chochołowi ludzie” — jak z wiersza Eliota — budzą żal.

Pod cerkwią Donskaja przypadkiem spotkana wiolonczelistka wyciąga zza stanika zawiniątko w zatłuszczonej serwetce: litanie Matki Nieustającej Pomocy. — Przedemną czarna droga — mówi. — Biorę mnie do psychuszki. *Inaczemysłaszczych oni uniczożajut.*

W gazecie przeczytałam informację, że zniknęło w Rosji pojęcie dysydenta. „Otwarte bronienie własnych poglądów w jawnej polemice, które stało się normą w naszym społeczeństwie, nie stanowi tym samym przedmiotu uwagi KGB. A tym bardziej nie stanowi przedmiotu walki”.

W gazecie przeczytałam, że w ciągu 1988 i pierwszym kwartale 1989 roku zrehabilitowano 47.088 ludzi, ofiar stalinowskich represji. I że obecnie w szeregach KGB nie ma ani jednego człowieka, który uczestniczyłby w represjach w czasie kultu jednostki.

W gazecie przeczytałam, że za czasów stalinowskich zesłano ogółem w głąb Rosji 36.045 Polaków.

Odebrano im pamięć, pozbawiono tożsamości, ale usiłują wrócić do równowagi po owym najokrutniejszym z zabiegów. To nie jest łatwe także dlatego, że przestrzeń pamięci zamurowano, zalano betonem, zaklejono sloganami, plakatami, transparentami. W miejsce zniszczonych fotografii, cmentarzy, kościołów, przekonań — wprowadzono lekcje obowiązkowej religii, której śladów nie sposób zetrzeć z dnia na dzień, jak nie sposób obalić jej pomników. Ale rozpoczęła się nauka mówienia. Temu nie da się zaprzeczyć, choć może wygląda na razie tak, jak na owym satyrycznym rysunku, gdzie siedzący na mównicy pies nieudolnie warcząc wyszczekuje w końcu triumfalnie: rrrrr ... rab ... rab ... rab!

Wypowiadają niewolę. Słowa mają moc rozbijania strachu.

Zadziwiającym i autentycznym dokumentem tego procesu jest reakcja na zorganizowaną w tym roku przez Stowarzyszenie Upamiętniania Ofiar Stalinizmu „Memorial” wystawę, poświęconą pięćdziesiątej rocznicy podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow. Mało rozreklamowana, nie w centralnych salach, wystawa była oblegana. Organizatorzy mówili skromnie — chcemy dać ludziom prawdziwy, udokumentowany kawałek ich historii. Co z

nim zrobią — nie wiemy. O tym, jak dużo znaczą dla wielu te nagle ujawnione fakty, świadczy choćby tych kilka fragmentów z księgi wpisów:

Bardzo dziękuję. Gorzko przejrzeć na oczy i wstyd za ojczyznę swoją.

podpis

Dziękuję za prawdę, dobrze, żeby poznali ją w całym kraju, w miastach i wsiach.

Doniecki obwód

Dziękuję. Dotknęliście rany w moim sercu, w sercach wszystkich tych, którzy stracili bliskich, ojców, matki. Do dziś nie wiem, gdzie jest mogiła mojego ojca zabitego w 1937 roku. Ale ja ją znajduję.

W.G.

Gorzko patrzeć na te fotografie i dokumenty o haniebnej stronie naszej historii.

Członek związku pisarzy

Dziękuję członkom Stowarzyszenia „Memoriał” i pomagającym im przedstawicielom Sajudisu i innym organizatorom wystawy. Tylko prawda jest lekarstwem na strach, jedynym lekarstwem na szowinizm, lęki, wszelkie ograniczenia i inne nasze chroniczne choroby. Tylko prawda pomaga w wolnym wyborze własnych przekonań. Niech ta wystawa będzie jeszcze jednym krokiem na drodze do możliwości samostanowienia każdego narodu.

podpis

Nie jesteśmy niewolnikami. Niewolnicy to nie my. Wierzę, że wraz z kresem milczenia przestaniemy być niewolnikami. Wielkie podziękowanie organizatorom wystawy.

Koniewskij

Wystawa upewnia o tym, że jesteśmy żywi i moralnie zdrowi. Tylko tacy ludzie szukają faktów, chcą znać dokładnie i i z wiarygodnych źródeł swoją historię, swoje — nie tylko zwycięstwa, ale i niedole. I grzechy. Wierzę, że zasługujemy na czyste życie, gdyż jesteśmy gotowi dla niego pracować.

Andriejew, deputowany ludowy

Katyń — to zadanie do wykonania w pierwszej kolejności. I jeszcze — pora ogłosić NKWD organizacją przestępczą. W każdym razie te jej struktury, które okazały się orężem represji.

Przedstawiciel pokolenia wnuków represjonowanych

Stalin to zatwardziały przestępca wszystkich czasów i narodów. Walka ze stalinizmem we wszelkich jego przejawach to gwarancja zbudowania praworządności w naszym państwie.

Weteran pracy

Według mnie siła wystawy leży w tym, że w końcu można ją było pokazać. I chociaż wiele faktów było mi znanych, zgromadzone razem mają siłę wybuchową bomby. Gdybym wiedział o wystawie wcześniej, przyprowadziłbym swoich uczniów.

Nauczyciel, podpis

Prawda nie może nikogo obrazić.
podpis

Dziękuję „Memoriałowi”, podnieśliście *glasnost* do poziomu wolności słowa.

podpis

Nie bardzo wierzą, że tego dożyli. Nie wiedzą, jak długo potrwa ten sen. Właściwie są pewni, że trzeba będzie się obudzić, więc chcą naśnić jak najwięcej. Chcą odbudować w sobie to wszystko, co im zabrano, co w nich zniszczono, wypalono. Chcą pamiętać. Z właściwą neofitom skwapliwością pochłaniają niedostępne dotąd, niedozwolone obszary pamięci. Swoich własnych prywatnych biografii i historii, pokazującej dotąd takie prawdy, jakie zgodne były „z aktualnie panującą fikcją”. To może być zabójcze. I z tego zdają sobie sprawę.

Wystawa projektów pomników ofiar represji i bezprawia stalinizmu, którą obejrzałam w Moskwie jesienią w cerkwi Dońskiego Klasztoru, jest wyrazem wielkiej, zbiorowej potrzeby pamiętania. Ów hołd ofiar jest jednocześnie bezwzględny oskarżeniem systemu. Trudno o obiektywną ocenę artystycznych walorów reprezentowanych dzieł. Są częściej krzykiem rozpacz, niż rutynowym otarciem łzy. Wyrosły z desperacji i gniewu, nie mają nic wspólnego z prostym wykonaniem zadania na temat zbrodni. Są jej najgłębszym przeżyciem, współodczuciem.

Zrazu symbolicznie rysują kształt pamięci — czarny kwadrat, dziurę w ziemi wypełnioną płonącymi świecami. Albo — grób, dół, czarną wyrwę, pustą lub pełną kamieni. I światła znaczące „nie zapomnimy”.

System splecionych podziemnych korytarzy, labirynt zagubionych, zagrzebanych, zabitych — jest elementem powtarzalnym. Jak daty, liczba 40 milionów, znicze. Pojawiają się również ludzkie postaci — człowiek pod czerwoną ścianą, człowiek ukrzyżowany na drutach przed gmachem KGB i podobnie rozpięty w czerwonej gwiazdce. Figury splecione kolczastym drutem i konstrukcje z tegoż drutu ze świecami, orłem, czerwoną siekierą. Wyrastające spod ziemi czerwone ręce z sierpem i młotem. Są piramidy i góry czaszek, samotna świeca na czerwonej polanie i światelka w zwalisku kamieni. Wielki *danse macabre*, gdzie ofiary kroczą w towarzystwie katów i Stalin jako olbrzymi karaluch

na szczycie wielopiętrowego więzienia. Są także drzewa — suche drzewa lub pnie z pojedynczymi, nieśmiało odrastającymi zielonymi listkami. Projektanci proponują usytuować pomnik na Łubiance, Placu Dzierżyńskiego (co z nazwą? co ze stojącym tam monumentem?) albo na Placu Czerwonym. Ktoś chce wybić ścianę w murze Kremla, by za jej zakratowaną częścią ustawić figurę związanego człowieka.

To są dopiero pierwsze kroki, pierwsze próby znalezienia formy istnienia zbiorowej pamięci. Jej odbudowania, rekonstrukcji po kawałku, po części, i czczenia. Stowarzyszenie „Memorial” proponuje zorganizowanie głównego, centralnego Ośrodka Pomnika Pamięci. Odbyła się już pierwsza selekcja projektów prac nadesłanych przez profesjonalistów i amatorów. Przewijają się tam pomysły pomnika-forum, trybuny, cmentarza, ośrodka archiwalnego. Tu, podobnie jak w przypadku poprzedniego konkursu, emocjonalne napięcie i zaangażowanie twórców przejawiają często kształty ich pomysłów. Bo istotnie wymaga to niezwyklej umiejętności. Jak wyrazić i gniew, i ból, i przekleństwo, i skrucę, cierpienie niewinnych i tych, którzy mordowali, by potem stać się ofiarami takich samych morderstw? Jak plastycznie pokazać współistnienie hysterii strachu i hysterii wiary?

Mniej więcej w tym samym czasie nadszedł do redakcji jeden z moskiewskich gazet list dwudziestoletniej mieszkanki Pragi — Hanny Smirnowej. Píše: „Chciałabym żyć w epoce Stalina. Życie miało wówczas sens. Ludzie cierpieli, ale nie tylko. Budowali nowe, socjalistyczne społeczeństwo. Był w tym sens. A dziś?”

Na cmentarzu dońskiego klasztoru grób filozofa Piotra Czaadajewa, przyjaciela Puszkina, znajduje się w sąsiedztwie czarnego obelisku, na którym napis głosi: „Wiernemu żołnierzowi proletariackiej rewolucji, towarzysowi D.M. Smirnowowi, który padł od kul band Kołczaka — od Komitetu Centralnego Rosyjskiej Komunistycznej Partii Bolszewików”.

To symboliczna, ale i banalna dwoistość.

Przed rewolucją było w Moskwie 200 cerkwi. Najłaskawszy los zezwolił im przeistoczyć się w muzea ateizmu. Zakładano w nich też magazyny, składy towarów. Pozostawały wówczas świątyniami nowego kultu przedmiotów. Liczbę cerkwi, w których odprawia się msze można policzyć na palcach jednej ręki.

Custine pisał, że prawda wszędzie jest niebezpieczna, a zwłaszcza w Rosji. Pewien geolog z Nowosybirka pyta mnie wkrótce:

— A co to w ogóle jest prawda, czyja prawda i na jaką porę roku? Przecież ją tak łatwo zmienić, przefarbować, kłamstwo także może być prawdą. Po co dociekać, skoro wszystko i tak obróci się przeciwko tobie? Tak było zawsze, dlatego nagle ma być inaczej? Dialektyka, cha, cha! Co pani woli, trwanie w tej tak zwanej prawdzie, która nie pozwala faktycznie żyć, upieranie się przy niej i przy uczciwości? Czy woli pani żyć uczciwie, pracować i pozwalać, żeby wszystko pani odebrali? Czy woli pani kraść i mieć? Ja wolę mieć.

— Może mnie uratowało kłamstwo — zastanowi się dziennikarz, któremu matka nie ujawniła tajemnicy zamordowanego w 1936 roku ojca. — Może źle robimy, że staramy się dzisiaj wygnać kłamstwo z naszego życia? Już wielu się skarży: przedtem chociaż w coś wierzyliśmy. Może oszukiwaliśmy się, ale wierzyliśmy! To dawało życiową energię, pomagało znosić ciężary. Może kłamstwo jest potrzebne dla ocalenia? Ale po to, żeby otrzymać odpowiedź, trzeba poprobować żyć nie w kłamstwie. Jak powiedział Żwaniecki — tak już próbowaliśmy, próbujemy inaczej. Żyć w kłamstwie już próbowaliśmy, próbujemy bez niego. Ale w rzeczywistości kłamstwo nie jest zupełnie wygnane z obiegu. Oderwaliśmy się od Wielkiego Kłamstwa, ale zachowaliśmy małe. To małe kłamstwo, jak ikonę, powiesił sobie człowiek na piersi i modli się do niego i błaga: Nie odbierajcie mi mojej ostatniej świętości.

— A jak *glasnost*, jedyna dotychczas widoczna gołym okiem zdobycz *pierstrojki*?

— *Glasnost* jeszcze u nas na razie nie *glasnost*, odpowie. Bo po pierwsze — jest we mnie wewnętrzny redaktor. Zamieszkał dawno. Postawił składane łóżko, powiedział, że nie na długo i tak żyje do dziś. I każe radzić się siebie. Tego nie wolno, tego lepiej nie ruszać. Po drugie — w każdej gazecie jest naczelny redaktor. Z nim także trzeba walczyć o każdy akapit. Ile razy przedstawiciele środków masowego przekazu słyszeli z wysokiej trybuny: *Glasnost* — ona, rozumiecie, nie jest bez granic...

Przeczytałam w gazecie jedną z trzech dotychczasowych publikacji o Katyniu. Alosza mówi, że gdyby przypadkowych ludzi na ulicy zapytać o Katyń — 30% z niczym nie będzie się to kojarzyć, a cała reszta wymieni wieś Chatyń na Białorusi, gdzie hitlerowcy wymordowali setki Polaków. Alosza doda, że Polacy sądzą, iż zbieżność nazw specjalnie wymyślono.

Stowarzyszenie „Memorial”, mimo iż działa od dwóch lat i posiada oddziały w 140 miastach ZSSR, nie zostało dotąd ofi-

cialnie zarejestrowane. Wytrwale gromadzi dokumentację o niedawnej historii, składając z rozsypanych świadectw niejednokrotnie imponujące kartoteki. 30 października z inicjatywy „Memoriału” odbyła się na Placu Dzierżyńskiego pokojowa manifestacja — wyraz solidarności z więźniami politycznymi i ofiarami politycznych represji. Milczący, żywy łańcuch ludzi ze świecami w rękach opasał gmach KGB. Miała to być również próba ustanowienia Dnia Pamięci Więźniów Politycznych w ZSSR. „Chcemy zmienić więzienie na Łubiance w muzeum ofiar politycznego terroryzmu w ZSSR” — powiedział poeta, Jewgienij Jewtuszenko. Zatrzymano 69 osób, wiele pobito.

Rzymskokatolicki kościół (jedyny w stolicy) pod wezwaniem św. Ludwika stoi na Łubiance w sąsiedztwie szarych, ciemnych gmachów KGB, tuż przy ogromnym placu Dzierżyńskiego z pomnikiem też wielkim, ale nie przerastającym Gagarina na Lenińskim Prospekcie. Kościół zamykany jest, jak cerkwie, gdy nie ma nabożeństw. Odbywają się po łacinie, codziennie rano i kilkakrotnie w niedzielę. Zbiera się tu głównie młodzież i starzy ludzie.

Stara kobieta z okolic Wilna ma jeden ząb, zniszczony modlitewnik, w nim zdjęcie zmarłego syna obok świętych obrazków.

— Po polsku zabywają, oj zabywają. Ja tu osiem lat, do córki przyjechała. Zięć dobry, nie pije, tylko, że kacap. Ruski. I oni między sobą po rusku rozgrywają z dziećmi. Gdyby to mój mąż widział. Lepiej, że nie dożył. On tylko po polsku mówił i mnie powtarzał: nie zapomnij, żeś ty Polka.

— A dzieci teraz i w kościół prowadzą i w cerkiew, już można. Oni się przestraszyli, zobaczyli, że ludzie w coś wierzą. Ja dzieci po polsku po cichutku uczę. — Zaczem to, babuszka — pytają. — Tak nado.

W Moskwie pewien mężczyzna z nożem wdarł się bez kolejki do sklepu, żeby kupić mydło. Rozbrojono go i pobito. Dyrektorka poprosiła o zorganizowanie ochrony milicyjnej drogerii.

W moskiewskich restauracjach neony informują, że *swobodnych miejsc niet*. W Moskwie można kupić w kiosku za kilkanaście kopiejek miniaturowe ordery i znaczki z dzieciątkiem Lenin, a od niedawna także popiersie Włodzimierza Wysockiego z brązu, za 22 ruble. Moskwićzanie nie wychodzą z domu bez siatek i potrafią na węch dojść do sklepu, gdzie akurat „rzucili” kawę. W Moskwie nie ma książek telefonicznych, a plany miasta zaczęto drukować w tym roku. W Moskwie jest 1.250 walutowych prostytutek, które biorą do 1.000 dolarów za noc.

W języku rosyjskim są dwa słowa, w każdej konstelacji słubne dla określenia tamtej rzeczywistości — *užas* i *potriasajuszczij*. Pierwsze znaczy „straszny”, drugie „porażający”. Można je stosować wymiennie.

Tam mówią o nich *talony*. Warto by zarezerwować dla nich osobną gablotę w przyszłym muzeum komunizmu. Są dość podstawowym elementem życia, swoistą sztuką użytkową społeczeństw wyższego stopnia rozwoju. Pracowicie zadrukowane kartki — wielkości dwóch biletów do kina, niewielkiego zaproszenia do teatru, szare, beżowe, żółte, jednolite, prążkowane, w wymyślną pepitkę, ze spisami sklepów na odwrocie, z nazwą miesiąca, wyszczególnieniem towaru, jego wagi lub rozmiaru, nazwą miasta, czasem prośbą o ostemplowanie. Najwspanialszą kartkę widziałam na Syberii — małą, jak dawne polskie odcinki na benzynę, zupełnie czerwoną. Na wódkę.

— Dlaczego dałaś, dlaczego dałaś jej pieniądze? Kirył jest nieustrasliwy i jeszcze daleko za podziemnym przejściem usiłuje dociec, co mną kierowało, że rzuciłam kilka kopiejek starej, zgiętej wpół staruszce. — Bo ładniej niż inne prosiła?

Oni nie rozumieją ani jak można zebrać, ani jak można dawać jałmużnę. Kilkakrotnie byłam świadkiem zwymyślenia proszących o wsparcie na ulicy młodych kobiet z dziećmi. — Takie matki trzeba pozbawiać praw macierzyńskich. — Zamykać je ... Wstyd — mówią one same — ale dzieciom trzeba dać jeść. Pytam, ile uskładają dziennie. 15-20 rubli.

Dworzec Kazański. Na parapecie siedzi kobieta bez nóg, z poparzoną twarzą i rękami, obok kaleki o kulach. „Dzieci się wyrzekły, a renty nie dostaję, lat nie starczyło. W dom starców nie biorą, mówią — miejsc nie ma”. Tu jest jej dom. I tego człowieka o kulach, który mówi: „Żeby trafić do domu inwalidów, trzeba zebrać lekarskie dokumenty, z trudem się poruszam, nie jestem w stanie tego załatwić, czy nie widać, że ze mnie kaleka?”

Prawie 24 miliony ludzi dostaje rentę do 60 rubli miesięcznie. Około 11 milionów samotnych starych ludzi potrzebuje pomocy. Ponad pół miliona nie ma wcale prawa do emerytury, wydaje im się 30-rublowe zasiłki. W 1986 roku 26 tysięcy osób czekało w kolejce do domów opieki, dziś jest ich już 39 tysięcy. Z zaplanowanych na pięć lat 9.049 miejsc oddano 614 w całym Związku Sowieckim. 70% środków, jakie przeznaczono na ten cel, spożytkowano inaczej. Jak, nikt nie wie.

Nędza nie jest karalna, karalne jest żebractwo. Żebractwo, czyli „zdobywanie w drodze wypraszenia u postronnych ludzi pieniędzy, produktów żywnościowych, odzieży i innych mate-

rialnych wartości". Do odpowiedzialności karnej nie mogą być pociągnięci: kobiety powyżej 55-ciu lat i mężczyźni po 60-ce, kobiety w ciąży i z dziećmi do 12-tu lat oraz osoby zajmujące się gospodarstwem domowym.

Wszyscy oni uciekają na widok milicji. W ciągu siedmiu miesięcy 1989 roku zatrzymano w Moskwie 660 osób o nieustalonym miejscu zamieszkania. Za włóczęgostwo.

W gazecie przeczytałam, że w ZSSR jest 11 osób chorych na *aids*. 289 obywateli ZSSR jest nosicielami tej choroby (w tym 115 dzieci). 393 zarażonych cudzoziemców deportowano. Przypadki nosicieli wirusa zarejestrowano w ośmiu republikach.

W gazecie przeczytałam, że w Leningradzie otwarto prywatne biuro detektywistyczne „Aleks”. W Ałma Acie — cztery milicyjne spółki. W Moskwie działa filia „Aleksa”, która podjęła współpracę z kanadyjską służbą bezpieczeństwa. Tworzy się jedna wszechzwiązkowa, informacyjna sieć dla wszystkich prywatnych biur detektywistycznych. Otwarto podobne biuro również w Nowosybirsku. Zajmuje się ono ochroną ludzi, na przykład kasjerów i dzieci, także poszukiwaniem zaginionych. Nie ma oficjalnej zgody na posiadanie broni, byli pracownicy KGB, MSW i sportowcy, którzy tam pracują, używają gazowych pistoletów. Cennik zależy od rodzaju zamówienia.

Andrzeju, Jerofiejew nie ma jesieninowskich loków. Jego włosy są siwoczarne, polepione zmęczeniem, chorobą i potem. Tak też pachnie w jego pokoju, gdzie leży w łóżku pod kraciatym kocem z twarzą na przemian bezradnie dzieciinną i szelmowsko diaboliczną. Wszystko wydaje się lepić na stole przykrytym ceratą, pełnym winogron, melona, jabłek, a wkrótce i kiełbasy. Przylepiają się do niego żywnościowe kartki, które pokazujemy sobie z wodewilowym ubawieniem, różnojęzyczne wydania „Moskwy-Pietuszek”, z których ostatnie jest oficjalne rosyjskie. Wszystko tu grząskie, fizjologicznie określone. Mozołne.

Wieniczka z trudem, świszczącym szeptem wydobywa głos z pomocą brzęczącego i stale psującego się aparatu, który przytyka do szyi. Stara się być dzielny, ale chwilami w oczach stają mu łzy. Sięga po kieliszek, próbuje jeszcze raz i w końcu udaje mu się wypowiedzieć monolog o duszy, o absolutnej pustce duszy rosyjskich ludzi. Żona Gala, wesoła i pogodna. — No, co ty, malczuk — powtarza, jedząc palcami tłustą kiełbasę. I dolewa herbatę „elgrej”, którą piję zachłannie, żeby przypomnieć sobie znany smak, żeby odzyskać zwykły wymiar rzeczywistości. Ale na to jeszcze za wcześnie. Jerofiejew opowie o Szczedrinie,

który obwinia o wszystko Polaków. I będziemy się śmiać z Polaczyszki drania, a potem z radością przypinać znaczki Solidarności. Czuję, że dzieje się coś, co trzeba zapamiętać, ale nie jestem w stanie pamiętać ani słów, ani szczegółów. Kręci mi się w głowie. Wzmacniacz wyczerpuje się coraz bardziej, coraz mniej zrozumiałe są słowa Wieniczki. W sieni potykam się o puste butelki. Na komisji lekarskiej urzędniczka zapytała Galę: „A właściwie dlaczego on stąd nie wyjechał, ten pisarz, ten...” W Moskwie niewielu ludziom znane jest nazwisko Wieniedikta Jerofiejewa.

Pamiętam jeszcze jedno dziwne dotknięcie Rosji. Stamtąd też chciałam uciec. To było w knajpie na Newskim Prospeckie, gdzie piłam przez słomkę szampana z rozgniecioną renklodą, jadłam czekoladowy tort na serwetce, a Arkasza, poeta dysydent, który miał znajomego bramkarza i dlatego siedzieliśmy w knajpie, więc Arkasza długo monologował patrząc mi w oczy: — W każdej kobiecie jest swołocz, inaczej nie byłaby kobietą...

Uciekłam też w nocy z ciemnego placu między dworcami Jarosławskim i Leningradzkim. Duży krąg otaczał wielkiego, burego małpoluda, stojącego na skrzynce w swoim paradnym futrze do fotografii. Grała głośno muzyka, z refrenu dawało się wyłowić jedno zdanie: *Srazu straszno, patom priwykniosz*. Jakaś kobieta wyszła z kręgu upozować się do pamiątkowego zdjęcia. A potem puściła się w zamaszyste tany w ramionach kudłatego olbrzyma. Zaczęły tworzyć się i inne pary. Najpierw przytupujące nieśmiało w miejscu, potem coraz bardziej brawurowe, jak w żalonym karnawale biedy, podrygujące groteskowo, nadrealne. Główne role zagrały płasając dwie żebraczki bez pończoch, z sinymi nosami, ziejące wódką, przytrzymujące zmarzniętymi rękami brudne kwiaty z ziemi albo cementarza. Wirowały ze śmiechem wśród śmieci w zaczarowanym kręgu.

Bal w stolicy wielkiego kraju, żebracza, dworcowa dyskoteka.

Agata TUSZYŃSKA

Jesień 1989

Gdyby Bata kupił Stalina?

„Posłuchajcie, ludkowie, co wam dziadek opowie!” — tak się zazwyczaj zaczyna ballada, która lubi głosić ludziom cuda. To jednak, co zgotowała nam rzeczywistość w całym naszym bloku, przerasta wyobraźnię ludowych twórców. I normalnie w głowie się nie mieści. Oto nietykalni bożkowie spadają z cokołów, a wszechpotężna partia traci naziemską moc. Beton okazuje się warstwą puchu, a granica pokoju znana ze swych zwartych ścian wali się w gruz jak przysłowiowe Mury Jerycha. Dwustronny ruch z dołu na szczyt i odwrotnie trwa. Nie zawsze jest bezkolizyjny. Uwolnieni więźniowie obejmują rząd, zwolnieni przywódcy wędrują do cel. Żelazny Erich siedzi za kratkami, Wieczny Todor wyrzucony z partii, Siwy Husak opuszcza pałac na Hradczanach. Lud Pragi skanduje: „Dysydenta na przyzenta!” — Vaclav Havel nim zostaje. Nicolae Ceausescu, wierny uczeń Stalina, który wsparty o Securitate i własną rodzinę okrutnie rządził Rumunią od dwudziestu czterech lat — zniknął z powierzchni ziemi w ciągu paru dni. Tym razem dosłownie. Zapłacił głową. Tu już nie było alternatywy. Żaden okrągły stół nie był możliwy. Na ulicach polała się krew. Ceausescu obok nędzy własnego narodu zostawił po sobie niedokończony pałac swojej chwały, niezliczone pomniki i portrety i Aleję Socjalizmu, która stanęła na miejscu najbardziej zabytkowych domów starego Bukaresztu. Z fanatyczną pasją budując własną wizję szczęśliwej przyszłości, zapamiętałe niszczył przeszłość, tak żeby z niej kamień na kamieniu nie został. Sam projektował, przerażeni architekci w tych szalonych projektach nic nie mieli do powiedzenia. Dziś ze wstydem się do tego przyznają. Dawni dworzanie obrzucają rozstrzelanego tyraństwa błotem i nazywają Vampirescu. Już zapomnieli, jak skandowali na jego cześć i wznosili pomniki.

Po tej mongolskiej satrapii i wschodnim przepychu obalony król Rumunii Michał wydaje się biedakiem i wzorem demokracji. Nie zdziwię się, jak okrutny komunistą Ceausescu utoruje mu drogę do powtórnego królestwa w Rumunii. A w końcu Ceausescu rozwijał tylko model zaproponowany w swoim czasie przez wielkiego Lenina.

Wszystkie partie komunistyczne w swej długiej historii zapewniały do znudzenia, że uczą się na błędach i z uporem je powtarzały. Każda kolejna ekipa potępiała starą, po czym nawiązywała do swej poprzedniczki. Aż cierpliwość stała się zadość i nastąpiło to, czego dziś jesteśmy świadkami. Zdziwiające jest to, że po ujawnieniu zbrodni Stalina na XX Zjeździe udało się jeszcze przez ponad trzydzieści lat rządzić dalej jego metodami. W Polsce nieco łagodniej, w reszcie bloku twardziej. Po Październiku 56 wydawało się, że nigdy do nowego kultu jednostki nie dojdzie. Burzono pomniki Stalina, usunięto jego nieśmiertelne imię z nazw ulic, kopalń i szczytu Pałacu Kultury i Nauki. Stalinogród stał się znów Katowicami. Stalingrad przemianowano na Wołgograd. Kłopot z bitwą, która teraz nad Wołgą miała się odbywać. Do starej nazwy Carycyna jakoś nie wrócono. Na to trzeba większej *pieriestrojki*.

Po tych kosmetycznych zmianach znów sięgnięto do sprawdzonych metod. Jak oka w głowie strzeżono jedności partii i gorąco oklaskiwano nieomylnych przywódców. Tępiono opozycję i wznoszono pomniki chwały. Najpierw Leninowi, żeby wypełnić lukę po Stalinie, potem innym zasłużonym działaczom ruchu robotniczego. Place, szkoły i ulice otrzymywały zaszczytne imiona. Pochylały się sztandary. Grała orkiestra. Wodowano statki na cześć bohaterów.

Nowa Huta co prawda utraciła ulicę Stalina, ale zyskała na pomniku. Mimo, że W. I. Lenin wydawał się pewniejszą lokatą niż jego obalony najwierniejszy uczeń, niejedynemu artyście przystępując do konkursu miał się prawo zamysłu. W końcu pomnik wznosił się na wieczną chwałę pamiętkę. Przykładem rzeźba starożytnych. Z utraczonymi nosami, ale przetrwała. Autor pomnika w Nowej Hucie zdawał sobie sprawę, że towarzysz Lenin nie Perykles, a on sam może nie jest greckim Fidiaszem, niemniej przy całej skromności zakładał, że przy trwałym pokoju i szczęśliwym wsparciu PZPR jego dzieło postoi sobie spokojnie na postumencie ładnych kilka dziesiątków lat. Tymczasem stało się odwrotnie. Dmuchał wiatr historii i przekreślił wszystko. Nastąpiło odbrazowanie. Towarzysze spadli ze stołków i pociągnęli za sobą pomniki. Mężowie na cokołach stracili swe oparcie. Miasta zaczęły się rachować ze spiżowymi posągami przywiezionymi w teczkach. Lublin usuwa Bieruta, Warszawa Dzierżyńskiego, a Nowa Huta — to się w głowie nie mieści —

demontuje twórcę całego modelu i ojca nowego ładu, Włodzimierza Iljicza. Lenin idzie na zaplecze. Bo chyba nie na złom? Stałby się aż taką ofiarą własnego kultu? W Nowej Hucie to brzmi tragicznie.

W sferze sztuki taka szeroka czystka ma zawsze w sobie coś z wandalizmu. W końcu dzieło w kategoriach czystej formy ma prawo się bronić. Sprytniejsi od nas Czesi wzięli ten aspekt pod uwagę i nie wyzbywają się tak pochopnie zabytków z epoki. W Komarowie wciąż stoi pomnik Stalina. Ojcowie grodu mają zamiar sprzedać go za dewizy komuś z zachodnich kolekcjonerów. W końcu jest to klasyczny obiekt sztuki dworskiej z okresu późnego socrealizmu. Szkoda, by się zmarnował. Na pewno chętny się znajdzie. Można jeszcze zarobić na towarzyszu Stalinie. A dla nabywcy też gratka. Mam nadzieję, że słynny król obuwia Tomasz Bata, który właśnie po pół wieku odwiedził swój rodzinny Zlin (jeszcze wczoraj Gottwaldowo, które po tej wizycie szybko wróciło do starej nazwy) nie będzie tym potencjalnym nabywcą. Chociaż byłoby to bardzo śmieszne. Józef Stalin w prywatnym ogrodzie Baty upłynniony za dolary w ramach wolnego rynku. Patrzy bezsilnie z Toronto na ruinę swego dzieła. Takiej zsyłki nieśmiertelny Wódz Narodów się nie spodziewał. Ani tego, że upaństwowiony raz na zawsze Bata uszyje mu takie buty. Jest to jednak zgodne z teorią Lenina o sznurze. Nie pierwszy raz kapitaliści ratują od kłębki. Nawet pomniki.

Wracając do demontażu tych ostatnich, to nie jest to wesołe. Pasierbica rzeźbiarza Marii Zbigniewa Dunajewskiego, twórcy posągu Dzierżyńskiego, patrząc na dziką radość warszawskiego tłumu wyznała, że gdyby jej ojciec żył, to by tego momentu nie przeżył. Nie przeżyłby śmierci swego pomnika. Pękłoby mu serce. Zbyt wiele pasji w to włożył. Dzierżyński był jego *magnum opus*. Sensem życia.

Autor rzeźby Lenina, profesor Marian Konieczny, jest w nieco lepszym położeniu. Włodzimierz Iljicz nie jest jego jedynym dziełem. Ma na swoim koncie Bohaterską Nike w Warszawie i Tadeusza Kościuszkę w Filadelfii. Nic nie wróży, by pomniki te spadły z cokołów. Poza tym Profesor żyje i wciąż jest w świetnej formie. Niemniej głęboko mu współczuję. W końcu gdy pomnik przeżywa twórcę, jest to rzecz normalna, natomiast gdy twórca pomnik, to jest to coś niezwykłego. I wielce zasmucającego. Ale co robić. Dzieło nawet najbardziej wspinałe zawsze związane jest z prototypem. Nie sądzę, żeby Nicolae Ceausescu spoglądając na swoje marmurowe popiersie zastanawiał się nad tym, ale autor, który go rzeźbił, powinien. Przykro bowiem patrzeć na własny pomnik, jak dynda na stalowej linii nadstawiając karku za innych. W końcu stał na cokole.

Jak posąg. To tylko ten co pozował miał odchylenia. Trudno odpowiadać za model. Ale wytłumacz to rozgniewanemu tłumowi? Nie da rady. I facetowi z brązu dołoży. „Chłop żywemu nie przepuści!” — jak wiadomo z innej ballady, żeby rzecz zamknąć tym ludowym refrenem. Poeta rzymski zaś pisał: „*Exegi monumentum*”. Swoją pomnik co prawda wznosił ze słów, ale jak słusznie przewidział, okazały się trwalsze od spizu. Dlaczego? Może dlatego po prostu, że nie były z wazeliny. Potem zerwał z dworem cesarza i żaden wzór mu już nie przyświecał. Miał serce i patrzył w serce. Oto i cały program. W ten sposób osiągnął nieśmiertelność. A za życia nie musiał się bać, że mu coś pęknie.

Jarosław ABRAMOW-NEWERLY

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. • Odczytywanie recept krajowych. • Wszelkie aparaty medyczne. • Okulary. • Aparaty słuchowe. • Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom Wysyłkowy.

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London 3W5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madam C. Piquard-Zabłocki,
12, rue Condorcet, 75009 Paris, France,

Tel.: 42 85 79 45

Jak bije serce! Więc tylko dla mnie takie szczęście,
nikt nie wie, nikt nie zna złotej cudowności jej ciała.

Tylko dla ciebie — kiwam głową i patrzę na jezioro — tylko
dla ciebie i tak od milleniów, żeby sławione było piękno
ziemi.

A teraz, po długim życiu, podstępnie sprawiedliwy, mądry
tylko szukaniem, zapytuję czy było warto.

Czyniąc dobro, czynimy razem zło, równe szale, nie więcej,
i na ślepo spełniane przeznaczenie.

Pusto, nie czułem przelotu zatroskanych duchów, tylko wiatr
giął sitowie, nie mogłem więc powiedzieć do niej: no widzisz.

Jakoś przebrnąłem, dużo we mnie wdzięczności bo nie byłem
poddany próbom nad moje siły, a jednak dalej myślę, że dusza
ludzka należy do anty-świata.

Który jest prawdziwy, tak jak ten tutaj jest i prawdziwy, i
straszny i śmieszny i bezsensowny.

Trudziłem się i wybierałem jego przeciwieństwo: naturę dosko-
nałą, wyniesioną ponad chaos i przemijanie, ogród niezmienny
po drugiej stronie czasu.

Czesław MIŁOSZ

Wiersze

Czesław MIŁOSZ

POWRÓT

W starości wybrałem się do miejsc po których kiedyś
błądziła moja wczesna młodość.

Rozpoznałem zapachy, linie połodowcowych pagórków,
owalne misy jezior.

Przedzierałem się gąszczem tam gdzie kiedyś był park,
ale nie znalazłem śladów alei.

Stanąłem nad wodą i tak jak wtedy lekko łuszczyła się fala,
niepojęta identyczność, niepojęte oddzielenie.

A jednak nie zaprę się ciebie, nieszczęsny młodziku
i powodów twoich cierpień nie nazwę głupimi.

Komu nagle odsłania się bezlitosna prawda istnienia,
ten nie może nie spytać: jak to jest możliwe?

Jak jest możliwe, chyba wymyślone przez okrutnego demiurga,
takie urządzenie świata?

Obojętna wiedza dorosłych nie przynosi zaszczytu
i hańbiąca jest zgoda ćwiczona w chytrości.

Honorowany niech będzie protest przeciw niezłomnemu prawu
i bębenkowy pistolet w rękę młodzianków kiedy na wieki
wyrzekają się uczestnictwa.

A wtedy — czyż nie było tak? — dłoń kobiety zakrywa
nam oczy i złożony zostaje dar: brunatne tarcze jej piersi,
hebanowa kępka podbrzusza nad zrzucaną suknią.

Pleszyce miasto

Wstęp

Miasto stało prostopadle do Wielkiej Sowy (1.015 m wysokości), w dole u podnóża płynie Potok Pieszycy (obecnie kanał ścieków miejskich i zakładów włókienniczych). W kanale imperium szczyrów, które wraz z domowymi złodziejami wychodzą nocą na żer.

Wiosną śniegi topnieją, cięciwa potoku rozpręza się, puszcza strzały powodzi, latem szpak do szpaka szpakowym językiem mówi. Drzewa czereśniowe — panny weselne — pozdrawiają gości, oczarowując swym wdziękiem i pięknem miejscową dzieciarnię.

Pleszyce, miasto robotników i chłopów, drzemią wśród pól rzepakowo-buraczano-ziemniaczanych, długości 24-ech lat mojego życia i 10-ciu kilometrów, 10 tys. dusz, dwóch kościołów (św. Jakuba i św. Antoniego), jednego posterunku MO, sześciu szkół, trzech przedszkoli, szpitala, ośrodka zdrowia, banku spółdzielczego, pałacu i parku w stylu barokowym.

Pleszyce, miasto niebieskich kwiatków, kwitnących co roku w tym samym miejscu niedaleko parkowej kaplicy z ukrzyżowanym Jezusem z jednej strony i Matką Boską z drugiej.

Obok kaplicy jest kamienna ławka, na niej śpi Stasiu Szczyпка, stały lokator zakładów odwykowych i karnych, przyjaciel przyrody i ludzi, który nie tylko stopę, rękę, ale i serce na cierniu skaleczył. Wzrok ma utkwiony w niebie Boga i świętych, planet i gwiazd, błyskawic i ptaków.

W oczach nieba jest małą białą czereśniową dżdżownicą, nadużywającą cierpliwości. Wyśnij, wyśpiewaj, wypowiedz swój ból. Czekam.

Krótki zarys wydarzeń historycznych

Założycielem Pieszyc, jak głosi tradycja, był magnat Piotr Włostowic, który był znany na Dolnym Śląsku jako fundator kościołów. To on (prawdopodobnie) założył tutejszą kaplicę (kościół św. Jakuba) zbudowaną w połowie XIII wieku jako filia kościoła św. Jerzego w Dzierżoniowie. W 1248 r. biskup wrocławski Tomasz nadaje kościołowi św. Jakuba godność placówki parafialnej. W 1525 r. przebudowany został w stylu gotyckim.

Najcenniejsze zachowane jego partie to prezbiterium — część nawy — wykonane ze zwykłego kamienia polnego. W południowej stronie nawy znajduje się rzeźbiony w kamieniu późnogotycki portal. W latach 70-tych naszego wieku w kościele odkryto cenne freski pochodzące z XIV w.

Na lekcjach religii w salce na poddaszu kościółka św. Jakuba ksiądz wikary długim pacierzem wygania z nas ośmioletnich duchy nieczyste. Portrety aniołów o uśmiechach grzecznych lalek plastikowych patrzą na nas, któż im mógł wierzyć; dziewcząt nigdy nie podejrzają, w pokera na papierosy nie grają, za kotem, ptakiem ani w szybę kamieniem nie rzucą, w wojnę się nie bawią, z krwawiącym nosem do domu nie wrócą, za potrzebą nie idą w krzaki, nie mają sińców pod oczyma, podrapanych policzków, kolan, łokci, podartych spodni. Nikt im nie przepowiada przeszłości z dziur na tyłku, a wychowawcy nie zastanawiają się, co z nich wyrośnie.

W drugiej połowie XIII wieku następuje napływ kolonistów niemieckich i osada zwana wówczas Pietrolesie znajduje się w ręku feudałów niemieckich; od 1604 r. von Peterswaldów, później von Gelhornów, którzy sprawowali władzę nad Pieszycami blisko dwa stulecia. Za ich panowania został zbudowany imponujący pałac.

Budowla wzniesiona w roku 1580, pierwotnie renesansowa, przebudowana na przełomie XVII i XVIII w. w stylu barokowym. Zbudowana z cegły i kamienia polnego. Teren pałacowy otoczony murem ceglany na cokole z kamienia polnego. Wokół pałacu były ogrody pełne posągów, fontann, egzotycznych krzewów, ptaszarnie, altany, oswojone sarny i jelenie.

Pamiętam dobrze pałac i park wokół niego. W latach 60-tych mieściło się w nim kino „Słońce”. W nim po raz pierwszy w życiu w wieku lat dziewięciu obejrzałem film (wraz z rodzicami) dozwolony od lat czternastu pt. „Krzyżacy”.

Dwadzieścia lat po zakończeniu działań wojennych (Pleszyce zostały wyzwolone spod panowania niemieckiego 9 maja 1945 r. przez wojska sowieckie pod dowództwem gen. płk. Iwana Karawa-

nikowa) pałac, chluba Sudetów (Wersal) był już w ruinie, a wnętrza pałacowe w gruzach.

Do zniszczenia pałacu przyczyniła się powracająca z Berlina w 1945 r. zwycięska Armia Czerwona (Pieszycy nie uległy zniszczeniom wojennym). To ona wszystko co się dało podnieść, wynieść, załadować na wagony towarowe wysłała na wschód. Dalszego spustoszenia dokonała ludność napływowa z Kresów (przesiedleńcy) i Centralnej Polski (osadnicy).

Na dreźnieńskiej porcelanowej zastawie stołowej karmiono kaczkę, kury, świnie. Do dzisiaj wielu moich kolegów ma na ścianach swych mieszkań obrazy, poroża, wypchane zwierzęta leśne, a jeden z Kamionek (dzielnica Pieszyc) nawet całego wypchanego niedźwiedzia. Wszystko pochodzi z byłego pałacu.

Podobny los spotkał park. Szpalery starych 200-300-letnich lip zniszczono. Na klombach kwiatnych miejscowi chłopcy wypasali bydło, a w stawach zamiast łabędzi pływały dzieci, kaczki i gęsi, ropuchy.

Teren pałacu i parku to teren mych (wraz z kolegami) penetracji. Mieszkałem od pałacu w linii prostej nie więcej niż 500 m. Moja Arkadia, symbol szczęścia, śpiewów ptaków, wielobarwnych motyli, żab. W Arkadii ukryci pod dachem (dach nie był dachem, ale wielką dziurą obszytą niebem z gwiazdami) chłopcy czytają wiersze, palą papierosy ukradzione rodzicom, układają plany zdobycia wielkich miast i najwyższych lip w parku. Miejsce to uważają za najważniejszą tajemnicę w ich życiu, o której wiedzą tylko zbłąkane gołębie, miłośnicy wierszy, złodzieje wronich jaj.

Hulaszczy tryb życia Ernesta von Gelhorna i niedołęzne rządy jego następców sprawiły, że dobra pieszyckie objęte były licytacją. Nabył je Bernard von Mohrenthal, wzbogacony kupiec z Jeleniej Góry. Założył tu konkurencyjną dla cechu płócienników i sukienników manufakturę tkacką. W oparciu o werbowanych ze wsi tzw. wolnych tkaczy rozwinął na dużą skalę produkcję płótna lnianego, które eksportował przez własne agendy na rynki Rosji, Włoch, Anglii. Walka konkurencyjna doprowadziła jednak jego przedsiębiorstwo do bankructwa, a sam Mohrenthal zmarł w 1717 w więzieniu. W 1718 r. dobra pieszyckie znalazły się w rękach grafa E. von Promitza, tytularnego ministra króla polskiego i elektora saskiego Augusta Mocnego. Rozbudowana przez niego manufaktura, zatrudniająca

sprawdzonych z Saksonii tkaczy, produkowała doskonale tkaniny, dostarczając ich m.in. na rynki polskie.

Wojny śląskie i śmierć Promitza przyniosły w II połowie XVIII w. kryzys, co przyczyniło się do znacznego bezrobocia wśród tkaczy. Drożała żywność, zarobki robotników spadały, szerzyły się głód i nędza. Zaczęły się częste bunty przeciwko fabrykantom. W 1844 miał miejsce największy strajk tkaczy pieszyckich. Rozwścieczony głodny tłum zniszczył krosna fabryczne, podpalił domy fabrykantów, a następnie kilkusetosobowa grupa udała się do pobliskiej wsi Bielawy. Bielawscy tkacze zsolidaryzowali się z pieszyckimi i wspólnymi siłami zniszczyli fabryki bielawskich fabrykantów. Strajk zakończył się krwawo, zdławiony przez wojsko przybyłe z pobliskiego garnizonu w Świdnicy.

Echa strajku pieszyckich tkaczy dość mocno zostały zaakcentowane w literaturze niemieckiej. Heinrich Heine napisał wiersz pt. „Tkacze śląscy” (*Die Schlesischen Weber*, 1844). Gerhart Hauptmann (literacka nagroda Nobla 1912) napisał dramat pt. *Tkacze* (*Die Weber*, 1892). Jest to jedna z najświetniejszych sztuk o losach proletariatu niemieckiego. Bohaterem sztuki nie jest jednostka lecz lud, wyzyskiwany i uciskany, żyjący w strasznej biedzie. Nędza rodzi sprzeciw. Na utwór ten zwrócił uwagę Lenin i spowodował jego przekład na rosyjski.

Pieszyckie tkaczki, ulice Kościuszki, 1 Maja, Kopernika, Nadbrzeżna, Świdnicka, Ogrodowa, Mickiewicza, Zamkowa w promieniach słońca wygrzewają się jak bezpańskie koty o chudych bokach, brudnej sierści, wiecznie głodne. Za chwilę podłużne szare bramy domów pękają jak worki przeładowane pszenicą, wysypując dumę miasta — tkaczki.

Podmiejskie autobusy z Rościszowa, Piskorzowa, Kamionek, Bratoszowa, Bielawy, Dzierżoniowa, Stachowic, nawet z Lutomi i Niemczy, jak cienie, prawie niewidzialne niteczki poruszają pieszyckiego molocha, nadając jego ruchom sens, wyznaczając porządek i kierunek.

Widzę je bardzo wyraźnie (po pięciu latach nieobecności): młode, zdrowe, pełne energii i seksualnych pokus tkaczki, pracujące na akord, śpieszą się do swych fabrycznych krosien na drugą zmianę. Prawie wszystkie są ze wsi, widać to, gdy stawiają kroki na chodniku, a ich wielkie tyłki i biodra falują, przelewając tłuszcz z boku na bok, idą niosąc wielkie brzuchy jak senne poduszki, idą jasnowłose boginie z obrazów Rubensa o piersiach ciężkich i słodkich jak brzoskwinie, niewinne, czyste, orzeźwiający jak górskie powietrze.

Idą córki pól buraczanych, siostry koniczyny, moje kochanki, kuzynki, matki, idą śmiejąc się i rozmawiając głośno, idą niosąc w swych siatkach, torebkach, reklamówkach plastikowych jedzenie, szminki, stare bilety autobusowe, lusterka, kolory do oczu, jabłka, kanapki, zdjęcia chłopaków z wojska.

Idą równo ramię w ramię, noga w nogę, wypełniając krokami ulice, idą drzewa, domy, latarnie uliczne, idą autobusy, samochody, obłoki, ptaki, tupot nóg, tupot nóg, tupot nóg. Na ich twarzach nie ma zmęczenia, ich twarze mają wyraz dzikiego zwierzęcia, ich twarze napelnione są pewnością siebie i zadowoleniem, ich twarze mają rysy twarzy ze starych obrazów, ich twarze podobne są do twarzy sułtańskich niewolnic, londyńskich przekupek.

Idą tylko same twarze — śmieją się głośno, idą tylko ich głosy — rozmawiają głośno, idą ich serca — biją głośno, idą ich piersi...

Zakończenie

Powojenne dzieje Pieszyc to dalsze kontynuowanie tradycji tkackich. Przemysł włókienniczy skupił się w dziewięciu oddziałach. W latach 60-tych zostały one przyłączone do bielawskich zakładów. Powstała jedna dyrekcja, jeden zarząd pod nazwą Bielawskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Bieltex” w Bielawie.

W Pieszycach z czasem zamknięto przyzakładową szkołę zawodową oraz technikum włókiennictwa. Internat szkoły, w którym mieszkała młodzież z Ochotniczego Hufca Pracy zlikwidowano (zamieniając go na hotel robotniczy, w jednym pokoju o powierzchni 15 m kwadratowych mieszka rodzina czteroosobowa).

Z Pieszyc wyjechałem w roku 1981, od tego czasu tam nie byłem (nie licząc trzech tygodni w 1989). Dużo się nie zmieniło, a jeśli tak, to na gorsze. Na przykład został wyburzony (na początku lat 80-tych) poniemiecki budynek przy ulicy Kopernika 1, w którym mieścił się Zakładowy Dom Kultury „Prządka”, zwany potocznie klubem. W klubie miały siedzibę sekcje sportowo-rekreacyjne oraz kółka amatorskie, np. sekcja fotograficzna, malarska, wysokogórska, kajakarska, dziecięcy teatrzyk, kabaret „czwartek” (byłem instruktorem teatrzyku i kabaretu), biblioteka zakładowa z 10.000 tomów, czytelnia, która służyła nieraz jako sala wystawowa malarstwa lub rzeźby, oraz wielka sala widowiskowo-teatralna (nieczynna od wielu lat). Ponadto zamknięto dwie restauracje (nie było czym handlować). Na dobrą sprawę obecnie nie ma gdzie się napić kawy lub piwa. Młodzież ucieka lub wyjeżdża do innych miast (od 1945 r. wybudowano

15 budynków mieszkalnych, tzw. osiedle przy ulicy Ogrodowej). Starsi tłumnie chodzą do dwóch kościołów, jak nigdy przedtem.

Rozmawiałem z koleżankami mojej mamy (od dwudziestu lat już nie żyje) niektóre z nich jeszcze pracują (emerytura to pewna głodówka). Potwierdziły moje obawy, że przemysł włókienniczy w Pieszycach chyli się ku upadkowi. Kilka oddziałów już zamknięto lub zamieniono na magazyny. Park maszynowy (przeważnie krosna czeskie lub szwajcarskie) jest przestarzały co najmniej o 25-30 lat w porównaniu ze standardem zachodnim. Ludzie pracują w niektórych wydziałach na maszynach sprzed II wojny światowej (których Armia Czerwona nie wywozła).

DWA WIERSZE PIESZYCKIE

BYŁEM W KOŚCIELE ŚW. ANTONIEGO

w niedzielny poranek
usłyszałem dzwony kościelne
tkliwym i ujmującym basem
zapraszały mnie na mszę

i was słyszałem, dostojne organy
klawiszami ust opowiedziałyście
moje chrzcziny i dzieciństwo
ceremonie pogrzebowe rodziców

wdzięczny jestem wam, organy
(dużo o was myślałem w san francisco)
za schwytyany śpiew wiatru
świsł siekiery rąbiącej drewno na podpałkę
zapach kiszzonej kapusty, skoszzonej łąki
przed podniesieniem hostii

i was słyszałem, dzwoneczki
jagód, poziomek, truskawek
(przypomnieliście mi porę robienia konfitur
suszenia grzybów, uszczelniania okien)
głosem swoim przywoływałyście Boga
który ukryty pod postacią chleba i wina
wiernym został pokazany przez proboszcza

TO MIASTO UMARŁO WE MNIE

to miasto umarło we mnie
zupełnie niespodziewanie
jak moja matka
z soboty na niedzielę

pieszyce kiedyś niegrzeczny chłopiec
ścigający się z motylami w parku
hodujący trzmiele i chrabąszcze
w słoikach po dżemach
przeszkadzający rodzicom i gościom
przy stole
arogancko wyciągający ręce po ciastka
głośno domagający się oranżady

dzisiaj leży spokojnie
w trumience mojego serca

czy był piękny, mądry, dobry
— ależ nie
— był kochany

Pieszyce X.89

Adam LIZAKOWSKI

Źródła: 1. *Dzierżoniów i okolice*, wyd. przez Towarzystwo Miłośników Dzierżoniowa w 1988. 2. Fragmenty wierszy i wiersze z tomiku (maszynopis) pt. *Złodzieje czereśni*, San Francisco, styczeń 1990.

Archiwum polityczne

Ameryka Łacińska w ogniu

Wszystko poszło w ką. Hiperinflacja w Argentynie; w Brazylii galopująca inflacja, której nikt nie próbuje nawet powstrzymać, bo odchodzący rząd przestał istnieć, a nowy nie wie, od czego zaczynać; ceny podnoszone po dwa razy dziennie, zwykle o 50%; wątpliwości związane z przyszłością Chile; rosnący nieustannie terror w Kolumbii — wszystko to przestało być interesujące. Temat jest jeden i jedyny: inwazja Panamy!

Polityka nie jest wiedzą ścisłą i nie opiera się na żelaznych przesłankach, dopuszcza różne opinie. W tym wypadku nie ma różnic. Reakcja narodów łańskich w Ameryce Północnej, Środkowej, Południowej i w basenie Morza Karaibskiego jest identyczna: bunt przeciw Bushowi! Od Meksyku do Patagonii około 400 milionów Latynosów wyraża sprzeciw, protest i bunt. Ten wybuch nie oznacza chęci obrony Norwegii, człowieka, który z całą pewnością nie zasługuje na obronę. Nienawiść odnosi się wyłącznie do amerykańskiego napadu zbrojnego na Panamę, a korzenie jej sięgają 80 lat wstecz, kiedy Teodor Roosevelt zdecydował, że pomoc dla milionów wynędzniałych analfabetów jest nonsensem i że o wiele łatwiej i taniej jest płacić łapówki miejscowym generałom, którzy dobrze wiedzą, jak utrzymać tubylców w posłuszeństwie i pokorze.

W odczuciu Latynosów Bush pogwałcił suwerenność i niepodległość Panamy. Co więcej, wynika z tego, że jest gotów przekreślić suwerenność wszystkich krajów łańskich (a tego rodzaju precedensów nigdy nie brakowało). Zaprotestowali odchodzący prezydent Brazylii i nadchodzący prezydent Collor — żadnego z nich nie można posądzać o lewicowe ciągotki. Zaprotestowali prezydent Argentyny i tradycyjnie proamerykański Pinochet, prezydent Wenezueli i prezydent Meksyku, nie

biorąc już pod uwagę rządów, które nigdy nie pały miłością do Stanów Zjednoczonych.

Dlaczego Bush postanowił wykończyć Noriegę? Jeśli z uwagi na jego potężną siatkę handlu narkotykami, to dlaczego nie uderzył w Kolumbię, kontrolującą 80% handlu kokainą? Jeśli chodziło o obronę demokracji, to kto dał prezydentowi Bushowi prawo do obrony demokracji w innych krajach? Jeśli chodziło o zagwarantowanie bezpieczeństwa żołnierzom amerykańskim, to w każdej wojnie istnieje niebezpieczeństwo strat ludzkich. Rosja uderzyła na Afganistan też w obronie demokracji i prezydent Reagan nazwał ją za to „imperium zła”. Kto był gorszy, pytają politolodzy brazylijscy, Reagan czy Bush? Reagan był człowiekiem wesolutkim i zaśmiewał się z własnych dowcipów bez pointy. Bush jest poważniejszy, ale jest kwakrem, a kwakrzy są ludźmi o wysokim poczuciu moralności, ale pozbawionymi daru szybkiej decyzji, myślą powoli. Największy tygodnik polityczny, *Veja* wychodzący w San Paulo, zastanawia się z sarkazmem, co by się stało, gdyby Bush doszedł do wniosku, że prezydent Mitterrand ma na sumieniu różne grzeszki. Czy rzuciłby na Francję kilka pułków spadochroniarzy? Z pewnością nie, bo Biały Dom uderza tylko na republikę dominikańską, na Haiti, na Grenadę, na Panamę, i z uporem myśli o inwazji Nikaragui.

Cały plan inwazji był dziełem amatorów albo obłąkańców. Rzucić na niepodległy kraj wojsko, samoloty i czołgi, aby złapać Noriegę, co się nie udało, a potem ogłosić premię miliona dolarów za informację o miejscu ukrywania się, zakrawało na drugorzędny film z Hollywoodu. Noriega skrył się w nuncjaturze, a potem z niej wyszedł i został natychmiast zakuty w kajdany i przewieziony do Miami, gdzie mu obiecano wyrok 145 lat więzienia. Ale Noriega nie był oskarżony, był jedynie podejrzany i zgodnie z konstytucją Stanów Zjednoczonych za wcześniej było na traktowanie go jako kandydata na ciężki wyrok. Ale tego rodzaju scenariusz był Bushowi potrzebny na użytek wewnętrzny, choć koszt własny wyniósł 23 zabitych i 323 rannych Amerykanów.

Stowarzyszenie Korespondentów Prasy Zagranicznej w Rio de Janeiro zorganizowało wieczór dyskusyjny na temat Bush — Panama. Najbardziej zjadliwi byli dziennikarze z krajów łańskich. Pienili się ze złości: dobrze nam tak! Nasze reakcje, nasze protesty były bez znaczenia. Powinno się krzyczyć, maszerować, wybijać szyby, opluwać amerykańskich dyplomatów — wszystko zgodnie z temperamentem łańskim. Korespondenci prasy amerykańskiej byli bardziej cyniczni. Wiadomo, że Bush musiał wykończyć Noriegę, ale przecież mógł to zrobić tanio i bezszelstnie, kontraktując jakiegoś agenta z izraelskiego Mossadu?

A dlaczego Bush musiał sprzątnąć Noriegę? Nie w obronie demokracji, nie aby ukarać za handel kokainą, gdyż import kokainy do Stanów Zjednoczonych można zlikwidować tylko uderzając w amerykańskich agentów bezpieczeństwa, w personel na lotniskach, w celników. Jak kiedyś powiedział boliwijski minister finansów Lozada, który zalegalizował handel kokainą, zmniejszając inflację z 24.000% do 3%: „Nie wpuszczajcie kokainy do siebie, to my nie będziemy mogli jej wam sprzedawać”. Również „pranie” nielegalnych pieniędzy nie dawało powodu do zbrojnej akcji. A więc dlaczego Bush musiał go sprzątnąć?

Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że Noriega pracował przez lata w CIA, kiedy Bush był szefem tej instytucji. Noriega był jego agentem, z gażą 200 tysięcy dolarów rocznie i załatwiał łącznie z płk. Northem nielegalny przewóz pieniędzy i broni dla *contras*. Noriega wiedział za dużo, był niewygodnym świadkiem. Dlatego prezydent Bush na swej ostatniej konferencji prasowej odmówił odpowiedzi korespondentce agencji prasowej UPI, która powołując się na oskarżenia Noriegi z lat 1981-1986, zapytała prezydenta, czy było mu wiadome, że w tym czasie Noriega był głęboko zamieszany w handel kokainą? Może drugim powodem był fakt, że zbliża się czas oddania Kanału Panamskiego w ręce rządu panamskiego i bezład w tym kraju może uniemożliwić przekazanie kanału? Kto wie?

Obłąkany pomysł Busha nie był tylko klęską taktyczną, był przede wszystkim zbrodnią polityczną, kiedy w przeddzień napadu na Panamę dogadał się z Gorbaczowem na Malcie. Za wcześniej w tej chwili na rozszyfrowanie zagadki azylu w nuncjaturze i decyzji Noriegi, by oddać się w ręce amerykańskie. Teoretycznie najlepszym dla niego rozwiązaniem był azyl w jakimś trzecim kraju. W rachubę wchodził jedynie Fidel Castro, ale dla Busha byłoby to nie do pomyślenia, bo musiałby napaść z kolei na Kubę. W swym amatorstwie Amerykanie użyli sposobów nielegalnych, nawet łobuzerskich. Głośniki radiowe nadające piosenki rockowe przez 72 godziny, nieustannie na pełną „parę” i reflektory skierowane silnym światłem w okna nuncjatury — to nie były sposoby godne wielkiego mocarstwa. Włamanie do rezydencji ambasadora Nikaragui w Panamie, kradzież jego bielizny, krawatów i tysiąca dolarów w gotówce również nie należą do ceremoniału dyplomatycznego.

W tej chwili jedno jest tylko pewne: że film ten jest daleki od epilogu. Nasi amerykańscy koledzy wskazywali na możliwości najrozmaitszych niespodzianek. Przede wszystkim dowody winy Noriegi są oparte na zeznaniach aresztowanych handlarzy narkotyków, którzy w zamian za zmniejszenie kary zdecydowali się go sypać. Żaden sąd przysięgłych nie oprze aktu oskarżenia na takich przesłankach. Biały Dom, Pentagon i departament spra-

wiedliwości zgodnie zaprzeczają, jakoby zawarli z Noriegą jakiś układ. Ale to nieprawda. Istniał układ, pozwalający Noriedze oddać się w ręce amerykańskie w mundurze generała armii panamskiej, a drugi układ gwarantował mu, że w żadnym wypadku nie będzie skazany na karę śmierci. Dzienniki amerykańskie również odkryły, że główne dowody winy Noriega były skradzione z jego prywatnych archiwów i dlatego mogą być z łatwością odrzucone przez sąd. Dwaj obrońcy Noriega, adwokaci Steve Kollin i Frank Rubino, są dobrej myśli i widzą poważne szanse zwolnienia Noriega za kaucją, a przede wszystkim uważają, że liczne dowody mające służyć prokuratorom zostaną odrzucone jako nielegalne.

Panama znajduje się w stanie kompletnego chaosu. System sprawiedliwości przestał funkcjonować i pozostało jedynie kilkunastu sędziów mianowanych przez Noriegę. Seria omyłek i błędów ze strony amerykańskiej oraz nieumiejętność rządu Guilherma Endary sprawiły, że w Panamie właściwie niewiele się zmieniło: miejsce generała Noriega objął generał Maxwell Thurmon i wszystko pozostało jak było. Prezydent Bush na swej pierwszej po inwazji konferencji prasowej przyznał się do pewnego rodzaju zakłopotania z powodu niespodziewanej reakcji w Ameryce Łacińskiej. Zapowiedział, że wyśle do tych krajów swego wiceprezydenta Dana Quayle celem „wyjaśnienia nieporozumień”. Będzie to nowe posunięcie „słonia w składzie porcelany”. Raz, że nikt nie będzie chciał polemizować z wiceprezydentem, dwa, że wielu rozmówców nie zechce się z nim w ogóle spotkać, zwłaszcza że Quayle ma podobno przekazać wiadomość Busha, że tym razem była to sytuacja specjalna, która się nigdy więcej nie powtórzy. Być może, że nie powtórzy się więcej cierpliwość Latynosów i że napad na Panamę był ostatnią kropką w dalszym poddawaniu się amerykańskiemu systemowi kolonialnemu w Ameryce Łacińskiej. Brazylijski korespondent jednego z najbardziej wpływowych dzienników amerykańskich, zastrzegając sobie anonimowość, powiedział nam: Noriega jest rzezimieszkiem, ale jest człowiekiem bardzo inteligentnym i nie poszedłby na rzeź bez uprzedniego zabezpieczenia sobie nie tylko obrony, ale i zemsty. Należy się przygotować na wielkie niespodzianki, a wśród nich możliwość nowego Watergate.

Po wyborach w Brazylii

Na dziesięć dni przed terminem wyborów wybuchł w Brazylii wielki skandal. Wszechwładna plotka ogarnęła całe społeczeństwo, powodując panikę: czy odwołają wybory? czy możliwi

jest strajk generalny, rabunek sklepów, interwencja wojskowa? Wszystko wydawało się możliwe. Plotka wcale nie była bezpodstawna, a paromiesięczna kampania przedwyborcza zdawała się obracać w dramat.

Po dwudziestu latach dyktatury i dalszych pięciu latach rządów prezydenta Sarneya, naznaczonych rosnącym kryzysem, podwyżkami cen, galopującą inflacją i coraz to nowymi wielkimi aferami finansowymi, w które nieodmiennie byli zamieszani ludzie z kręgów władzy, pierwsze wolne demokratyczne wybory prezydenta republiki miały być wstępem do nowej epoki szczęścia i sukcesów. Po raz pierwszy prawo wyborcze przysługiwało młodzieży od 16-go roku życia, po raz pierwszy mieli głosować analfabeci. Do wyborów zarejestrowały się aż dwadzieścia trzy partie polityczne, z których może cztery czy pięć posiadało szanse zwycięstwa. Wszyscy kandydaci prześcigali się w atakach na prezydenta Sarneya, bo był to temat najpewniej gwarantujący poparcie wyborców. Najbrutalniejszym oskarżycielem Sarneya był 40-letni Fernando Collor de Mello, kandydat konserwatywny, który dzień w dzień, we wszystkich swych przemówieniach, wykrzykiwał, że o ile będzie wybrany, to już w pierwszym dniu każe aresztować Sarneya jako odpowiedzialnego za korupcję rządu, za defraudację funduszy publicznych, za popieranie państwowymi pieniędzmi kliki przychylnych sobie polityków. Wszystkie instytuty badania opinii publicznej oceniały szanse Collora na 45% głosów, podczas gdy wszyscy inni konkurenci nigdy nie przekraczali nawet połowy tego odsetka.

I nagle, w gorączce kampanii przedwyborczej, padł odosobniony głos: A ja lubię Sarneya! Był to Silvio Santos, który oświadczył, że chce być następnym prezydentem republiki, że nie potrzebuje żadnej propagandy, że nie posiada żadnego programu dla swego rządu, że nie ma żadnego doświadczenia politycznego i że nie będzie organizować żadnych wieców... gdyż zupełnie mu wystarczy popularność jego nazwiska, aby już w pierwszym terminie głosowania osiągnąć wymaganych 50% głosów plus jeden. Ze stolicy nadeszła wiadomość, obejmując lotem błyskawicy cały naród, że intelektualnym autorem kandydatury Silvia Santosa jest odchodzący prezydent Sarney. Kończy swój pięcioletni mandat w klimacie tragedii, jest otoczony powszechną pogardą i postanowił sobie zbudować nowy życiorys na przyszłość. Od dawna marzył, aby zostać generalnym sekretarzem Organizacji Narodów Zjednoczonych, obejmując to wspaniałe stanowisko pierwszego urzędnika świata po zakończeniu mandatu obecnego sekretarza Perea de Cuellara. Ale taką kandydaturę musi składać w ONZ rząd kraju pochodzenia kandydata. Jasna rzecz, że takiego podania nie złoży żaden przyszły prezydent Brazylii. Wpadło więc Sarneyowi do głowy, aby wylansować

takiego prezydenta, który złoży odpowiednie podanie. Oczywiście Silvio Santos, w zamian za stanowisko prezydenta Brazylii, bez wahania załatwiłby taką sprawę.

Kim jest Silvio Santos? Nazywa się Senor Abravanel i jest potomkiem greckiej gałęzi sefardyjskich Żydów. Jego pradziad, Isaak Abravanel, był w XV wieku doradcą króla Portugalii, Alfonsa Dziesiątego, a potem doradcą hiszpańskiego króla Ferdynanda i królowej Izabelli. Senor Abravanel urodził się w roku 1930 w biednej dzielnicy Rio de Janeiro i wcześniej zaczął zarabiać na życie. Jako uliczny sprzedawca grzebyków i tanich portfelików z plastyku, zawsze przy pracy nucił jakieś melodyjki i nieustannie wybuchał śmiechem. Jego wesołość przyciągała przechodniów i zjednywała mu klientów. Potem kursował, od rana do nocy, na promie kursującym między Rio de Janeiro i Niteroi na drugim brzegu zatoki. Na małym gramofonie wygrywał dla pasażerów popularne piosenki, zarabiając skromne napiwki. Później dostał się jakoś do radia i idąc wytrwale po tej linii, dotarł do wymarzonego celu, stając się popularnym konferansjerem wesołych programów radiowych, dostosowanych swym poziomem do prostych słuchaczy. Przed dziesięć laty Silvio Santos otrzymał koncesję rządową na własną sieć telewizyjną i na 49 dołączonych do niej podstacji oraz kanałów radiowych w całym kraju. Jego program niedzielny w telewizji i w radio nie ma żadnej konkurencji.

Dziś Silvio jest jednym z najpopularniejszych ludzi w Brazylii, królem rozrywki dla mas. W ciągu dziesięciu godzin, od rana do wieczora, nie schodzi ze sceny, tańcząc, śpiewając i co chwila wybuchając zaraźliwym śmiechem z własnych dowcipów. Jego audytorium składa się wyłącznie z kobiet z najniższych sfer. Dostają podwieczorek i biorą czynny udział we wszystkich wygłupach Santosa. On je nazywa „moimi koleżankami z pracy” i śpiewa z całą salą refreny piosenek, reklamujących towary sprzedawane w jego sklepach. Ten program stał się podstawą potęgi finansowej Silvia. Wymyślił „kufier szczęścia”, genialny pomysł nabierania ludzi. Siedem tysięcy sprzedawców w całym kraju natrętnie wciska ludziom książeczki oszczędnościowe z miesięcznymi splątami. Po 12 ratach, ale wpłaconych bez jednego dnia opóźnienia, szczęśliwy nabywca kufra szczęścia ma prawo do zakupu, rzekomo po zniżonych cenach, różnych towarów z jego sklepów. Właśnie do tego celu służy 10-godzinny program niedzielny, w trakcie którego Santos wywołuje nazwiska obdarowanych kobiet. Wprowadza je na scenę, a one, uszczęśliwione, pokornie mu dziękują za dary, dawno już przez nie spłacone. Mało tego, raz na miesiąc ktoś w losowaniu wygrywa samochód, luksusowy samochód, zero kilometrów na liczniku. Biedna szwaczka, kucharka czy panna sklepowa wpada

w przerażenie, kiedy Silvio wręcza jej kluczyk od wygranego wozu, tym bardziej, że jest zarzucana pytaniami, na które trudno odpowiedzieć publicznie zawstydzonej dziewczynie: A jak całujesz chłopaka w usta, to zamykasz oczy czy nie? Publiczność wyje z radości, a Silvio pęka ze śmiechu. A potem, już za kulisami, wylosowana szczęściara z radością przyjmuje propozycję: Ten samochód jest wart około dziesięciu tysięcy dolarów, ale co ci po nim? Czy nie lepiej dostać na rękę parę groszy, które wspomogą budżet domowy? Ona zgadza się z radością i dostaje do łapy kilkadziesiąt cruzados, a samochód pozostaje własnością Santosa. Pochodzi zresztą z jego własnej agencji kupna i sprzedaży samochodów. Ale tryumf propagandy jest wspaniały: Santos rozdaje ludziom nowe samochody!

Silvio Santos jest miliarderem. Co rok uczciwie zgłasza swoje dochody w urzędzie skarbowym i uczciwie płaci podatki od zadeklarowanej sumy 360 milionów dolarów rocznie, czyli miliona dolarów dziennie. Jego królestwo, poza kufrem szczęścia, składa się z 19-tu firm przemysłowych i handlowych: własna hodowla bydła, własna rzeźnia i dystrybucja mięsa, agencja sprzedaży samochodów, własna agencja reklamowa, własny bank inwestycyjny. No i zaczął się dramat, przemieniając Brazylię w pośmiewisko świata. Prawdziwy dreszczowiec w stylu powieści Agathy Christie. Silvio Santos zwawo wziął się do roboty — ale tu należy wyjaśnić, dlaczego dwadzieścia trzy partie polityczne, istniejące bądź też sfabrykowane na poczekaniu, zarejestrowały swych kandydatów. Przewidujący spryciarze liczyli, że niektórym kandydatom może w głosowaniu zabraknąć trochę głosów i wtedy oni nakazaliby swym zwolennikom, aby swe głosy oddali na kandydata „zaprzyjawnionego”. Santos natrafił na Brazylijską Partię Municypalną, o której nikt nigdy nie słyszał. Jej prezes zgodził się zrezygnować ze swej własnej kandydatury i odstąpić głosy municypalistów Santosowi. Mówiło się, że otrzymał za tę przysługę 1,5 miliona dolarów oraz stanowisko wiceprezydenta republiki. Opinia publiczna była wstrząśnięta. Oczywiście nikt nie kwestionował, że Silvio Santos, obywatel brazylijski, w wieku ponad 35 lat, ma prawo kandydować. Nawet fakt, że prawie nie istnieje, jako że kandydatem byłby Senor Abravanel, nie odgrywałby większej roli. Ostatecznie wszyscy wiedzą, że prezydent José Sarney nie nazywa się Sarney, lecz José Ribamar da Costa, a pseudonim Sarney przyjął od panińskiego nazwiska swej matki. Ale chodziło o usterki prawne i niedozwolone kruczki. Do Najwyższego Trybunału Wyborczego zaczęły wpływać protesty od Najwyższej Rady Adwokackiej, od innych partii politycznych. Wtedy Stowarzyszenie Korespondentów Prasy Zagranicznej zaprosiło na rozmowę przewodniczącego Najwyższego Trybunału Wyborczego, dr. Francisca Rezeka. W tym

spotkaniu z 90-oma korespondentami z 35-ciu krajów oraz 80-oma specjalnymi wysłannikami, którzy przybyli dla obsługi wyborów, dr Rezek przyjął apel prasy aby, przy zachowaniu wierności dla litery prawa, Trybunał wziął pod uwagę „okoliczności specjalne”, które zmuszają dziennikarzy zagranicznych do udziału w ośmieszaniu Brazylii w oczach świata, kiedy kandydatem na stanowisko prezydenta kraju miały być roześmiany konferansjer z włosami wymalowanymi na kolor kasztana, roztańczony analfabeta polityczny. Dr Rezek przyjął nasz apel i wykonał naszą prośbę. Wyrokiem Najwyższego Trybunału Silvio Santos został zdeklasyfikowany przez sędziów głosami 6:0. Ale dr Rezek, chcąc podkreślić „okoliczności specjalne”, dodał jeszcze swój głos, choć nie był do głosowania zobowiązany, i zatwierdził wyrok 7:0. Stowarzyszenie Korespondentów Prasy Zagranicznej zaprosiło przewodniczącego Najwyższego Trybunału. Prezes Francisco Rezek otrzymał nagrodę „Człowieka Roku”, uznaną przez prasę międzynarodową.

Wybory wygrał Fernando Collor de Mello większością 52,95 % głosów. Uczestniczyło w nich 65.856.999 głosujących. Była to operacja niewiarygodna, nieznana w historii. Trzeba wziąć pod uwagę, że 82 miliony wyborców mieszkają na obszarze 8,5 milionów kilometrów kwadratowych i że trzeba było ich kierować do 40-tu tysięcy biur wyborczych; że trzeba było ich nauczyć techniki składania głosów, biorąc pod uwagę wielką ilość analfabetów, szesnastoletków, głosujących po raz pierwszy, starców, niewidomych i kalek. Musieli do urn wyborczych przybywać często z głębokiego interioru. Musieli często pokonywać dziesiątki kilometrów, jadąc autobusami, na rowerach, konno, w czółnach albo i pieszo. Wszystko było dobrze zaplanowane, ale nie można było przewidzieć interwencji niebios. Oto na trzy dni przed datą wyborów tropikalne deszcze zalały północne dzielnice kraju. Zalane były drogi, zerwane mosty, wezbrane wody porwały z prądem setki domków i baraków, niszcząc cały dobytek biedaków. Rybak, który miał przewieźć trzy urny z osad na brzegach rzeki Rio Negro, załadował je do czółna, ale w tej chwili zobaczył, że nad brzegiem rzeki ukazał się lampart, który chciał rzucić się na jego dwie krowy. Wyskoczył z czółna i zastrzelił lamparta, ale w tym czasie prąd rzeki poniósł czółno. Znalaziono je dopiero na drugi dzień w odległości kilkunastu kilometrów. Zaalarmowana policja odwiozła urny helikopterem do stolicy.

Zgodnie z konstytucją nowy rząd obejmie władzę dopiero w dniu 15 marca. Do tego czasu Brazylia jest pozostawiona własnemu losowi — stary rząd już nie istnieje, a nowy nie jest skory do przejścia tragicznego spadku. Galopująca inflacja wykazała 53,5 % w grudniu i jest przewidywana na około 70 % w

styczniu. Chaos w sąsiedniej Argentynie wzmaga jeszcze panikę. Co robić z pieniędzmi? Wycofywać je z banków? Kupować dolary na czarnym rynku? Jak ratować oszczędności? „Front Ludowej Brazylii” zapowiedział przejście do ostrej opozycji. Ten Front składa się z socjalistów, z partii robotniczej, z komunistów, z proalbąńskich marksistów-leninistów oraz z młodych intelektualistów marzących o radykalnych zmianach. Nie pomagają wiadomości, że pół Europy ucieka od komunizmu i gospodarki planowej i że na liście uciekających może niebawem znaleźć się Związek Sowiecki. Brazylijska lewica nadal zachłystuje się prądami, które w całym świecie należą już do przeszłości.

Prezydent Collor zwyciężył większością czterech milionów głosów. W prasie brazylijskiej kursował złośliwy dowcip, przypisujący to zwycięstwo wyłącznie Bushowi. Bo gdyby Bush napadł na Panamę o tydzień wcześniej, to ultralewicowy „Front Ludowej Brazylii” ze swym nieprzejednanym antyamerykanizmem wygrałby wybory z największą łatwością, prawdopodobnie większością 95 % głosów. I wtedy Luis Inacio Lula da Silva posłałby Bushowi telex: *Happy New Year, Mr. President* — podpisany prezydent Brazylii.

Rozkaz z Medellin: Porywać zakładników!

Przywódcy kartelu narkotyków wydali instrukcję szefom regionalnym w Kolumbii, aby przyspieszyli porywanie członków wielkich rodzin. Wiąże się to z oświadczeniem prezydenta Virgilia Barco, który podniósł do pół miliona dolarów premię za pomoc w schwytaniu Pabla Escobara, uznanego dziś za szefa kartelu. W tej sytuacji, licząc się z ochotnikami na zainkasowanie pół miliona dolarów, kartel postanowił wzmocnić swoje finanse za pomocą okupu za uwolnienie porywanych bogaczy. W tej chwili kartel ma w swej władzy 17 zakładników, członków najbardziej znanych i potężnych rodzin, co stanowi poważny argument w walce z rządem. Ale kartel chce więcej.

W dalszym ciągu istnieją poważne poszlaki, że handlarze kokainy w Kolumbii noszą się z myślą przeniesienia swej centrali do Brazylii. Policja brazylijska i amerykańscy agenci do walki z narkotykami są zaalarmowani taką możliwością i starają się zniszczyć w zarodku tego rodzaju pomysł. Ich wysiłki nie przyniosły dotychczas pożądanych wyników, głównie z powodu dziesiątków milionów dolarów już zainwestowanych w Brazylii w celu znalezienia wpływowych adwokatów i zainteresowania skorpumpowanych władz. Kongres powołał komisję celem wykrycia sympatyków tej afery. Podobno na pierwszej liście „lekkio podej-

rzanych" figurują nazwiska wysokich urzędników państwowych, sędziów, dyplomatów, a nawet byłego osobistego sekretarza i byłego zięcia byłego prezydenta Sarneya. Znając obyczaje tego kraju, wcale nie jest pewne, że komisja parlamentarna zdoła wykonać powierzoną jej misję. Brazylia jest krajem marzeń wszystkich przestępców na świecie, poszukiwanych przez sądy w swych krajach pochodzenia. Jedno jest pewne, mianowicie od kilku miesięcy policja brazylijska na lotniskach międzynarodowych w Rio de Janeiro i w Sao Paulo wyłapuje i konfiskuje ładunki kokainy idące tranzytem z Boliwii w świat. W grudniu i w styczniu nie było tygodnia bez przechwycenia ładunku i to o godnej szacunku wadze pięciu, ośmiu i dziesięciu kilogramów.

Nieprzemysłane albo niedomówione posunięcia Białego Domu w dalszym ciągu komplikują sytuację. Prezydent Bush oświadczył, że okręty amerykańskie będą wysyłane do brzegów Kolumbii celem rewidowania transportów morskich i konfiskaty narkotyków eksportowanych do Stanów Zjednoczonych. Prezydent Kolumbii Virgilio Barco natychmiast ogłosił protest, oświadczając, że nie zezwala i nie zamierza zezwolić na obecność floty amerykańskiej na terytorialnych wodach Kolumbii. Dopiero na skutek takiej reakcji prezydent Bush ogłosił „poprawkę” do „źle zrozumianej” akcji, wyjaśniając, że poszukiwania transportów kokainy będą prowadzone na wodach międzynarodowych w basenie Morza Karaibskiego. Bush dodał, że tego rodzaju poszukiwania były i dotąd prowadzone, a obecnie będą rozszerzone, ale nigdy na terytorialnych wodach Kolumbii. Tymczasem jednak amerykański lotniskowiec „John Kennedy” i krążownik „Virginia”, oba poruszane energią atomową, wypłynęły z portu Norfolk w stanie Virginia i płyną w kierunku wybrzeży Kolumbii. Bush odmówił odpowiedzi na pytanie, czy te dwa okręty zbliżą się do wód terytorialnych Kolumbii. Tego rodzaju dwuznaczność i brak precyzji przyczyniły się do wzmożenia napięcia między obu krajami. Rząd kolumbijski odmówił przyjęcia amerykańskiej komisji, która miała przekazać cały plan wydatnej redukcji transportów kokainy, przy udziale samolotów E-2C zaopatrzonych w radar i operujących z pokładów lotniskowca „John Kennedy”. Kolumbia nie zamierza brać udziału w planach, w które nie była wtajemniczona i w których nie jest określony jej udział. Prezydent Barco określił plan amerykański jako jednostronny i zagrażający poświęconemu walce z narkotykami spotkaniu na szczycie, wyznaczonemu na dzień 15 lutego z udziałem Busha i prezydentów Kolumbii, Peru i Boliwii.

Prezydent Kolumbii, Virgilio Barco, jest, rzecz jasna, solidarny z Bushem w chęci zwalczania handlu narkotykami, ale odrzuca zasadę, że Bush miałby być naczelnym policjantem, samowolnie działającym w innych suwerennych krajach. Prezy-

dent Peru, Alan Garcia, ogłosił swą pełną solidarność z prezydentem Kolumbii. Poza tym Garcia nie strawił faktu otoczenia ambasady peruwiańskiej w Panamie pod pretekstem, że przebywają tam jacyś współpracownicy Noriega. Ciekawe, że Departament Stanu zaczął wykazywać objawy niepokoju, niechętnym okiem obserwując fakt, że Pentagon zupełnie wyraźnie przejmuje odpowiedzialność za politykę amerykańską w krajach Ameryki Łacińskiej, niepotrzebnie komplikując sytuację, do jakiej Departament Stanu nigdy by nie dopuścił.

Chile na drodze demokracji i dobrobytu

Senator Patricio Aylwin, umiarkowany chrześcijański demokrat i jedyny kandydat opozycji przeciw dyktatorowi Pinochetowi, został wybrany absolutną większością głosów (55,5%), podczas gdy kandydat rządu, młody ekonomista Herman Büchi, otrzymał jedynie 29,3% głosów. Były to pierwsze wybory prezydenta po roku 1970, kiedy wybrany został socjalista Salvador Allende. W roku 1973 generał Pinochet przeprowadził krwawy zamach stanu, rozpoczynając od masowych aresztowań, bombardowania pałacu rządu, tortur i mordów. Potem nastąpiło szesnaście lat represji, fachowo wykonywanych przez wykwalifikowanych żandarmów czyli carabineros. Brutalne rozpędzanie ulicznych manifestacji, z biciem, kopaniem i polewaniem manifestantów kolorową wodą, kończyło się aresztowaniem ludzi, przy czym ulubioną metodą carabineros było wciąganie za włosy do bud policyjnych pobitych i leżących na ulicach kobiet.

Senator Aylwin zjednoczył 17 stronnictw politycznych, od komunistów aż do chrześcijańskich demokratów i partii centrowych, co w ciągu lat wydawało się nieprawdopodobne. Pinochet nie przejął się przegraną, gdyż zarezerwował sobie w konstytucji, uchwalonej przez juntę wojskową, osiem dalszych lat na stanowisku naczelnego wodza. Na wszelki wypadek mianował jeszcze w ostatniej chwili najbardziej radykalnych generałów na wysunięte pozycje. Ze swej strony nowy prezydent Aylwin wygłosił do narodu spokojne przemówienie, w którym zapewnił, że jego rząd nie będzie opierał się na kontroli wojska i że on sam, jako prezydent państwa, będzie wykonywał wszystkie funkcje przewidziane dla jego stanowiska, a siły zbrojne będą winne głowie państwa posłuszeństwo.

Nikt nie przeczy, że mimo brutalnej dyktatury Chile znalazło się w dobrym stanie gospodarczym: minimalna inflacja, minimalne bezrobocie, poważne inwestycje zagraniczne. Dobrobyt objął jednak tylko połowę ludności, 30% żyje w biedzie, a

20 % w skrajnej nędzy. Dzisiaj, kiedy gospodarka światowa kieruje się w stronę basenu Oceanu Spokojnego, gdzie królują cztery „tygrysy” azjatyckie — Południowa Korea, Formoza, Hong Kong i Singapur — z powodzeniem naśladować tam plany rozwojowe Japonii, Chile ma pewne szanse na zajęcie pozycji piątego tygrysa. W dużej mierze zawdzięcza to Pinochetowi: w latach jego dyktatury wielu młodych ekonomistów, inżynierów, prawników i socjologów emigrowało do Stanów Zjednoczonych, pokończyło tam uniwersytety, a potem udało się na dalsze studia do Japonii. Japonia utrzymuje bardzo ożywione stosunki gospodarcze i finansowe z Chile, a jej słynna żelazna organizacja pracy zaczyna przynosić dobre wyniki także w Chile.

Nie darmo Chilijczycy uchodzą za najbardziej inteligentnych Latynosów. Wszyscy czytują przynajmniej jeden dziennik, a duży odsetek czyta po dwie gazety. Chilijczycy wyzywają się w polityce, rozumieją ją i posiadają kunszt jej prowadzenia, doskonale wyznając się na skomplikowanej umiejętności prowadzenia rokowań, jako najlepszej drodzy do porozumienia. Na szczęście Pinochet jest ostatnim już w galerii łacińskich generałów, jak Somosa z Nikaragui, Galtieri z Argentyny, Medici z Brazylii, Stoessner z Paragwaju — Fidel Castro przynajmniej nie jest generałem! Ale Chile jest krajem inteligentów i Herman Büchi, przegrany kandydat dyktatury, wcale nie musi być przegrany politykiem w reżymie demokracji.

Raczej zaskakujący był ostatni dekret admirała Merino, przewodniczącego junty wojskowej, rozwiązujący instytucję politycznej (CNI), która przez szesnaście lat dyktatury bezkarnie gwałciła prawa ludzkie. Zatrudniała 8 tysięcy umundurowanych policjantów i 6 tysięcy agentów cywilnych. Stworzono ją w roku 1977 na miejsce kontrwywiadu, skompromitowanego zabójstwem b. kanclerza Orlanda Leteliera, jednego z najczynniejszych przeciwników dyktatury Pinocheta. Letelier wraz ze swą amerykańską sekretarką zginęli w Waszyngtonie od bomby umieszczonej w jego samochodzie. Admirał Merino poinformował, że archiwa CNI będą częściowo zniszczone, a częściowo przeniesione do innych instytucji wojskowych. Nie jest to jednak takie pewne, gdyż wszystkie organizacje obrony praw człowieka, Kościół katolicki i stronnictwa demokratyczne już rozpoczęły ostrą kampanię domagającą się zachowania archiwów.

Maciej FELDHUZEN

Rio de Janeiro, styczeń 1990

Czy nowe Święte Przymierze?

Poruszony krwawymi wypadkami na placu Tienanmen w Pekinie, wybitny socjolog francuski Alain Touraine zaproponował latem zeszłego roku ustanowienie nowych norm prawa międzynarodowego, regulujących możliwość ingerencji w sprawy wewnętrzne państw w określonych wypadkach gwałcenia praw ludzkich. Jego argumentację streścić można w sposób następujący: umiemy protestować, ale nic nie czynimy. Należy zatem proklamować prawo organizacji niepaństwowych do niesienia pomocy ofiarom naruszeń praw człowieka, nawet wbrew woli państw. Należy uzgodnić środki wprowadzenia w życie tego prawa. Suwerenność państw nie może być totalna, lecz winna być podporządkowana uniwersalnym zasadom praw człowieka. Poszanowanie tej hierarchii winny wymusić nie tylko organizacje międzynarodowe, ale także sumienie opinii publicznej. „Ośmielamy się nazwać to po imieniu — pisał profesor Touraine — chodzi o prawo do ingerencji”.

Przez kilka miesięcy jego wywody dojrzewały najwyraźniej w zaciszu gabinetów ministerialnych. Gdy bowiem wydarzyły się nowe krwawe zajścia, tym razem w Rumunii, nastąpiło cudowne rozmnożenie wezwań do ingerencji. Katalizatorem była nieścista, jak się później okazało, informacja telewizji bukareszteńskiej z 23 grudnia, jakoby ZSSR miał zaferować powstańcom rumuńskim „pomoc wojskową udzieloną w trybie pilnym”. Wrażenie to spotęgował sam Gorbaczow, oświadczając na Zjeździe Deputowanych Ludowych, że nawiązano kontakt z państwami Układu Warszawskiego w sprawie „niesienia pomocy narodowi rumuńskiemu”. Gorączka opadła nieco dopiero w chwili, gdy premier Ryżkow powiedział dziennikarzom, że nie można powtarzać błędów przeszłości i że wysłanie wojsk do Rumunii jest rzeczą nie do przyjęcia.

Najbardziej znamienna w tym wszystkim była reakcja Zachodu, ilustrująca w sposób wręcz spektakularny przewrót, jaki dokonał się w tak krótkim czasie w stosunkach Wschód-Zachód. Amerykański sekretarz Stanu Baker, nie czekając na wyjaśnienie sprzecznych doniesień, stwierdził w wywiadzie telewizyjnym, że Stany Zjednoczone „udzieli poparcia zabiegom Układu Warszawskiego o niesienie pomocy (rumuńskiemu) Komitetowi Ocalenia Narodowego”. Stanowisko to podsygnowała być może po części koniunktura polityczna: w tym samym momencie

bowiem wojska amerykańskie obalały dyktatora Panamy Noriegę. Trudniej natomiast zrozumieć pośpiech przedstawicieli Anglii i Francji. Brytyjski minister Stanu w Foreign Office, Waldegrave, powiedział, że „jest rzeczą jasną, iż interweniować mogą tylko państwa członkowskie Układu Warszawskiego i ZSSR” oraz że „nasza postawa będzie postawą zrozumienia”. Francuski minister spraw zagranicznych, Dumas, ze swej strony zasugerował utworzenie międzynarodowej brygady ochotników, obiecując kandydatom do takiej jednostki pomoc Francji. Premier Rocard poszedł jeszcze dalej. Informując, że wszedł w kontakt z sowieckim *chargé d'affaires* w Paryżu, w porozumieniu z prezydentem Mitterrandem, premier zaznaczył, że Francja gotowa jest do dalszych uzgodnień, „aby ZSSR, który jest zarazem najbliższym sąsiadem (Rumunii) i gwarantem stabilności międzynarodowej w tym regionie, nie wyobrażał sobie, że jego decyzje mogłyby być krytykowane w imię nieufności ze strony innych państw”. Jak widać, zbyt daleką drogę przebyła Francja od czasu, kiedy jej wcześniejszy minister spraw zagranicznych, Cheysson, oświadczył w grudniu 81 r., po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce: „oczywiście nie zrobimy niczego”. Aby nie było wątpliwości co do zbieżności sposobów myślenia Wschodu i Zachodu, warto przytoczyć jeszcze jeden przykład; w swym przemówieniu na Zjeździe Deputowanych Gorbaczow mówił o „słusznej sprawie” narodu rumuńskiego, prezydent Bush zaś dla operacji wojskowej w Panamie wybrał kryptonim „Słuszna Sprawa”.

Nie jest moją intencją kwestionowanie słuszności i szlachetności sprawy powstańców rumuńskich. Z drobnymi i oczywistymi wyjątkami cieszyli się poparciem opinii światowej. Ale nie można zamykać oczu na pewne niebezpieczne konsekwencje cytowanych przed chwilą reakcji Wschodu i Zachodu. Reakcje te były pochopne. Nie uwzględniały faktu, że w Europie nadal istnieją bloki wojskowe i że zapewniając Gorbaczowa z góry o poparciu, utrwała się ten podział, dając mu wolną rękę do robienia porządku na obszarze, który uważa za własną podwórkę. Dzieje się to ponadto w momencie, kiedy myślano, że niesławna doktryna Breżniewa powędrowała na dobre na śmietnik historii. Obdarowana teraz nowym życiem — o ironio przez Zachód! — może ta doktryna znów stać się groźna w rękach Gorbaczowa, szukającego dróg ucieczki naprzód w obecnych swych tarapatkach, a tym bardziej w rękach ewentualnych jego następców. Uznanie prawa do ingerencji wewnątrz danego bloku oznacza tylko jedno: że słabsi mogą paść ofiarą ingerencji silniejszego zła, bo pamięć grudnia 81 r. jest zbyt świeża. Nie pomogą też sugestie tworzenia brygad międzynarodowych, bo wiemy, jakie to dało wyniki w Hiszpanii.

Czy wolno więc zakładać ręce w obliczu jaskrawej niesprawiedliwości i wołań o pomoc? Czy nie ma racji profesor Touraine, że umiemy protestować, ale nic nie czynimy? Odpowiedź w skali międzynarodowej polega może tylko na zaprowadzeniu systemu, który zdał już egzamin w skali państw uznawanych za praworządne, mianowicie systemu rządów prawa, a przede wszystkim nadrzędności prawa.

Nie ma miejsca w tym szkicu na analizę tego problemu z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Lepiej to zresztą powierzyć specjalistom. Powszechnie wiadomo jednak, że istnieje w prawie międzynarodowym zasada nieingerencji, zgodna z równoległymi zasadami autonomii i suwerenności poszczególnych państw. Dopuszczalne są jednak pewne wyjątki. Na przykład dane państwo mogło ograniczyć własną autonomię w drodze swobodnie podpisanych układów (wypadek państw członkowskich Wspólnoty Europejskiej). Podobnie, gdy państwa powołują do życia instytucje i organizacje międzynarodowe i przyznają im prawo do formułowania norm obowiązujących wszystkich członków, ograniczają tym samym w jakimś stopniu własną autonomię (wypadek Narodów Zjednoczonych).

Inną czołową zasadą prawa międzynarodowego jest nieuciekanie się do siły. Naruszenie tej zasady, wyrażonej w artykule 2 paragrafie 4 Karty Narodów Zjednoczonych, nazywa się zazwyczaj agresją. Jednakże i tu istnieją wyjątki, mające swe wykładnie w prawie międzynarodowym, ale otwierające niekiedy drogę do nadużyć pod pozorem poszanowania prawa. Należą do nich: prawo do samoobrony, do zbrojnego odwetu, do ochrony życia i mienia własnych obywateli.

Najnowszym i najbardziej obiecującym aspektem prawa międzynarodowego jest rosnące znaczenie, przypisywane prawom człowieka i ich ochronie. Główne dokumenty w tej dziedzinie to Powszechna Deklaracja Praw Człowieka (1948), Pakty Praw Obywatelskich i Politycznych (1966) i Akt Końcowy konferencji w Helsinkach (1975). Te i inne teksty (jest ich wiele) przez jednych są ignorowane, przez innych, którzy uznają ich znaczenie, uważane są za zbyt deklaratywne, gdyż pozbawione instrumentów wykonawczych. Ich wartość polega na tym, że stopniowo przenika do świadomości międzynarodowej zrozumienie, iż wszystkie państwa mają interes w krzewieniu podstawowych praw i że uznanie zasady ochrony tych praw narzuca współodpowiedzialność za formułowanie odpowiednich norm prawnych i za ich wprowadzanie w życie. Nastawienie do tego problemu tradycyjnie dyktowały względy polityczne. U szczytu swych wpływów blok sowiecki stał na stanowisku, że ochrona praw człowieka nie implikuje wzajemnego nadzoru ich poszanowania, jeśli mechanizmy kontrolne nie zostały uprzednio uzgodnione.

Trzeci Świat bronił się energicznie przed wszelkim wglądem w jego sprawy wewnętrzne w obawie przed przemożnymi wpływami wielkich mocarstw. Gdy zaś chodzi o Narody Zjednoczone, ich giętkość w tych kwestiach stała się przysłowiowa, zezwalając na uchwały potępiające naruszanie praw człowieka tylko tam, gdzie leżało to w interesie słynnego automatycznego bloku głosów (blok wschodni, Trzeci Świat). Być może sytuacja ta ulegnie zmianie w niedalekiej przyszłości.

Jeśli więc minister Dumas wzywa specjalistów od prawa międzynarodowego do przemyśleń nad ustanowieniem nowego „prawa do ingerencji” (uczynił to ponownie 3 stycznia w wywiadzie telewizyjnym) to zauważyć należy, że obecny smutny stan rzeczy bierze się nie z braku norm prawnych, lecz z braku woli politycznej państw do ich szanowania i wykonywania. Nie bez racji uskarżał się sekretarz generalny ONZ Perez de Cuellar w swym sprawozdaniu za rok 1988, że „pogarda dla prawa międzynarodowego charakteryzuje życie społeczności światowej”. Przejawia się to zresztą w różnych formach; nie tylko w otwartej agresji czy ingerencji, lecz na przykład w dostarczaniu broni obu stronom w danym konflikcie dla celów czysto handlowych.

Nikt nie twierdzi, że prawo międzynarodowe jest wyczerpujące i doskonałe, że potrafiło zadowalająco usunąć wewnętrzne sprzeczności w rodzaju konfliktu między zasadą ochrony praw człowieka a zasadą nieingerencji. Jak każde prawo, prawo międzynarodowe stale się rozwija. Tak się składa, że trzy miesiące po masakrze na placu Tienanmen i trzy miesiące przed rewolucją rumuńską Instytut Prawa Międzynarodowego (niezależna międzynarodowa instytucja naukowa) uchwalił rezolucję w sprawie „ochrony praw człowieka i zasad nieingerencji w wewnętrzne sprawy państw”. Uchwalała ta nie ma wprawdzie mocy prawnej, ale jest swoistym barometrem myśli rzeczoznawców. Stwierdza ona między innymi, że każde państwo ma wobec społeczności międzynarodowej obowiązek zapewnienia poszanowania praw człowieka; że obowiązek ten pociąga za sobą obowiązek solidarności wszystkich państw w dziele ochrony praw ludzkich; że żadne państwo nie może się uchylić od tego obowiązku pod pretekstem, że w grę wchodzi tylko jego sprawy wewnętrzne; że gdy dane państwo narusza ten obowiązek, inne państwa, działając indywidualnie lub zbiorowo, mają prawo podjąć przeciwko niemu kroki dyplomatyczne, gospodarcze czy inne z wyjątkiem użycia siły; że kroki te nie mogą być uznane za ingerencję w jego sprawy wewnętrzne; że wreszcie środki takie są szczególnie uzasadnione, kiedy stanowią odpowiedź na naruszanie praw człowieka o charakterze masowym lub systematycznym.

Ministrowie zachodni, którzy w grudniu tak bardzo życzyli sobie ingerencji sowieckiej w Rumunię, mogli byli tę uchwałę

przeczytać. Najwyraźniej tego nie uczynili. A tymczasem *Realpolitik* święci nowe triumfy. Wprawdzie nie ma już w Departamencie Stanu Henry Kissingera, wielbiciela księcia Metternicha i Świętego Przymierza, ale Stany Zjednoczone pod koniec stycznia uznały za stosowne udzielić otwartego poparcia Gorbaczowowi, kiedy w Azerbejdżanie uciekł się po raz pierwszy do nagiej przemocy, by podeprzeć chwiejące się imperium. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że Waszyngton dokonał przy tym wyraźnego rozróżnienia między użyciem siły dla tłumienia niepokoju etnicznych a stosowaniem podobnych środków dla likwidowania pokojowych aspiracji politycznych. Można było nic nie mówić, ale Ameryka wolała zwięzić swą swobodę manewru. Posłanie odebrane w Moskwie mogło być odmienne od zamierzonego: dziś Azerbejdżan, jutro Ukraina. Zamieszki etniczne jest przecież łatwo zorganizować i przy sposobności zlikwidować słuszne aspiracje polityczne. Chęć ulżenia Moskwie w jej rozlicznych kłopotach, rozgrzeszanie z góry ingerencji w Rumunię czy gdzie indziej to nowe znaki czasów: umarła Jałta, niech żyje Malta.

Andrzej KRZECZUNOWICZ

29 stycznia 1990

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA

1070 Wien, Burggasse 22

Tel.: 0222/93 87 222

GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:

CODZIENNE / TÄGLICH 10.00 - 18.00

SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND

KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Wywiady «Kultury»

Jakaś Afryka, proszę pana!

ROZMOWA Z JÓZEFEM KUŚMIERKIEM
O PROBLEMACH POLSKIEJ WSI

AURELIUSZ M. PEDZIWIOL: — Kiedy ostatnim razem rozmawialiśmy, przewidywał Pan horrendalny kurs dolara jeszcze przed końcem 1989 roku. Miało to być 30.000 zł. Minęły trzy miesiące, do końca roku zostało kilkanaście dni, a dolar kosztuje tyle, ile kosztował — około 7000 zł — mimo, że ceny w tym czasie drastycznie wzrosły. Różnica między kursem oficjalnym i kantorowym nawet zmalała. Jak to się stało, że się Pan aż tak pomylił (czego zresztą — jeśli Pan sobie przypomina — serdecznie Panu życzyłem)?

JÓZEF KUŚMIEREK: — Proszę pana, jeśli chodzi o kurs dolara w Polsce, to — jak pan się może zorientować z wręcz panicznych, czy może bezradnych głosów prasy — nikt tego nie jest w stanie wytłumaczyć. Biorąc pod uwagę wzrost cen i kosztów utrzymania, powinien być nastąpić wzrost, jaki przewidywałem. Co się dzieje z dolarem, na czym ta gra polega i kto tę grę prowadzi — tego poza utajnionymi służbami ministerstwa finansów (jeżeli ingerują na rynku) lub spekulantami (jeżeli to leży w ich interesie) nikt nie wie. Ale obawiam się, że ten nie odpowiadający wzrostowi cen kurs dolara w końcu pęknie i dogoni ceny, których gonitwy jesteśmy świadkami.

A.M.P.: — A ja chciałem pana zapytać, czy stabilizacja kursu dolara oznacza zaufanie społeczeństwa dla panów Mazowieckiego i Balcerowicza, czy jest raczej efektem jakichś tajemniczych spekulacji właścicieli kantorów! Ale Pan też nie wie.

J.K.: — Zaufanie do rządu Mazowieckiego i zaufanie na wyrost do programu Balcerowicza (którego to programu na dobrą sprawę nikt nie zna, bo Balcerowicz go dopiero przedstawi) wyraża się w tym, że w Polsce panuje spokój. Poza buntami więźniów (co było chyba do przewidzenia po całej tej historii z amnestią) w kraju jest jakaś przedziwna stabilizacja. Po prostu społeczeństwo wie, że żadnymi zaburzeniami już nic zdziałać nie może, i postanowiło czekać. Trochę bezradne, trochę bezwolne, ale postanowiło czekać. Nie wiem jednak, jak ludzie zareagują na podwyżki, które rząd zapowiada po pierwszym styczniu. Niech pan zrozumie, że jeszcze dwa-trzy tygodnie temu jadąc do redakcji na bilety autobusowe wydawałem koło dwustu złotych, a po pierwszym styczniu — jak obliczyłem — będę musiał wydać 1500 złotych. Wzrost więc będzie niesamowity. I to się zacznie odbijać na codziennym budżecie. Jeżeli bowiem za sam autobus będzie trzeba zapłacić pięć procent przeciętnej renty dziennie, to to się zacznie liczyć.

A.M.P.: — Zostawmy zatem dolarowe spekulacje, tym bardziej, że od stycznia złotówka ma się stać walutą wymienną, i przejdźmy do właściwego tematu naszej rozmowy. Panie Józefie, czy mleczarnia w Trzemesznie produkuje znów masło?

J.K. — Chyba nie. Właśnie w telewizji pokazano kilkanaście mleczarni w okolicach Trzemeszna, w dawnym województwie poznańskim, gdzie też panuje ta sama sytuacja, jaką ja oglądałem. Puste ściany, puste, niewykorzystane budynki, wyrabowane, wywiezione dokądś maszyny. Mleko z tych okolic dowozi się do dużych mleczarni, po czym zarówno mleko jak i masło przywozi się z powrotem, wszystko samochodami. Praktycznie nie ma żadnej możliwości, żeby to zmienić, bo przemysł maszyn mleczarskich z braku zamówień zaprzestał produkcji. No a teraz nie ma przede wszystkim stali nierdzewnej, bo nasze hutnictwo zupełnie zaniechało jej wyrobu. Nie jesteśmy w stanie produkować żadnych urządzeń ani dla przemysłu mięsnego, ani dla przemysłu spożywczego, zarówno małego jak i wielkiego. Nie mamy materiałów, nie mamy stali nawet dla przemysłu maszyn rolniczych, a w przypadku przemysłu spożywczego sytuacja jest wręcz tragiczna.

A.M.P.: — Masło z Trzemeszna, o którym wspomniał Pan w jednym z listów do Adama Michnika¹, to tylko „mała rzecz”...

1. Józef Kuśmierk *Listy do Adama Michnika*. Most. Warszawa 1988. W Liście VIII z Trzemeszna, datowanym na początku czerwca 1988, Kuśmierk pisał: „Do niedawna w miejscowej mleczarni wyrabiano bardzo dobre masło. W pobliskim Gnieźnie i Mogilnie, a nawet w odległym Poznaniu, klienci poszukiwali masła z Trzemeszna. Było dobre, lepsze od innych. Aż tu bęc! Przyszła „decyzja ogólna” i produkcji masła w Trzemesznie zakazano”.

J.K.: — To nie jest taka mała rzecz, jak się okazuje.

A.M.P.: — *Tam był jeszcze cudzysłów, którego Pan nie usłyszał. Zresztą to Pan to tak wtedy określił.*

Nie brak masła jednak, lecz brak mięsa był przyczyną wszystkich polskich kryzysów, z wyjątkiem roku 1968. Teraz zarówno z masłem jak i z mięsem dzieją się jakieś dziwne rzeczy: podobno jest tego za dużo. Ale to nie jest z pewnością jeszcze sytuacja stabilna. Jeśli Polacy nie rozwiążą problemu mięsa, to najprawdopodobniej nie rozwiążą żadnego innego. A zatem jakie szanse ma Polska, by wyżywić się sama?

J.K. — W czasie mojej ostatniej podróży, którą niestety musiałem przerwać 10 listopada, bo moje zdrowie już nie wytrzymało (od 17 września byłem ciągle w terenie) sytuacja zmieniła się w sposób dla nikogo niezrozumiały, a dla mnie przerażający. Z kryzysu mięsnego, kiedy ceny z tygodnia na tydzień szły niesamowicie w górę i każda ilość mięsa była na rynku rozchwytywana, w ciągu trzech — czterech tygodni doszliśmy do nadprodukcji mięsa. Sprawa znów jest tajemnicza i absolutnie niezrozumiała. Oczywiście te dziesięć tysięcy ton wołowiny przysłane z Zachodu nie mogły zmienić tak drastycznie i tak dramatycznie sytuacji na rynku. A wygląda ona następująco: w punktach skupu nikt teraz nie odbiera żywca, chłopci nie mogą się pozbyć kilku krów czy byków i trudno mówić o jakiegokolwiek cenie, skoro nie ma w ogóle nabywcy. Doprowadziło to już do buntów chłopskich i oblegania punktów skupu w Węgrowie, w Sejnach; w Suwałkach traktorami obstawiono urząd wojewódzki. Ale to nie jest sposób negocjowania cen!

Przemysł mięsny broni się tym, że ma pełne chłodnie, że nie ma zbytu. Rzeczywiście, kolejki po mięso ustały, mięsa — jak na naszą optykę — jest w bród. Mięso jest drogie, lecz można je nabyć bez kolejki. Ale to się odbija na kalkulacji chłopskiej! Chłop w ciągu kilku tygodni utracił wszelkie zaufanie do rządu Mazowieckiego. Sam fakt, że w ciągu tych trzech tygodni cena pary prosiąt spadła z 200-220 tysięcy do 70-80 tysięcy złotych dowodzi załamania się hodowli w sposób chyba jeszcze w historii polskiej gospodarki nie notowany. Odczuwamy to, proszę pana, za pięć miesięcy. Po prostu nie będzie świn.

A.M.P.: — *Ale czy ten nadmiar mięsa nie jest po prostu efektem jego ceny? Zbyt wysokiej w stosunku do możliwości nabywczych społeczeństwa.*

J.K. — Indeksacja płac w zasadzie nadążała za wzrostem cen

mięsa, nawet szlachetniejszych gatunków. No a teraz przecież wzrost kosztów utrzymania we wszystkich innych dziedzinach spowodował, że pensja nie idzie już tylko na mięso, ale i na kilka innych rzeczy, które bardzo podskoczyły do góry.

Chodzą plotki — trudno mi to sprawdzić — że poprzedni rząd miał mięso w magazynach i doprowadził po urynkowaniu do takiej sytuacji, jaka przez kilkanaście tygodni trwała, wręcz do paniki na rynku mięsnym. Podobno też chłodnie są tak załadowane, że nie ma gdzie magazynować mięsa i masła.

A.M.P.: — *Świn w tej chwili zdaje się być za dużo, ale Pan przepowiada katastrofalny spadek hodowli na wiosnę. Przed kilkoma miesiącami jeszcze w okresie interregnum, rozmawiałem z panem Szymanderskim. Stwierdził on wtedy, iż hodowlę świn można w krótkim czasie odbudować, w ciągu sześciu-siedmiu miesięcy, o ile hodowcom stworzone zostaną stosowne warunki. Czy zatem ów spadek hodowli będzie rzeczywiście aż tak groźny?*

J.K. — Odbudowa trzody może rzeczywiście trwać tak krótko. Gorzej natomiast z jakością. Za każdą falą wybijania macior i ponownego wzrostu hodowli mamy do czynienia z coraz gorszym materiałem genetycznym. Niestety, proszę pana, hodowla jako dziedzina gospodarki, ta szlachetna hodowla, dążąca do stałego ulepszania ras, do poprawiania efektywności — to, na czym polega zielona rewolucja — w Polsce nie istnieje. Tu wszystko odbywa się na dziko. Odtwarza się to, co ma cztery nogi i nagle staje się drogie, a co potem, jak w przypadku świn, nagle staje się nieopłacalnie tanie.

Jeszcze gorzej jest z hodowlą bydła, bo liczba krów zarodowych, wpisanych do rejestru, spadła już do jednej dziesiątej tego, co mieliśmy przed ośmiu laty. A zatem praktycznie nie mamy zaplecza hodowlanego. Może mamy jeszcze sztuki, które mogą rodzić, które będą dawały cielęta, ale to już na pewno nie będzie odbudowa hodowli, tylko co najwyżej pogłowie.

A.M.P.: — *Problemy polskiej wsi zaczynają się od chwili zakupu surowców, pasz i maszyn rolniczych i wcale nie kończą się w punkcie skupu, rzeźni czy mleczarni. Od której strony ten gordyjski węzeł miałby być rozwiązany? Czy wprowadzenie jakiejś racjonalnej polityki w tym zakresie w skali całego kraju (co jest — mam nadzieję — celem rządu pana Mazowieckiego) ma szansę w jakimś sensownym czasie uzdrowić sytuację na wsi?*

J.K.: — Proszę pana, prorolnicze hasła do programu wstawiał już rząd Bieruta, żaden rząd tych haseł nie pominął. Z wiado-

mym skutkiem. To jest już jak klepanie pacierza ekonomicznego.

Wystarczy się przysłuchać tym ostatnim, bardzo częstym kongresom chłopskim, teraz na żywo transmitowanym. Wystarczy się przysłuchiwać niepokojom tego marnego *lobby* chłopskiego w Sejmie, żeby odczuć, że nastroje na wsi są paniczne. Przede wszystkim chłop zupełnie prawidłowo odczytuje, że to jest kolejna pusta deklaracja, że polityka rządu wcale a wcale nie jest prorolnicza, że jest proprodukcyjna i absolutnie nie jest prochłopska. Dzisiaj na przykład, mimo niedzieli, było posiedzenie rządu i rząd wycofuje się z gwarantowania cen minimalnych na mleko i mięso. Tego nie ma w świecie! To jest jakaś Afryka, proszę pana! Każdy rząd gwarantuje skup nadwyżek rolnych na granicy opłacalności. Nasz rząd dziś się z tego wycofuje!

To jest jedna strona medalu. Istnieje też strona druga. Rząd nie podejmuje żadnych, ale to absolutnie żadnych działań, jeśli chodzi o przemysł maszyn rolniczych, o zaopatrzenie rolnictwa w podstawowy choćby sprzęt. Mówi się o zmniejszeniu produkcji traktorów, spadła produkcja maszyn rolniczych. Tłumaczy się to sytuacją materiałową, brakiem stali, brakiem łożysk. Jestem przerażony konferencją prasową ministerstwa rolnictwa, które się cieszy, że cała Europa przysłała do nas zużyte maszyny, które my będziemy własnym sumptem remontować. Maszyny poprzedniej generacji! I rolnictwo będzie zawałone szmelcem, do którego nie będzie części zamiennych. Poza tym zapomina się, że maszyny rolnicze muszą ze sobą współdziałać, a to przecież nie będzie do siebie pasowało! Ale że jest to darowizna, więc my się z tego cieszymy!

A.M.P.: — *Jakie zatem kroki uważa Pan za najważniejsze, od których należy zacząć?*

J.K.: — Przede wszystkim trzeba sobie powiedzieć prosto i jasno: bez maszyn rolniczych nasze rolnictwo nie jest w stanie nawet utrzymać tego poziomu produkcji, jaki mieliśmy jeszcze przed dwoma laty. Po prostu maszyny się wykruszają i wypadają w tempie trzy-cztery razy szybszym niż wieś jest w nie zaopatrywana. Na dodatek doszło w tym roku do totalnego braku sznurka do snopowiązałek, do totalnego braku lemieszki. Rolnik ma już tego po prostu dosyć!

Jak długo można — to pod adresem przemysłu — tak lekceważyć elementarne zobowiązania wobec klienta, który płaci gotówką, płaci nawet rok wcześniej za te maszyny. Tego też nie ma nigdzie na świecie. Jak długo się nie postawi na produkcję maszyn rolniczych, od ciągnika i kombajnu po najprostsze narzędzia, tak długo chłop nie będzie zwiększał produkcji.

Proszę pana, wzrost pensji w mieście charakteryzuje się wzrostem konsumpcji. Po prostu więcej się je, pije, pali. U chłopów zaś poziom konsumpcji utrzymuje się na niezmiennym poziomie, bo jeżeli opłacalność produkcji rolnej wzrasta, to chłop natychmiast inwestuje w gospodarstwo, tak żeby powiększyć jego zdolności produkcyjne. Wzrost dochodów wsi procentuje więc natychmiast wzrostem produkcji czy chociażby jej potaniem. Ale jeżeli chłop tych dochodów, mniejszych czy większych, nie może inwestować z powrotem w gospodarstwo, to wtedy mu się cała ta zabawa przestaje opłacać.

A.M.P.: — *Polska potrzebuje pomocy zza granicy. Domyślam się, że polska wieś także. Nie starych, popsutych maszyn, więc czego?*

J.K.: — W zapowiedziach udzielenia Polsce pomocy podkreśla się wciąż, że ma to pójść w pierwszej linii na ożywienie, na podniesienie kondycji sektora rolniczego czy też całego kompleksu rolno-przemysłowego. Takie są deklaracje zachodnie. Obawiam się jednak, że strona polska zgodzi się z tymi zastrzeżeniami, ale potem przesznuje uzyskane środki na inne cele, na podtrzymywanie i tak zdychającego przemysłu, i że rolnictwo z tego nic a nic mieć nie będzie.

To jest za duży kompleks rolniczy w Europie, żeby można było opierać się na darowanych, czy nawet importowanych maszynach. Owszem, import zawsze jest potrzebny, ale podstawowe narzędzia trzeba produkować samemu.

Pozostaje więc tylko jedno: brawurowa, szturmowa odbudowa przemysłu maszyn rolniczych w Polsce. Ale takiego programu, takich chęci działania ani środowiska inżynierskie, ani środowiska decydenckie nie mają. W Polsce ciągle panuje mniemanie, że chłop sobie da radę, że chłop siebie i nas wyżywi. I to jest najgorsze.

A.M.P.: — *A co na to chłop?*

J.K.: — Proszę pana, dla mnie nastroje wsi wyrażają się dwoma parametrami: wybijaniem krów i zdawaniem gospodarstw. O krowach już mówiłem, jeśli zaś chodzi o zdawanie gospodarstw — jak to się popularnie nazywa — „na państwo”, to te dziesięć miesięcy pobiło wszelkie rekordy. W tym roku, w ciągu dziesięciu miesięcy, zdano więcej gospodarstw niż w czasie ostatnich trzech lat. Gospodarstw różnej wielkości i różnej kondycji. Do tego miliona ugorów, a to jest jedna szesnasta gruntów uprawnych w Polsce, dojdzie tej zimy jakieś pół miliona. Sprawdziłem to! Sprawdziłem, ile jest podań o zdanie ziemi.

Tego też nie ma na świecie, bo ziemia po takiej czy innej cenie wszędzie znajduje nabywcę. A w Polsce nikt się zdaną ziemią nie interesuje. Wzmacnia ona sektor PGR-ów, które te ziemie przyjmują jak jakąś karę, a nie możliwości rozwoju.

A.M.P.: — *Na wsi działa ostatnio sporo organizacji: odrodzona Solidarność RI, kilka PSL-ów, istnieją pewnie wciąż jeszcze Kółka Rolnicze i Samopomoc Chłopska. Powiedział Pan, że rząd nie ma programu dla polskiej wsi. A czy te organizacje mają program? Jaka jest czy może być ich rola w tych przemianach, które powinny przyjść na polską wieś?*

J.K.: — Te ugrupowania chłopskie walczą teraz na śmierć i życie, wydzierając sobie resztki sztandarów — czym starszy, tym lepszy. Najlepszy byłby sztandar spod Raławic, gdyby go ktoś przechowywał. To by mu dawało największe szanse na zwycięstwo. Życie polityczne polega na wydzieraniu sobie hasła, na kłóceniu się, kto był prześladowany, a kto prześladowcą. Elita reprezentacji wiejskich na tym się wyczerpuje, więc nie ma już sił ani czasu zajmować się rolnictwem.

To jest jedna sprawa. To, co teraz powiem, może wyglądać dziwnie, bo sam ostatecznie już jestem pod koniec drogi, po drugiej stronie pagórka życiowego. Otóż na wsi i o wsi będą decydowali ci, którzy mają dzisiaj dwadzieścia lat. Po prostu to musi być ich życiowa decyzja: „Czy zostaję na gospodarce ojca, wybieram zawód rolnika i stwarzam z tego gospodarstwa warsztat pracy dla siebie, swojej rodziny i następnego pokolenia, czy rzucam wszystko w cholerę i idę do przemysłu, gdzie mnie ciągle jeszcze przyjmą, mimo straszenia bezrobociem, z otwartymi rękami?”

Proszę pana, w reprezentacji chłopów przeciętna wieku waha się między 80-oma a 90-oma laty! To jest przerażające, to są zjazdy starców! To są kłótnie ludzi, których dawno przestała interesować współczesność, przestała interesować przyszłość. Dla nich ważne są tylko ich zasługi. Czy ich docenią, czy nie. Młodych na tych zjazdach nie ma.

Te wszystkie przepychanki na zjazdach nie znajdują żadnego odbioru, żadnego nawet zainteresowania wśród resztek rolników, którzy trzymają się rolnictwa jako swego źródła utrzymania i traktują rolnictwo jako swój zawód. Otóż tych chłopów w zasadzie nikt nie reprezentuje. Oni są politycznie słabi, a zniechęca ich jeszcze dodatkowo antychłopskie nastawienie reszty społeczeństwa. Oni nawet nie mają jakichś specjalnych chęci do organizowania się. A trzeba by ich zorganizować, tych młodych rolników, zorganizować po to, żeby znaleźć odpowiedź

na pytanie: „Czy ja z tej swojej życiowej decyzji pozostania na roli będę miał za dwadzieścia lat korzyści, czy będę miał życie spisane na straty, jak mój ojciec?” A na to nikt nie potrafi udzielić odpowiedzi.

A.M.P.: — *Kto zatem, poza paroma dziennikarzami, zajmuje się problemami polskiego rolnictwa w skali większej, niż jednego gospodarstwa?*

J.K.: — Nikt! Dosłownie nikt!

A.M.P.: — *I jeszcze, na koniec, pytanie aktualne. Zaczyna się zima. Jaka ona będzie? Jaki będzie przednówek?*

J.K.: — Jeżeli chodzi o stodoły chłopskie, to na razie zboże jest. Ziemiaki w kopcach są. Także na wiosnę może być nawet spadek cen ziemniaków, cen zboża. Gorzej z oborami, gorzej z mlekiem.

Proszę pana, ja się przede wszystkim obawiam, że po tym niesamowitym załamaniu się skupu trzody i skandalicznym załamaniu się skupu mleka...

Przecież od rolników bierze się mleko i zamiast pieniędzy przywozi im się masło po cenach wyznaczonych arbitralnie przez mleczarnie! Mają zreć masło, koniec, kropka! Jeżeli nie będą odbierali tego masła, to nie będzie się odbierać od nich mleka.

A.M.P.: — *Ale podobno już się prokurator w te sprawy włączył.*

J.K.: — (krzyżąc) Ależ panie, co prokurator ma do tego?! Przepraszam, jeżeli pan przyjdzie do redakcji i za ten dzisiejszy wywiad dadzą panu gumę do żucia zamiast pieniędzy, to co tu ma prokurator do tego?! Weźmie Pan gumę do żucia?

A.M.P.: — *Mam na myśli, że tego rodzaju praktyki są nielegalne.*

J.K.: — (nieco spokojniej, z pewną ironią) Ależ proszę pana, w Polsce legalne, nielegalne! Przecież chłop nie będzie z kwitem za mleko chodził do prokuratury, żeby mu prokuratura wypłaciła. On musi żyć w zgodzie z mleczarnią, bo mu nie odbiorą mleka. Z tych czy innych powodów. Powiedzą, że im się to nie opłaca, że mleko się nie nadaje czy że nos rolnika im się nie podoba.

Ale wróćmy do pańskiego pytania. Obawiam się, że podobne praktyki doprowadzą do likwidacji pojedynczych gos-

podarstw i grup gospodarstw w skali wsi, w skali gminy. I wszelkie apele czy nakazy rządu będą totalnie ignorowane. A w dodatku Balcerowicz zaproponował nowy podatek gruntowy, 5 kwitali z hektara, niesamowity podatek. Nie wiem, czy właściciele willi pod Wiedniem tyle płacą. Po wielkich kłótniach zostało to obniżone do dwóch i pół kwintala, co jest też bardzo wysokim podatkiem. Obawiam się, że gdy ten podatek zostanie ogłoszony, to chłopci zastosują to, co zastosowali w ubiegłym roku totalnie i nikt temu nie zarządził: odmówią płacenia podatku. Tego można być prawie pewnym.

A.M.P.: — *Obiecuję, że to już ostatnie pytanie: czy widzi Pan szansę zapobieżenia tej katastrofie?*

J.K.: — Proszę pana, styczeń i luty to jest czas, w którym chłop się zastanawia, co będzie robić na wiosnę, oblicza, kalkuluje. W roku 1989, po obietnicach rządu Rakowskiego, że sprawom rolnym nadaje priorytet, pierwszym posunięciem było podniesienie o siedemset procent cen maszyn i o tysiąc dwieście procent cen niektórych artykułów chemicznych koniecznych do uprawy czy pielęgnacji roślin! Okragły stół odroczył decyzję zaniechania czy zmniejszenia produkcji rolnej. Odzwierciedliło się to w wyborach, w których wyborcy więcej bardziej poparli kandydatów „Solidarności” niż wyborcy emerytalno-miejscy.

Dwa-trzy miesiące później trzeba wyjeżdżać w pole. Wtedy będzie już za późno. Jeżeli w ciągu dwóch-trzech tygodni nie padną zapewnienia, że wieś jest sprawą najważniejszą, że nawet kosztem wstrzymania produkcji na przykład samochodów trzeba podtrzymać produkcję maszyn rolniczych i traktorów, jeżeli chłop tego zapewnienia nie dostanie, to on stosowną decyzję podejmie już w styczniu czy lutym. I nic go nie odkręci.

Chłop bowiem już ten mechanizm przećwiczył i wie, że jeśli ograniczy wydatki, ograniczy produkcję, to potem tych produktów będzie mało, ich cena wzrośnie i on otrzyma to samo, a może i więcej, tylko mniejszym kosztem.

A.M.P.: — *Dziękuję bardzo, że zechciał mi Pan poświęcić tyle czasu.*

Rozmawiał Aureliusz M. PEDZIWIOL

Wiedeń, grudzień 1989

Wielobarwny bukiet kwiatów

Z DOKTOREM WŁODZIMIERZEM MOKRYM,
ZNAWCĄ UKRAIŃSKIEJ LITERATURY, POSŁEM NA
SEJM, ROZMAWIA MACIEJ KOZŁOWSKI

MACIEJ KOZŁOWSKI: — *Kiedy przed czterema laty cenzura w całości konfiskowała specjalny numer Znak, poświęcony sprawom ukraińskim, grożąc zamknięciem pisma, gdy na Tygodnik Powszechny sypały się gromy za wydrukowanie tekstu o obecnym świętym, Adamie Chmielowskim, gdyż jego autorem był metropolita Andrzej Szeptycki, a jednocześnie w masowych nakładach ukazywały się książki w rodzaju „Herosów spod znaku Tryzub” Edwarda Prusa, nikt nie mógł przypuszczać, że już za kilka lat Ukraińcy w Polsce będą mieli swego biskupa, swego posła na Sejm, że obchody rocznicy chrztu Rusi odbędą się z udziałem kardynałów Lubaczewskiego i Glempa na Jasnej Górze, słowem, że nieprawdopodobne stanie się faktem. Jak wszystkie te zmiany widzą mieszkający w Polsce Ukraińcy?*

WŁODZIMIERZ MOKRY: — *Zawsze byłem romantykiem, ale oczywiście tak jak wszyscy jestem zaskoczony tempem i zakresem zachodzących zmian. Wspominasz tak niedawne, a przecież tak już odległe czasy, kiedy próbowaliśmy w różny sposób, z niemałymi trudnościami, działać na rzecz pojednania polsko-ukraińskiego, ale przecież także polsko-białoruskiego, polsko-ukraińskiego, polsko-żydowskiego. Nikt nie przypuszczał, że owoce tych działań można będzie oglądać tak prędko i że okażą się tak wspaniałe. Naprawdę rzadka to satysfakcja.*

M.K.: — *Jak szeroko Twój mieszkający w Polsce współrodacy podzielają ten pogląd? Wszak „Solidarność”, która tak mocno akcentowała zawsze wartości narodowe, polskie, bywała przez przedstawicieli mniejszości często widziana jako ruch niosący zagrożenie? Czy fakt, że to właśnie Solidarność doprowadziła do zmian, o których mówiliśmy, odmienił ten obraz, rozwiął obawy?*

W.M.: — *Oczywiście przedstawiciele mniejszości, także ukraińskiej, którzy aktywnie uczestniczą w dokonujących się zmianach, myślą podobnie jak ja. Jednak zmiany są tak szybkie, dzieją się*

rzeczy tak zaskakujące, że wielu ludzi po prostu za nimi nie nadąza. Wielu wciąż nie może uwierzyć, że są to zmiany nieodwracalne. Lata nieufności i obaw nie mogą minąć bez śladu. Nadal spotykam się z zarzutami, że pracuję dla Polaków, że służę Polakom. Odpowiadam wówczas, że nigdy nie dzieliłem spraw na polskie czy ukraińskie. Dla mnie Solidarność była ruchem niosącym wartości uniwersalne, wynikające z tradycji chrześcijańskich. Ideę Solidarności rozumiem jako pochylenie się nad problemem każdego, a szczególnie skrzywdzonego człowieka, bez względu na jego pochodzenie narodowe czy światopogląd. Taką właśnie ideę solidarności starałem się propagować wśród Ukraińców w Polsce, a także za granicą przy okazji coraz liczniejszych kontaktów z moimi rodakami na Zachodzie i na Wschodzie. Na zarzuty odpowiadam, że staram się pracować wśród Polaków dla Ukraińców i wśród Ukraińców dla Polaków.

M.K.: — *Niektórzy uważają, że największym sukcesem Solidarności w ostatnich wyborach nie było wprowadzenie do Sejmu wszystkich 161 posłów z list Komitetu Obywatelskiego; nawet nie wybór 99 senatorów, lecz zwycięstwo w województwie gorzowskim kandydata, który nie krył swej ukraińskiej narodowości.*

W.M.: — Solidarność zdobyła 161 mandatów. Powiedziałem kiedyś, że było to 160 mandatów plus jeden i moja obecność to jest właśnie ten jeden. Zgoda na kandydowanie nie była łatwą decyzją. Nie tylko dlatego, że wiedziałem, jak trudną będę miał kampanię. Uważałem, że może jest jeszcze za wcześnie, że proces pojednania dopiero się rozpoczął, że nie wystarczy sprawy załatwić jednym nazwiskiem. Ale przekonano mnie. Kiedy jednak zdecydowałem się kandydować właśnie jako przedstawiciel mniejszości ukraińskiej i pojechałem do swojego okręgu wyborczego, gdzie byłem niemal zupełnie nieznanym, zorientowałem się, że ludzie widzą we mnie po prostu kandydata Solidarności i że mój program musi być przede wszystkim programem solidarnościowym. Mówiłem więc o sprawach ekonomicznych, społecznych, ekologicznych, o oświacie, o służbie zdrowia, o kulturze. Dopiero wówczas, mówiąc o lekturze, mówiłem o jagiellońskich tradycjach, o kulturowej mozaice, o wzajemnym wzbogacaniu się wartościami pochodzącymi z różnych kultur. O tym, że taka tradycja wielości kultur przynajmniej częściowo jest do odtworzenia, w gorzowskim właśnie, gdzie tak wielu ludzi pochodzi ze wschodu. Ci ludzie pamiętają czasy, kiedy na Boże Narodzenie obok kolędy „Wśród nocnej ciszy” brzmiało „Boh predwicznyj narodył sia”. I kiedy to mówiłem, widziałem nieraz łzy wzruszenia w oczach Polaków. Ale oczywiście oprócz wzruszenia

były też ataki, żale, pretensje. Starałem się to zrozumieć. Wielu z tych ludzi po raz pierwszy widziało żywego Ukraińca, przyznającego się do swojej narodowości. Musiałem te żale i pretensje przyjąć. Byli tam ludzie, którzy wiele przeżyli, wiele przecierpieli. Mają oni prawo do bolesnych wspomnień, do żalu.

M.K.: — *O ile wiem, obok tych niejako naturalnych osadów złych wspomnień była też świadomie zorganizowana kampania oszczerstw, ataków, nienawiści.*

W.M.: — To prawda, zwłaszcza pod koniec kampanii wyborczej, kiedy okazało się, że mimo wszystko moja popularność w stosunku do czterech kontrkandydatów rośnie, że nawet wielu z tych, którzy albo sami mają złe wspomnienia, albo wychowali się w tradycji takich wspomnień, będzie głosowało na mnie, kiedy zbyt słabe okazały się argumenty, że jestem „spadochroniarzem” z Krakowa, bez zenady sięgnięto do antyukraińskich stereotypów. Na trzy dni przed pierwszą turą wyborów na pierwszej stronie *Trybuny Ludu*, a także w całej partyjnej prasie lokalnej ukazał się artykuł, w którym twierdzono, iż miałem powiedzieć, że UPA to były takie same bandy jak AK. Wiadomo, co takie stwierdzenie dla polskiego społeczeństwa oznacza. Od tego też momentu zaczęła się akcja nie przebiegająca w środkach. Pojawiły się ulotki „Lepszy każdy skurwysyniec niż upowiec Ukrainiec”. „Mokry, na sucho ci to nie ujdzie” itd., moje plakaty niszczone czy też malowano na nich znak tryzuba i swastyki. Była to akcja zorganizowana, ulotki rozwożono żółtymi nyskami. Tak się również złożyło, że ten numer *Gazety Lubuskiej*, w którym ukazał się protest i wyjaśnienie gorzowskiego Komitetu Obywatelskiego do mojego okręgu w Choszcznie nie dotarł przed 4 czerwca, a znalazł się w kioskach w poniedziałek po wyborach.

M.K.: — *Jaka była reakcja na tę kampanię?*

W.M.: — Bardzo różna. Niektórzy ludzie przychodzili do księży, pytali jak w tej sytuacji mają głosować. W czasie spotkań z wyborcami, a spotkań takich odbyłem ponad sto, pojawiać się zaczęły bardzo agresywne pytania. Bywały też sytuacje dość zabawne, choć dla mnie niezbyt wesołe. Na jednym ze spotkań organizator, witający przez mikrofon licznie zebranych wyborców zwierzył się publicznie, iż cieszy się podwójnie z mojego przyjazdu, ponieważ gdy tylko mnie zobaczył, kamień spadł mu z serca i teraz już wie, że całą kampanię przeciwko mnie prowadzą siły wrogie Polakom i Solidarności, którym nie

wierzyć. A to, co się o mnie mówi, jest nieprawdą, gdyż jak widać jestem za młody na Ukraińca.

Odpowiedziałem wówczas, że jestem młody, ale jednak Ukrainiec, który przyjechał z ogólnopolskim programem solidarnościowym, przewidującym miejsce dla wszystkich sumiennych ludzi, włącznie z przedstawicielami wszystkich żyjących w Polsce mniejszości narodowych, w tym także rozproszonych po całej Polsce, w wyniku wysiedlenia w 1947 roku, Ukraińców, których drobna cząstka znalazła się w województwie gorzowskim. Także i z tego trudnego, ale i ważnego spotkania wyszedłem zwycięsko. Ludzie po wyjaśnieniu przyczyn wielu dramatów z naszej wspólnej historii i przedstawieniu proponowanych przez Solidarność perspektyw i konkretnych rozwiązań — przekonywali się, odzyskiwali wiarę.

Charakterystyczne, że bardziej agresywni i nieprzejednani, gdy chodzi o przełamanie uprzedzeń i wrogości do Ukraińców, byli ci dyskutanci, którzy trudnych i bolesnych spraw nie znali z autopsji, lecz odwoływali się do pośrednich przekazów czy odpowiedniej literatury produkowanej np. przez E. Prusa, Artura Batę („Bieszczady w ogniu”) czy „klasyka” J. Gerharda „Łuny w Bieszczadach” (książki wydawanej aż 14 razy w masowych, stutysięcznych nakładach w celu upowszechniania i utrwalania negatywnego stereotypu Ukraińca-hajdamaki-banderowca). Ci zaś, którzy pamiętali, bądź którzy pochodzą z rodzin, które doświadczyły tragedii w czasie bratobójczych walk, najczęściej nie zachowywali się w stosunku do mnie agresywnie, przyjmowali moje argumenty, przekonywali się o celowości wyjaśniania przyczyn polsko-ukraińskich konfliktów z myślą o ułożeniu dobrosąsiedzkich stosunków z Ukrainą.

A wracając do ataków prasy partyjnej, to chciałbym jedynie dodać, że cała sprawa będzie miała epilog w sądzie. Zaskarżyłem redakcję *Gazety Lubuskiej* i *Trybuny Ludu* o zniesławienie.

M.K.: — *Na jakich podstawach te gazety oparły swoje oskarżenie?*

W.M.: — W czasie spotkań z wyborcami nigdy nie omijałem trudnych spraw. Atak w *Gazecie Lubuskiej* i *Trybunie Ludu* ukazał się po moim spotkaniu przed kościołem w Dębnie. Było to bardzo liczne spotkanie. Prowadził je znany aktor Kazimierz Kaczor. Brał w nim też udział Zbigniew Bujak. Przyszło około tysiąca osób. Na wstępie powiedzieliśmy, że będziemy starali się odpowiedzieć na każde, nawet najtrudniejsze pytanie, także zadane anonimowo. I właśnie wśród takich anonimowych pytań przysyłanych na kartkach znalazło się i takie: „Czy pana rodzina

miała coś wspólnego z bandami na wschodzie?” Powiedziałem, że zanim odpowiem na to pytanie, chciałbym usłyszeć, co pytający rozumie pod pojęciem bandy. Dodałem też, że pamiętam czasy, kiedy bandytami nazywano oficjalnie żołnierzy Armii Krajowej. Ponieważ nie doczekałem się sprecyzowania pytania, dopowiedziałem, że domyślam się, iż jego autor miał na myśli UPA, czyli Ukraińską Powstańczą Armię. Mówiłem o wewnętrznym zróżnicowaniu UPA, powołałem się na wykład Bohdana Skaradzińskiego, wygłoszony w 1987 roku u oo. Jezuitów w Łodzi, gdzie dokładnie opisał tragiczne losy tej wojskowej formacji. Mam nadzieję, że niezawisły sąd dojrzy różnicę pomiędzy nazwaniem kogoś bandytą a stwierdzeniem, że kiedyś tak żołnierze AK byli nazywani przez propagandę. Szczęśliwie całe spotkanie nagrane zostało na taśmie video — istnieje zatem dokument.

M.K.: — *Okazało się jednak, że ani atak Trybuny Ludu, ani ulotki, ani szeptana propaganda nie na wiele się zdały. Od pięciu miesięcy zasiadasz w Sejmie, od dwóch miesięcy jesteś w ławach, nazwijmy to, rządowych. Jak z tej perspektywy oceniasz możliwości skutecznych działań na rzecz polsko-ukraińskiego pojednania?*

W.M.: — Jak pamiętasz, na samym początku wygraliśmy trudną batalię. PZPR zaprotestowała przeciw powołaniu komisji do spraw mniejszości. Była to, *nota bene*, jedyna komisja zakwestionowana w czasie podziału Sejmu na komisje. Ale komisja powstała, uczestniczę w jej pracach. Jednak dotychczas zajmowaliśmy się przede wszystkim sprawą mniejszości niemieckiej.

Natłok spraw jest tak ogromny — przeprowadzamy wszak gruntowną zmianę ustroju — że nawet na ważne sprawy nie starcza czasu i możliwości. Ja sam muszę angażować się w różne inne sprawy: polityczne, gospodarcze, związkowe. Pracuję także w Komisji Nauki, Oświaty i Techniki.

M.K.: — *Jesteś jedynym przedstawicielem mniejszości w Sejmie. Innym mniejszościom nie udało się wprowadzić do niego swych kandydatów. Czy docierają do Ciebie jakieś głosy, postulaty, życzenia wyborców? Nie tylko Twoich bezpośrednich z Choszczna, ale także od innych grup?*

W.M.: — Na razie bardzo sporadycznie. Wydaje mi się, że wciąż widziany jestem wyłącznie jako przedstawiciel Ukraińców. Tymczasem w Sejmie, nie pomijając oczywiście spraw moich współrodaków, chciałbym reprezentować wszystkie mniejszości i

być ich rzecznikiem. Gdy będziemy opracowywać projekty ustaw, musimy mieć na uwadze wszystkie grupy narodowościowe i etniczne.

M.K.: — *Jakie sprawy w tej dziedzinie uważasz obecnie za najważniejsze?*

W.M.: — Poza uznaniem praw mniejszości niemieckiej, co obecnie, w czasie wizyty Helmutha Kohla, zostało załatwione, na pilne załatwienie czeka sprawa „Akcji Wisła”. Uważam, że trzeba uznać za bezprawny dekret o wysiedleniu ludności ukraińskiej i wywłaszczeniu jej z majątków i w miarę możliwości naprawić wyrządzone ówczesnym bezprawiem krzywdy. Szczególnie istotne jest, aby uznać za bezprawne przejęcie na skarb państwa majątku Kościoła grekokatolickiego, który przecież nigdy nie został w Polsce oficjalnie zlikwidowany. W tym świetle konieczna jest rewizja niedawnej ustawy o stosunkach państwo-Kościół, gdzie sprawa Kościoła grekokatolickiego nie znalazła właściwego odzwierciedlenia.

M.K.: — *Wkraczamy tu na drażliwy teren stosunku Kościoła rzymskokatolickiego do wiernych i obrządku Kościoła wschodniego czy szerzej do Ukraińców. Wszak w odczuciu wielu przedstawicieli tej mniejszości to nie tylko komunistyczne władze państwowe zagrażały ich narodowej tożsamości. Wiele żalów i pretensji kierują także w stronę Kościoła. W sferze władzy państwowej zmiany zachodzą lawinowo i ich pozytywne skutki już są widoczne. Czy podobne zmiany mają też miejsce w Kościele?*

W.M.: — Na pewno tak, wspomniane obchody millenium chrztu Rusi czy mianowanie ukraińskiego biskupa są najbardziej wyrazistymi oznakami tych zmian. Jest to jednak proces bardzo niejednorodny. Są miejsca i ośrodki, gdzie zmiany zachodzą bardzo szybko, nieraz zdumiewająco szybko, i są miejsca, gdzie nie zmieniło się nic czy prawie nic. W praktyce zależy to od poszczególnych ludzi, biskupów, ale w jeszcze większym stopniu od proboszczów.

M.K.: — *Czy mógłbyś powiedzieć na ten temat coś bardziej konkretnego?*

W.M.: — W sprawie Cerkwi grekokatolickiej zaangażowany jestem od bardzo dawna. Już w końcu lat siedemdziesiątych zainteresowałem się losem niszczących, a czasem świadomie

niszczonych cerkwi bieszczadzkich. Jak pamiętasz, w 1980 roku zadebiutowałem na łamach *Tygodnika Powszechnego* artykułem „Requiem bieszczadzkie”, opisującym los czterech zniszczonych cerkiewek. Od tego czasu odbyłem bardzo wiele rozmów z księżmi, z biskupami, z kardynałami Kościoła rzymskokatolickiego, rozmawiałem też z wieloma księżmi grekokatolickimi. Z wszystkich tych rozmów i kontaktów odniosłem wrażenie, że wielu duchownym, zwłaszcza pracującym na południowo-wschodnich terenach Polski, brakuje często podstawowej wiedzy o Kościele wschodnim, o tragedii grekokatolików w Polsce i nie tylko w Polsce. O martyrologii tego Kościoła. Mam nadzieję, że teraz, kiedy nareszcie wolno o tym mówić głośno, i to się zmieni. Wymaga to jednak wielkiej pracy. Księża rzymskokatolicy muszą poznać nie tylko historię, ale także teologię Kościołów obrządku wschodniego. Ta wiedza ich wzbogaci i wówczas można będzie mówić o ekumenizmie na co dzień. Przecież obecność Ukraińców żyjących wśród Polaków, wnoszących swą własną kulturę, swą odrębną specyficzną duchowość, to wielka szansa na wzbogacenie także dla Polaków, dla polskiego Kościoła. Konieczna jest przecież świadomość że chrześcijaństwo to nie tylko obrządek łaciński, że kultura chrześcijańska, że swą odrębnością, ale także ze swym ogromnym bogactwem, sięga daleko na Wschód.

M.K.: — *Niedawno miałeś okazję być świadkiem i uczestnikiem wielkiego historycznego wydarzenia: pierwszego zjazdu Ukraińskiego Ruchu Narodowego. Jak czułeś się tam, nad Dnieprem, jako Ukrainiec, a jednocześnie przedstawiciel polskiej delegacji, poseł do polskiego Sejmu?*

W.M.: — Było to dla mnie, jak łatwo się domyślić, przeżycie niezwykle i chyba tam właśnie, w Kijowie, w pełni uświadomiłem sobie całą swą dotychczasową drogę życiową. W swej pracy naukowej, ale także publicystycznej, oświatowej, społecznej, starałem się działać na rzecz zbliżenia, ale zbliżenia opartego na chrześcijaństwie. Żyjąc w Polsce, wychowując się w kręgu wartości chrześcijańskich, mogłem, jak mi się wydaje, silniej zwrócić uwagę na to, co tam, za granicą, było niemożliwe — wskazać na chrześcijańskie korzenie ukraińskiej kultury.

Dzisiejsza Ukraina to kraj ogromnie zróżnicowany. Zupełnie inna jest narodowa samoświadomość na terenach dawnej Galicji Wschodniej, czym innym jest Kijowszczyzna, jeszcze inaczej wygląda to na terenach dawnej Ukrainy Lewobrzeżnej.

M.K.: — *Jak po pobycie w Kijowie oceniasz stan narodowej*

świadomości w tym największym po Wielkorusach narodzie ZSSR?

W.M.: — Znacznie lepiej niż się spodziewałem. Pamiętać jednak trzeba o szczególnej sytuacji panującej na Ukrainie. Nie przez przypadek organizacja, w której zjeździe uczestniczyłem, nosi nazwę Ruchu Narodowego Ukrainy. Jest to bowiem ruch odrodzenia tradycji narodowych nie tylko Ukraińców, ale wszystkich narodów, które dziś Ukrainę zamieszkują. Stąd też w zjeździe uczestniczyli przedstawiciele Polaków, Ormian, Tatarów, Żydów, Rosjan... Zresztą sami Ukraińcy także są bardzo zróżnicowani. Obok Ukrainy Zachodniej, gdzie świadomość narodowa jest bardzo wysoka, są też tereny do tego stopnia zrusyfikowane, że nikt nie mówi tam już po ukraińsku. Tak jest w Zagłębiu Donieckim, w Donbasie, na Połtawszczyźnie. Ludziom tam mieszkającym odebrano pamięć, czy, mówiąc bardziej precyzyjnie, część pamięci. Ich poczucie narodowe zepchnięte zostało do podświadomości. Toteż nie trzeba się dziwić ani obruszać, że takie nawet symbole, jak narodowe niebiesko-żółte barwy czy znak tryzub — stary, włodzimierzowski jeszcze, znak pikującego orła — przyjmowane są tam z rezerwą. Wieloletnia propaganda zohydzająca te symbole nie mogła nie zostawić śladów, zwłaszcza w kontekście powikłanych losów Ukrainy i Ukraińców poświęcona właśnie fladze. Wystąpił górnik z Doniecka. Przepraszał, że nie może mówić po ukraińsku, w jego rodzinie językiem tym nie mówiło się już od trzech pokoleń. Mówił, że zanim przyjmie się narodowe barwy, trzeba nauczyć ludzi prawdziwej historii, odkłamać ją i dopiero wówczas można wprowadzać narodowe symbole. W przeciwnym razie ich znaczenie nie będzie zrozumiane. Replikowała mu Rosjanka, która w emocjonalnym wystąpieniu stwierdziła, że od czasu gdy widziała, jak KBG-iści bezczęścili żółto-błękitne sztandary, barwy te stały się dla niej święte. Jak wiadomo, przyjęto ostatecznie kompromisowe stanowisko, iż ruch będzie się starał o przywrócenie na Ukrainie barw narodowych, jednak jako ruch wielonarodowy pod żadnym sztandarem nie będzie występował.

Zjazd miał ponadto niezwykle charakter z uwagi na przekrój ideowy jego uczestników, od wieloletnich więźniów i zdecydowanych dysydentów, poprzez księży zarówno zakazanego Kościoła greckokatolickiego, jak i również zakazanej autokefalicznej ukraińskiej Cerkwi prawosławnej, po partyjnych deputowanych do Rady Najwyższej. Najbardziej zdumiewające było to, że między tymi różnymi głosami i postawami nie było kakofonii, nie było jakichś szczególnych zgrzytów.

M.K.: — *Jak w tym niezwykle kontekście przyjmowano wystąpienia delegatów Sejmu z Polski?*

W.M.: — Była to w zasadzie delegacja Solidarności, choć częściowo składała się z posłów na Sejm. Dla mnie było to niezwykle przeżycie. Była to moja pierwsza w życiu podróż na Ukrainę. W ogóle jedna z pierwszych podróży za granicę. Przez kilkanaście lat od 1972 roku odmawiano mi paszportu... Od razu na wstępie przeżyłem pierwszy szok, w Kijowie niemal nie słyszy się języka ukraińskiego. Dla mnie, który jako kilkunasto-latek opuścił dom i pojechał ponad 600 km do Legnicy tylko po to, żeby się tego języka dobrze nauczyć, był to niewątpliwie wstrząs. Ten język na co dzień w Kijowie jest nieprzydatny! Mało tego, mówiąc po ukraińsku można narazić się na wyzwisko „ty nacjonalisto”, co mnie właśnie spotkało. Potem jednak sam zjazd zatarł to złe wrażenie. Było to, jak już mówiłem, wielkie narodowe święto. Niewykluczone, że dzień 10 września, tak jak postulowano to pod pomnikiem Szewczenki, dzień zakończenia zjazdu, będzie świętem narodowym Ukrainy. Jak wiadomo, zjazd odbywał się w wielkim napięciu. Do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy nie trzeba będzie przenieść go do Wilna. Miejscowa telewizja i prasa atakowały zjazd jak mogły. I właśnie w czasie pierwszej konferencji prasowej, na którą z tego powodu ani *Prawdy Ukrainy* ani telewizji nie dopuszczono, wystąpiłem i po ukraińsku powiedziałem, że chciałbym złożyć prezent w postaci numeru 79 *Gazety Wyborczej*, która całą kolumnę poświęciła właśnie omówieniu programu ruchu i sprawom Ukrainy. Zgotowano mi wówczas ogromną owację i tak rozpoczął się nasz udział w zjeździe. Potem, następnego dnia, już oficjalnie przemawiał Adam Michnik. Było to bardzo piękne wystąpienie. Gdy zakończył swe przemówienie hasłem „Niech żyje wolna Ukraina”, zgotowano mu ogromną owację. Ja przemawiałem tego samego dnia, po południu. Bardzo to przeżywałem. Mówiłem bardzo szczerze, bardzo osobiście. Opowiedziałem wówczas uczestnikom zjazdu o kilku faktach, by wiedzieli, jak myśli ich rodak Ukrainiec zasiadający w polskim parlamencie, ale nie zaniedbujący sprawy ogólnopolskich i solidarnościowych. Mówiąc o idei Solidarności, jej symbolu — gdańskich Trzech Krzyżach — powiedziałem, że stojąc pod pomnikiem w Gdańsku wraz z Lechem Wałęsą oraz solidarnościowymi kandydatami do Sejmu w kwietniu 1989 roku, położyłem wielobarwny bukiet kwiatów — biało-czerwono-niebiesko-żółtych — i przywołałem modlitwne wołanie Iwana Węlyczkowskiego do Matki Boskiej „Na piersi zawsze Twą ikonę świętą noszę, Maryjo, abym Cię i w sercu nosił proszę”, by podkreślić że Lech Wałęsa nieprzypadkowo oprócz znaczka Solidarności nosi ikonę Bogarodzicy.

Zakończyłem apelem, by Polacy i Ukraińcy stali się spadkobiercami Adama Mickiewicza i Tarasa Szewczenki i zacytowałem po ukraińsku przekonanie Mickiewicza, że „kto myśli o interesach jednego tylko narodu, jest nieprzyjacielem wolności” oraz po polsku fragment poetyckiego posłania Szewczenki do Polaków — „Podajże rękę Kozakowi i serce swe do niego przychył i razem w imię Chrystusowe odbudujemy kraj nasz cichy” i dodałem, że działając w tym duchu, osiągniemy upragnioną wolność narodów w Europie już z przezroczystymi granicami oraz opartą na prawdzie, sprawiedliwości i miłości Solidarność między ludźmi i narodami. Aż samemu jest mi trudno uwierzyć, że o tych najskrytszych, zdawałoby się odległych marzeniach i pragnieniach mogłem mówić w Kijowie na zjeździe delegatów z całej oglądanej przeze mnie po raz pierwszy Ukrainy, na którą jechałem całe swoje dotychczasowe życie. Jeszcze w ubiegłym 1988 roku, gdy znalazłem się w Ameryce i pytano mnie, czy nie zamierzam wybrać wolności — a był to mój pierwszy wyjazd nie tylko na Zachód, ale w ogóle za granicę — powiedziałem, że już dawno wybrałem wolność, między Wisłą a Dnieprem. Wówczas nie przypuszczałem, że przyjdzie mi jeszcze znaleźć się nad Odrą w moim okręgu wyborczym, że będę mógł nad Dnieprem przemawiać jako poseł z Polski, i to w tak przełomowym momencie. Przez trzy dni zjazdu byliśmy na wielkiej sali politechniki w wolnym kraju.

M.K.: — *Jak przyjęto Twoje przemówienie?*

W.M.: — Niezwykle. Wiele razy przerywano mi oklaskami. Potem na zakończenie była owacja na stojąco, okrzyki „Solidarność”. Był to chyba najdonioślejszy dzień w moim życiu...

Potem miałem mnóstwo spotkań, wywiadów, rozdawałem setki autografów z życzeniem „do szybkiego spotkania w wolnej Ukrainie”. Ludzie zaczepiali mnie, mówili, że śledzili naszą kampanię wyborczą, powtarzali, że w pełni zdają sobie sprawę, czym także dla nich jest zwycięstwo wolności w Polsce...

M.K.: — *Jak oceniasz zasięg wpływów ruchu, który tak wyraziście dał znać o sobie w czasie zjazdu? Czy jest to ruch masowy, czy nadal wąska elita?*

W.M.: — Bardzo trudno o precyzyjną ocenę, zwłaszcza biorąc pod uwagę zróżnicowanie, o którym mówiliśmy na wstępie. Na pewno nieporównywalne z Polską są możliwości techniczne i organizacyjne ruchu, choćby niezależna poligrafia, która wciąż jest jeszcze w powijkach. Dotarcie z tymi treściami, o których

tak wiele mówiono na zjeździe, do robotników, do chłopów nie będzie łatwe, pamiętać też trzeba o tamtejszej nomenklaturze, która czuje się pewniej niż nomenklatura w Polsce. Ale jeszcze większy, jeszcze trudniejszy problem, który szczęśliwie w Polsce nigdy nie istniał, to konieczność odbudowy zniszczonej kultury chrześcijańskiej. Przecież tam trzeba rozpoczynać pracę często niemal od zera! Brak kościołów i cerkwi, duchownych i katechetów, Biblii i katechizmów. Nie ma dosłownie niczego.

W tej właśnie dziedzinie Polska stać się może mostem ułatwiającym Ukrainie powrót do wspólnej chrześcijańskiej Europy.

M.K.: — *Przed rokiem otrzymałeś nagrodę Fundacji Jana Pawła II i całą sumę przeznaczyłeś na założenie fundacji. Jak wygląda realizacja tej idei?*

W.M.: — Fundacja Świętego Włodzimierza chrzciciela Rusi Kijowskiej na rzecz krzewienia chrześcijańskiej kultury ukraińskiej została już oficjalnie zarejestrowana i rozpoczęła działalność. Obok funduszu założycielskiego — tysiąca dolarów nagrody — napływają już pierwsze wpłaty powiększające jej konto. Istnieje zarząd i rada fundacji, mamy bardzo różnorodne plany, o których wolałbym nie mówić, zanim nie przybiorą kształtów bardziej realnych. Jednak sama idea fundacji, stworzenie ośrodka, który będzie próbował odbudowywać to, co świadomie i z pełną premedytacją ustroj totalitarny usiłował zniszczyć, zyskuje coraz szersze poparcie. Ja sam nie miałem wątpliwości, iż pieniądze przyznane mi za „działalność na rzecz zbliżenia polsko-ukraińskiego i za ukazywanie chrześcijańskich korzeni ukraińskiej kultury” winny dalej służyć temu właśnie celowi.

Jakby dopełnieniem Fundacji jest ukraińskie chrześcijańskie bractwo św. Włodzimierza, do którego od kilku lat należę. Dotychczas działaliśmy w podziemiu, teraz staramy się o legalizację.

M.K.: — *Na koniec rozmowy wróćmy jeszcze do kampanii wyborczej i do Twoich doświadczeń z tego czasu. Jak odległe jest Twoim zdaniem pełne polsko-ukraińskie pojednanie?*

W.M.: — W czasie całej kampanii przekonałem się dowodnie, że to nie rzeczywiste krzywdy i bolesne wspomnienia stanowią w naszych wzajemnych stosunkach problem główny. Ludzie, którzy sami doznali krzywdy, potrafią wybaczać. Głównym problemem jest ignoracja, niewiedza, utrwalone stereotypy. A

kampania skierowana przeciwko mnie przez władze udowodniła niezbicie, że właśnie władza zainteresowana była w utrwaleniu tych stereotypów i w podtrzymywaniu nienawiści. Ponieważ czas tej władzy wyraźnie się kończy, a miejsce mitów i kłamstw coraz częściej zajmuje rzeczywista wiedza o naszej wspólnej przeszłości, jestem optymistą. Co jednak nie oznacza, że nie będzie potrzebna wielka praca. I do tej pracy, także poprzez Fundację św. Włodzimierza, chciałbym gorąco zachęcić.

Rozmawiał Maciej KOZŁOWSKI

**AUKCJA POLSKIEJ SZTUKI
I ANTYKÓW — CZĘŚĆ I**
ze zbiorów
śp. dra Józefa A. Malejki
z Nowego Jorku

Duży zespół obrazów, akwarel i rysunków wybitnych polskich artystów XIX wieku. Polskie memorabilia wojskowe, szable, ordery, medale, monety i banknoty. Stare polskie srebra, listy i dokumenty królewskie.

Stare polskie ryciny — widoki miast i portrety.

Aukcja dnia 20 stycznia 1990 r. o godz. 4:00 pm.

Wystawa wszystkich przedmiotów 19 stycznia oraz w dniu aukcji. Adres: 177 Kent Street, Greenpoint, Brooklyn, NY 11222. Ilustrowany katalog w cenie \$8.00 oraz wszelkie informacje otrzymać można u Z. Michael Legutko, Lipert Gallery, 147 Milton Street, Brooklyn, NY 11222, tel. (718) 383 4429

Aukcja — Część II — malarstwo nowoczesne — planowana jest w maju 1990 r.

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Skończył się dla opozycji czas heroiczny, a w to miejsce wpłynęła polityka. Polityka bez tradycji i sprawnych mechanizmów wpłynęła między ruiny. Zaczęła się walka o władzę, wpływy, stanowiska — to na górze. Na dole tak zwani zwykli ludzie walczą o mięso, benzynę, papier toaletowy. A więc tu i tam szarpanie podartego i brudnego prześcieradła.

Dopiero teraz zauważyłem, jak boleśnie uwiera mnie codzienność i że nie znoszę swojego mieszkania, kilkudziesięciometrowego betonowego pudełka podzielonego na trzy nieforemne klatki, w których szafy pękają z powodu wzdęcia, a my troje nieustannie potykamy się o siebie. Książek nie kupuję, bo mnie na to nie stać i nie ma na razie miejsca. Minął dla mnie, dla milionów, czas taksówek, restauracji, już nawet kawiarnie przechodzą na stronę luksusu. Ale to pół biedy. Kogo nie odwiedzam, załamuje ręce, bo właśnie coś się kończy, z reguły pieniądze, i dogorywa domowa infrastruktura, pralka, lodówka... dziesiątki domowych przedmiotów, których kupić normalnie nie można i nie ma za co. Poczucie dyskomfortu i okropne przekonanie, że za naszego życia to się nie zmieni na lepsze. Strumień wolności słowa, który leje się z radia, telewizji i prasy nie gasi pragnienia normalności. A co powiedzieć o rodzącym się życiu politycznym? Bolesny to poród, a płodem są maleństwa, które krzyczą: „społeczna nauka Kościoła”, „pluralizm”, „sprawiedliwość społeczna”. Nie ma się poczucia, że muszą mówić co mówią, równie dobrze mogłyby mówić co innego.

B., wczoraj człowiek podziemia, dzisiaj również doradca ministra, wczoraj tropiący wszelkie odchylenia od moralnej linii, która nie miała prawa przecinać się z linią reżymu, dzisiaj sam kreśli nowe znaki, próbując łączyć swoje nadal podziemne funkcje

z ministerialnymi. Na spotkaniu doradcy ministra z niezależnymi wydawcami udało mu się dzięki aroganckiemu zachowaniu wzbudzić do siebie szczerą niechęć wielu swoich niedawnych kolegów. Czy to uczucie jest uzasadnione, nie wiem, ale wiem, że jest faktem. Mój znajomy spotkał na tym zlocie, w pękającej w szwach sali, kapitana Czyszkiewicza, w roli niezależnego wydawcy. Ówże kapitan aresztował go przed laty, dowodząc wielosamochodową ekipą SB. Potem w trakcie przesłuchań kapitan dowodził, że jest Wallenrodem, że cały resort jest Wallenrodem. Zionął antysemityzmem i antyradzieckością. Dyskutował o literaturze, twierdził, że dużo pisuje pod pseudonimem. W trakcie rewizji w mieszkaniu Wallenrod zachowywał się po chamsku w stosunku do żony J. i ukradł szereg książek i druków. Podczas następnych przesłuchań J. rozmawiał z innym Wallenrodem i kątem oka dostrzegł, że wydany przez niego a zarekwirowany nakład „Cywilizacji w czasie próby” Toynbee'go został wysłany na przemiał, a pod nakazem widnieje podpis funkcjonariusza. Cywilizacja w Polsce nie przeżyła jak widać swojej próby. Ale oto dzisiaj funkcjonariusze przechodzą na szybkie emerytury, stają się niezależnymi wydawcami, z podniesionym czołem przybywają na spotkanie z doradcą ministra — człowiekiem podziemia — i moszczą się pewni swego w tłumie ludzi, których jeszcze wczoraj śledzili i zamykali. Oto znak czasu. Ten znak śmierdzi.

Bezgraniczna arogancja ubeków nie dziwi, dziwi arogancja ich niedawnych ofiar. Jak najwięcej pod swoje skrzydła, bo weźmie to prawica i narodowcy. Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. Wszystko dla dobra sprawy, społeczeństwa, Polski. (Skąd my to znamy.) I właśnie ów B. zwrócił się do mojego znajomego ze słowami — „musimy się spotkać, by podzielić strefy wpływów”. Ten nie bardzo zrozumiał, ale poprosił o telefon. Wtedy B. zdenerwował się (czemu ja mam dzwonić, pomyślał zapewne — jestem już przecież nie byle kim, niech do mnie dzwonią).

Natomiast wstrząsającą przygodę miał mój znajomy pisarz, człowiek podkreślam delikatny i zupełnie niekonfliktowy. Został przez Byłego Moralistę (nazwijmy go więc B.M.) wzięty na bok, gdzie otrzymał propozycję współpracy z „naszą grupą”. — „Bo nie wiem czy wiesz — rzekł B.M. — że wpierdalasz się w moją działkę”. Pisarz nie wiedział. I z przykrością odmówił, tłumacząc się umowami oraz zobowiązaniami, no i tym, że przecież wcześniej nikt mu nie proponował...

— To ja ci teraz proponuję — rzekł moralista, potykając się o własne słowa.

Gdy i to nie pomogło, B.M. oświadczył. — To ja ciebie niszczyć.

— Najgorsze — skarży się mój znajomy — że to było bezgiewnu, na zimno.

To samo powtórzyło się z W. Tych dwóch akurat znam, nie wiem więc, jak wygląda pełna lista przeznaczonych do zniszczenia. A ja, czy ja zasługuję, by taki wielki człowiek mnie zniszczył, w końcu dopuszczam się właśnie teraz, znacznie poważniejszej zbrodni. Nie zasługuję, pocieszam się, za mały jestem, oszczędzi mnie.

Plotki na temat próby dogadania się grupy warszawskiej, zwanej „familiją”, z grupą „postępową” w PZPR pomału zamieniają się w kokony, z których wylatują pierwsze nocne ćmy. A może to nieprawda, prowokacja, plotka? Zapewne prawdziwa. Więc czemu nie dementują? Najmocniej na to wszystko reaguje młodzież. Jak łatwo traci się kapitał tak wielu heroicznych lat.

Bez wątpienia wielkim błędem roku '80 było zlekceważenie ruchu odnowy w PZPR i MO. Rzecz w tym, że dzisiaj ta gra (jeśli nie ta, to inna) prowadzona jest potajemnie i przez tych, którzy z bezkompromisowej otwartości uczynili kręgosłup swojego działania oraz miecz na zakute łby przeciwników. Dzisiaj moralści stają się konikami na naszej niewyraźnej szachownicy. Moralne autorytety, które nie mówią prawdy, kluczają, konspirują, również przed wczorajszymi współkonspiratorami, a to szok dla naiwnych, którzy uwierzyli, że możliwe jest przetrwanie czystych intencji, nawet gdy ich właściciele znajdują się w brudnym miejscu. Kim byli naprawdę w dawnych latach? Gdybym uwierzył, że tymi samymi ludźmi, którymi są dzisiaj, zwątpiłbym zupełnie w altruizm, przepraszam... już zwątpiłem. Wykazuję teraz być może naiwność dziecka, szkoda, że tracę tę swoją słabość, było mi z nią lepiej niż jest obecnie.

Aby nie wywyższać się przez krytykę innych, bo to w końcu najprostszą i najpopularniejszą formą polepszenia własnego samopoczucia — sam siebie podejrzewam, że w trzech polskich stanach, naprawdę istniejących, nazwanych trafnie przez Białoszewskiego przedwojennym, wojennym i powojennym, obok czystego buntu wiele z mojej niezgody wypływało z dumy, pychy, ambicji. Moja przyjaciółka od dziecka, znana ze słodkiej dobroci, powiedziała mi kiedyś — „człowiek jest dobry ze strachu”. Było to tak szczerze i prawdziwe, że przez nagłą szczerelinę ujrzałem naga kość bytu. Mam wiele grzechów, które zatykają mój coraz mniej drożny przewód sumienia, ale przez ostatnie dziesięć lat w odnodze powiedzmy społecznej zachowywałem się raczej poprawnie. I nie pamiętam już, kiedy zacząłem podejrzewać, że czynię to przede wszystkim z pychy. Bo moja ambicja nie pozwalała mi się świnić. I te chwile słabości, kiedy ulegało

się uczuciu pogardy i wyższości wobec tych, co nie sprościli wyzwaniom trudnego czasu. Czy więc nie ma altruizmu, uczciwości i, przepraszam za słowo, ... szlachetności? Są, ale zawsze w sobie zasuplane i ja już im nie ufam. I co teraz począć z tym paszтетem? Zjeść i dalej robić swoje? A może zakolegować się z Urbanem, Górnikiem i Passentem? I na pewno spać na palcach, by nie obudzić zwierzęcia pychy drzemiącego z wilgotnym pyskiem na upazurzonej łapie?

Lubię żywą, chociaż nieco szaloną inteligencję Jadwigi Staniszkis, ale drażni mnie jej natręctwo porządkowania świata, również w tych miejscach, gdzie on się uporządkować nie da. Stąd jej zabawna hipoteza o sztabie mózgow, który kontroluje wszelkie przemiany w Imperium. Kontrola biegunki, wymiotów i zadyszki, tego nawet KGB nie potrafi. Zdenerwował mnie natomiast jej inny tekst, również w *Tygodniku Solidarność*. Pisze m.in.: „Ale nie *fair* jest również zamysł polityczny części opozycji sojuszu z reformatorami z partii komunistycznej i usprawiedliwianie tego niekiedy (głównie na użytek zewnętrzny) polskim antysemityzmem i konsolidowaniem się prawicy (...) Wciąż jeszcze — moim zdaniem — nie ma w Polsce problemu antysemityzmu. Ale może być. (...) Moi przyjaciele z 68 roku zamykają się w pułapce obłąkanej twierdzy i we własnym gronie (a są blisko władzy, i to rodzi emocje), przyspieszają obłąkanie”.

No tak, pomyślałem, byli już syjoniści, a teraz nowy termin „moi przyjaciele z 68 roku”. I jak w ogóle tak można... Staniszkis też miała obawy, czy można i płakała w artykule, że sama nie jest... — jak to powiedzieć, użyję jej języka — „własnym przyjacielem z 68 roku”, bo wtedy by mogła. Zdenerwowałem się na te słowa. Dlaczego, skoro myślałem całkiem podobnie? Bo były to myśli, które zagnieździły się w miejscu wstydlwym, jak lubieżność, zawiść... a ona tam wsadza kobiecą rękę.

Sprawa tak zwanego pochodzenia należy do nieznośnych dla nielicznych, co nie posiadają lub starają się nie posiadać przesądów. I jak w ogóle o tym mówić, skoro sam fakt rozróżniania, jeśli dotyczy ludzi, którzy ze swych przodków nie czynią sprawy, jest aktem jeśli nie rasizmu, to jego podnóżem. Nie godzę się więc w ogóle z takim stawianiem sprawy, ale... tak stawiają sprawę w Polsce niemal wszyscy. Takie myślenie pokonuje umysły zdawało się najbardziej odporne na gnojówkę, a nie tylko jest udziałem jakże licznych u nas rzesz rasistów — z reguły mało krwiożerczych, bo rozpuszczonych w słowiańskiej zupie jarzynowej — ale jednak rasistów; jedno- i dwupłciowych, jawnych i ukrytych. Jest to więc fakt, również polityczny, a gdy się uprawia politykę, jak nie brać pod uwagę politycznych faktów?

Jeżeli w ogóle prawdą jest istnienie „grupy warszawskiej”, to u źródeł myślenia grupowego w tej „rodzinie” są wspólne lata walki, więzień, czyli biografia, doświadczenia wspólnoty, będącej przez lata pod ciśnieniem, a nie kształt nosa, który zresztą jest lepszy niż wielu sądzi. I ciekawe, że doszło do sytuacji, gdy ludzie bliscy, nawet niedawni członkowie rodziny, zaczęli rodziny nienawidzić, szczególnie gdy jako niewierni zostali przez nią opluci. Bo ojcowie duchowi, sądząc, że są politykami, są przede wszystkim neurotykami, cóż z tego, że czasami wybitnie inteligentnymi. Nie na tyle by wiedzieć, że dalsza gra wedle tych reguł, to dostarczanie paliwa, i to w cysternach, dla ruchów narodowo-prawicowych, których tak słusznie tak bardzo się obawiają. No dobrze, ale kto należy do tej grupy? Przecież Kuroń przestał się w niej mieścić, biorąc jakże niewdzięczną funkcję ministra biedy, Geremek też tam nie w pełni przystaje, szczególnie od czasu, kiedy mówi identycznie jak Papież... Więc kto? Czy naprawdę wszystko co dobre i złe musi spadać na barki Michnika i małego organizmu zbiorowego, który do niego się przyssał? Więc może to wszystko nieprawda?

Dlaczego w ogóle piszę o czymś, czego nie jestem pewien? Bo coś wisi w powietrzu, jak trudny do określenia zapach. To część niejasności naszej dzisiejszej sytuacji, fragment bezradności, mojej, naszej, próbuję ją pokazać, zapewne kiepsko, ale inaczej nie potrafię.

Cechy, które tak gwałtownie wypęłzają z Polaków na emigracji, czyli rasizm, ksenofobia, zaczynają wykluwać się teraz w kraju — pewnie dlatego, że tracąc Wroga, a mając przed sobą zupełnie zniszczone otoczenie, wśród którego błąka się nasza bezradność, wszyscy tu tracimy grunt pod nogami, a najłabsi macają po omacku szukając rogów kozła ofiarnego.

Faktem jest, że nieliczne mniejszości narodowe, czując nosem wolność, a mając te same problemy, co nasza większość, plus swoje osobiste lęki przed nami, którym rozwiązano ręce, zaczynają po raz pierwszy na głos podkreślać swoją odmiennność. Wydawało się, że już nie ma w Polsce Niemców, a tu nagle podnosi się na wschodnich kresach całkiem okazała niemiecka głowa. Jak tu się dziwić, skoro najpóźniejsi piastowscy Słowianie grzebią w papierach, by dzięki germańskiej babce przesiąść się do Mercedesa. Słychać ochrypy od krzyku głos puchnącej grupy narodowej — rośnie nam piąta kolumna.

A ja na to pokornie — piąta kolumna jest nam niezbędną, by podeprzeć walący się narodowy gmach.

I doczekaliśmy się, na wschodzie antysocjalistyczna wiosna ludów. Patrząc z szeroko otwartymi oczami i dziwi się, że tak

rzadko dotyka mnie wzruszenie. Dotknęło, gdy zobaczyłem jak młodzi ludzie młotkami rozbijali wargę berlińskiego muru.

Pamiętam swoje niedawne wizyty w Berlinie Zachodnim. Dotykałem muru zafascynowany, że oto wzniesiono tak obszerny i dotykalny pomnik temu, co wydawało się niedotykalne. Pamiętam też, jak stałem u głowy mostu „Jedności”, przez środek którego biegnie granica i patrząc na jego zimne nogi po tamtej stronie, pomyślałem — jacy biedni są ludzie, którzy tam żyją. I dopiero po chwili zrozumiałem — to ja żyję po tamtej stronie. Nocami zawiewało z martwej granicznej strefy szczekaniem psów, które przyczepione ruchomym łańcuchem do liny, uganiały się za królikami, co bez zezwolenia przekraczały granicę. I sam wtedy czułem się takim królikiem, przycupniętym pod okapem nocy, z polskim paszportem, który nagle zyskiwał na wadze. Pamiętam grozę przekraczania granicy, której jestem wdzięczny, bo przekazała mi smak okupacji. Ten smak, który chwilami czuliśmy w stanie wojennym.

Jaki morał z wiosny demoludów? Konformiści są nagradzani przez historię, szczególnie jeżeli ten konformizm ma swoją tradycję i jest gospodarny. Wszystko wskazuje na to, że wschodni Niemcy osiągną gładko to, o co my od tyłu lat walczylśmy, tracąc zęby, włosy, paznokcie.

A w Warszawie nie ma już pomnika Dzierżyńskiego. Zdjęto go niby z powodu budowy metra. Tłum czekał na to wydarzenie. Bałem się o krwawego Feliksa, bo uważam, że człowiek zasłużył na karę, nie pomnik. I wiedziałem, że wyrok będą wykonywać robotnicy, a więc lud Warszawy, który w takich sytuacjach nie zna litości. Operator dźwigu zapowiedział, że złapie Go za głowę. Złapał pętlą za tułów. Wystarczyło. Odpadła głowa, a potem nogi. Widziałem przez chwilę tę głowę, była to głowa mężczyzny. Tłum odśpiewał hymn, a potem jak szaty na skrawki dał stłuczone nogi i odpryski betonowego mózgu. (Okazało się, że pomnik był oszczędnościowy, z betonu, pokryty skórą miedzi.) Jestem oburzony. Pomniki tyranii, pomniki głupoty powinny być chronione nie mniej niż najdroższe pamiątki narodowe.

Ledwie to napisałem, już młodzież zaczęła się dobierać do Włodzimierza Iljicza Lenina w Nowej Hucie, i oto miały tam miejsce największe od lat bitwy z milicją. Kiedyś zdobywano Pałac Zimowy, teraz nasza młodzież zdobywa pomnik Lenina. Gdyby rządźli nami psychoterapeuci, napisaliby taki oto scenariusz... odbywa się wielomilionowy wiec pod pomnikiem, na którym zmontowano wielką gilotyne. Egzekucja jest transmitowana przez telewizję. W chwili ścięcia z tułowia tryska fontanna wiśniówki. Lud tańczy i pije, a szczątki Włodzimierza Iljicza

sprzedawane są za dolary z przeznaczeniem na fundusz Mazowieckiego. Ale jak to się ma do mojego pomysłu ze skansenem? Ścięto by tylko replikę Lenina, a oryginał mógłby sobie konspirować z towarzyszami zwiezionymi do ...miejsce do ustalenia. Miejsce zostało ustalone. Bo wydarzenia nieustannie przeganiają moją złośliwą wyobraźnię. Na zjeździe plastyków zaproponowano, by taki skansen pomników powstał pod Pałacem Kultury. W tydzień potem wiadomość, że Włodzimierz Iljicz w Nowej Hucie jest pośpiesznie rozbierany, a włoscy komuniści gotowi są kupić jego szczątki. Gdyby zachodnich komunistów było stać na zakup wszystkich pozostałości stalinizmu, mielibyśmy szansę na spłacenie naszych długów.

Wałęsa w USA. Cóż za entuzjazm. W Kongresie senatorowie wielokrotnie wstawali. Wałęsa, który do dziś nie nauczył się płynnie czytać, męczył się okrutnie. Natomiast jego tłumacz, Jacek Kalabiński, mówiący o wiele lepiej po angielsku niż Amerykanie, deklamował wspaniale, jakby recytując zjadał niepostrzeżenie obiad składający się z najbardziej wyrafinowanych potraw. W tym czasie Wałęsa zanurzony w potrójnej brodzie gorączkowo powtarzał sobie tekst. Trzymał się kurczowo kartki, nie odrywając od niej oczu, jak tonący deski. „Podbił Amerykę”, napisały gazety. Sześćdziesiąt dwa uniwersytety klóciły się, który dostąpi łaski przyznania mu doktoratu *honoris causa*. (Jaka nagroda dla Kazimierza Dzięwanowskiego, który napisał Wałęsie przemówienie?).

W wywiadzie dla polskiej telewizji Wałęsa powiedział m.in.: „Trzeba powołać grupę mieszaną, która zagospodarowałaby brak naszej kompetencji”. Może by napisać — podbił polski język. No tak, ale nawet te potknięcia, jak twierdzą wielbiciele, rodzą perły.

Bardzo dzielnie zachowuje się syn Wałęsy, Sławek, który — jak podał *Nowy Dziennik* — od dwóch miesięcy poznaje życie amerykańskiego nastolatka. Trudno wymagać od nastolatka, by posiadał zręczność wielkiego ojca, ale ciekawe, że niezręczności syna tak bardzo przypominają lapsusy ojca, a na dodatek jakże wiele o nim mówią. Pytany o powód pobytu w USA i o rodzeństwo Sławek odpowiada: „Ojciec zaplanował to dokładnie. Bogdan, 19, uczy się niemieckiego i jest teraz w Niemczech Zachodnich. Przemek, 15, uczy się francuskiego i spędza wakacje we Francji. Każde z nas ma się nauczyć innego języka. Ojciec chce uniknąć w przyszłości kłopotów z tłumaczeniami. Chce mieć swój prywatny sztab zaufanych tłumaczy”.

Na pytanie, dlaczego ojciec nie objął funkcji premiera, mówi: „Jeszcze nie teraz. Jest na to za wcześnie. To byłoby zbyt ryzykowne. Zbyt łatwo mogliby go obarczyć za wszystko winą”.

Dziennikarz zauważył, że przecież Mazowiecki jest jego najbliższym współpracownikiem.

„Tak, ale to nie to samo. Będzie bardzo trudno, rząd może być sabotowany przez cały aparat partyjny. Może mieć poważne problemy. Mój ojciec nie może sobie pozwolić na przegraną. Nie ze względu na jego osobistą karierę, absolutnie nie. On symbolizuje jedyną nadzieję dla Polaków, dla Polski. Jeśli ta nadzieja upadnie, to nie pozostaje już nic, tylko rozpacz. A Polska nie może sobie pozwolić na rozpacz”.

Wcześniej Sławek opowiadał, jak to ojciec „ma zawsze wszystkie możliwości przemysłane”. Ciekawe, czy tak przenikliwy umysł przewidział możliwość, że jego syn i przyszły członek sztabu tłumaczy zacznie go sypać.

Andrzej Wajda w telewizyjnym programie, gdzie zresztą bardzo pięknie odpowiadał na 100 pytań, nagle oświadczył, że mógłby być kierowcą Wałęsy. Całe szczęście, że nie zaproponował, by ten robił za niego filmy. A więc taniec intelektualistów wokół Lecha trwa. Muszą robić coraz większe koła, bo Wałęsa tyje w oczach, a do tego coraz jest grubszy politycznie, już król i superrobotnik, Piłsudski i prosty człowiek, Kościuszko i biznesmen. Robi niesamowite miny człowieka, który jest tak z siebie zadowolony, że nie mieści mu się to zadowolenie w ramach oblicza. O, jakże chwilami przypomina naszego Nikodema Dyzmę czy ogrodnika, którego stworzył w powieści „Wystarczy być” Jerzy Kosiński. O Boże, cóż ja wypisuję, jakbym był opętany nienawiścią do Wałęsy, a przecież tak nie jest. Kiedy mówi — „ja jestem dobry człowiek” — wierzę mu. Wierzę nawet w jego polityczną intuicję. Nienawidzę... nie jego, a sytuacji, w której mógł tak urosnąć. On jest właściwie zupełnie niewinny. Winne są chore okoliczności i ten chory, bardzo chory kraj. I Zachód, jak zwykle ogłupiał, gdy patrzy na ów niepojęty Wschód.

A najgorsze w tym nieszczęściu, że Wałęsa wydaje się niezbędny. By swoją chorobą ograniczać inne choroby. Czy w tej sytuacji można wyzdrowieć — wątpię.

Coraz powszechniej sądzi się, że Mazowiecki i związana z nim część opozycji zostaną zjedzeni przez zrozpaczone naród. Wydaje się, że nawet Wałęsa mógłby wziąć udział w tej uczcie. A na prowincji spotkałem licznych działaczy opozycji, którzy obliczają się na myśl o kościołach Mazowieckiego. Nic dziwnego, że Premier wyraźnie cierpi na depresję, zbolała twarz męczennika. Ale robi dobre wrażenie, bo jego rozpacz nie kłóci się z rozpaczą tego kraju. Lubią go szczególnie stare kobiety. Jego przepelniona żalobą kultura wydaje się idealna, by zamykać oczy umarłym.

Ale przecież ci sami ludzie gadają w autobusach — „ten Żyd Mazowiecki nas sprzeda”. Nawet jak na szpital psychiatryczny tłok u nas stanowczo za duży.

Istniejący od jakiegoś czasu podział w naszej opozycji, o którym wiedzili wtajemniczeni i krewni wtajemniczonych, został w końcu nazwany po imieniu. Uczynił to *Tygodnik Solidarność*, pismo, które jest stroną w tej żałosnej kotłowaniu. *Tygodnik* od czasu desantu Wałęsy stał się — trzeba przyznać — ciekawszy, czasami jednak wydaje się, że są to atrakcje kanału ściekowego. Przepraszam, to za mocno... piszą tam również bliscy mi ludzie bliskie mi teksty. I nareszcie pewne rzeczy zostały głośno powiedziane. Szkoda, że nie przez tych ludzi, których bym pragnął słyszeć. Bo jednak ów nieprzyjemny zapach unosi się nad łamami. To zapach niechęci do przeciwników, kompleksów, żalów, które zbyt długo leżały na słońcu.

Oto Piotr Wierzbicki (przekora plus odchylenie narodowe) konstruuje trzy szufladki i wkłada do nich trzy grupy, nie bacząc że przy okazji zamykania ich przytrząskuje temu i owemu to i owo. Trzy grupy to „familia”, „świta” i „dwór”. „Familia” zgrupowana jest wokół prezydium OKP. „Dominują w niej tacy politycy, jak Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, Adam Michnik”. Dalej autor pisze o KORowskim rodowodzie i nastrojach socjaldemokratycznych. Wierzbicki chwali ich w złych, podejrzewam, intencjach za wielką dyscyplinę i ofiarności (jak to się w mafii zdarza — dopowie sobie lotny czytelnik). Organem familii jest *Gazeta Wyborcza*.

„Świta” zgrupowana jest wokół rządu Mazowieckiego. Jest młoda, ma kilka tygodni i Wierzbicki ma kłopoty z nadaniem jej wyraźnej barwy. Pisze więc, że „nie jest tworem jednorodnym”, a wybitną postacią jest Hall. „Świta” współpracuje z Kościołem. Mimo że w znacznej części wywodząca się z katolickiej lewicy, „jest nastrojona raczej liberalnie”.

„Dwór” otacza władzę związku „Solidarność” i Wałęsę. Tę grupę scharakteryzować najtrudniej — skarży się Wierzbicki — pisząc dalej o Wałęsie i wymieniając nazwiska gdańskich działaczy skupionych wokół niego. „Dwór” nie jest ani lewicowy, ani prawicowy. Utrzymuje bliskie więzy z Kościołem. Organem „dworu” jest *Tygodnik Solidarność*.

Potem autor pociesza zboliałych czytelników, że nie jest tak źle, bo mimo sporu wszyscy jakoś ze sobą współpracują. Można dodać, że jak się wydaje nie mają innego wyjścia, bo są skazani na jedną szalupę.

A co ja mam robić? Nie podoba mi się familia, dwór, świta, nie podoba mi się Wierzbicki, który o tym pisze. Nie

podobają mi się moje własne emocje na ten temat. I nawet nie jestem pewien, czy to wszystko prawda, czy fikcja.

Zauważyłem, że w swoich notatkach popadam w monotonię. Moje złośliwe malkontenctwo zaczyna cierpieć na czkawkę. Posądzany jestem o klimakteryczne nastroje, a nawet wiek starczy. Potem zdumieni czytelnicy, jeśli mają okazję skonfrontować wyobrażenie autora z nim samym, dziwią się, bo widzą człowieka nie starego, o niezłej prezencji. I w tej sytuacji aż się prosi mój dziennik o trochę szczerości obyczajowej, bo co to za dziennik bez erotyki. Z erotyką jednak same kłopoty. Jak tu siebie oraz winne i niewinne dziewczęta rozdziewać na łamach tak poważnego pisma, pod czujnym okiem rodziny, z przyklepionym do szyby uśmiechem znajomych.

Monika i Agnieszka tańczyły przy zgaszonym świetle odziane tylko w majteczki. Namawialiśmy je z Adamem spod łóżka, gdzie pozwolono nam się schronić, by pozbyły się zbędnego okrycia. Wznosząc się na wyżyny dyplomacji, której nie przekroczyłem potem już nigdy, oświadczyłem: nie ma się czego wstydzić, to tylko skóra.

No tak, ale mieliśmy wtedy w sumie we czwórkę niemal połowę lat, które ma teraz każde z osobna. Oj, nie jest dobrze, chociaż jeszcze kawałek drogi do miejsca, gdy dermatologiczne podejście, ale już bez dawnych emocji, jest jedynym możliwym.

Tylko erotyka dzieci broni się w literaturze. Zdumiewające, że to co tak powszechne i ważne w życiu, nie chce dać się pokryć słowom, zawsze coś wystaje, albo obrzydliwie, albo śmiesznie. Zostawiam więc seks wybitnym prozaikom, by na nim wpadali w erotyczny poślizg, choćby to był Tadeusz Konwicki. Jego filmowe „Dziady” są dziełem tyle imponującym, co nieudanym. Słowa, genialne słowa Mickiewicza, wrażliwość Konwickiego i jego miłość do Wilna niosą ten film wysoko, ale z wysoka też spada garść pięknych scen. Poruszający jest Holoubek w Wielkiej Improwizacji, ale jakże zapomniany, że od lat się w tym specjalizuje i z pewnością zdobyłby złoty medal, gdyby na Olimpiadzie była taka konkurencja. Problem w tym, że film może się składać ze scen, z których wszystkie będą wspaniałe, a on sam będzie nędzny. I właśnie „lawa”, chociaż pięknie łśni, a chwilami nawet wrze, nie chce złożyć się w całość. A zdarzają się i grafomańskie fragmenty. Orzeł, jakże fotogeniczny, nie może się wzbicć do lotu. Kicz narodowy niesiony geniuszem Mickiewicza i talentem Konwickiego potrafi wzruszyć. Tym gorzej dla sztuki. No i te gołe baby. Tego sobie Konwicki nie potrafił darować. I jak w całej jego twórczości nie są to zwykłe baby, ale piersiaste dziewczęta, które wylazły z kompleksów. Rozumiem ten ból, bo też mam swoje problemy. Powstało więc

znowu dzieło, no tak, jednak dzieło, ale popękane i w gruncie rzeczy prowincjonalne. I oczywiście nikt o tym nie napisze krytycznie, bo jakżeż to krytykować Konwickiego, opozycję, a na dodatek piękne złote Wilno.

Ale oto przed chwilą obejrzałem w telewizji zdjęty z półki film dokumentalny mego przyjaciela Andrzeja Titkova o Konwickim, i tylko dzięki sile lewej ręki nie pozwoliłem prawej skreślić drobnych złośliwości pod adresem pisarza. Bo przejmujące było, co mówił. I polubiłem go nagle serdecznie, a i wcześniej lubiłem i ceniłem. Ale gdy próbuje się być adwokatem diabła, jak nie zauważyć, że w tym biograficznym dokumencie uciekł Konwicki od tematu stalinizmu w półśłówka, w półgębki, w półdupki. Kiedyś bym się gniewał, teraz już nie. Pamiętam jak przed laty, gdy podszedłem do niego prosząc by porozmawiał ze mną o stalinizmie, zakreślił się wokół, jakbym go dźgnął rozpalonym kolcem. Gdy doszedł do siebie, mimo publicznego miejsca, zrobił mi małą awanturę — bo wy młodzi chcecie nas starych rozbiierać i za jaja chwytać.

Odruchowo schowałem ręce za siebie, bo ani mi było to w głowie. Ale później, gdy przeprowadziłem z pisarzami szereg rozmów o stalinizmie, sam nie wiem kiedy, pojąłem, że rozbięram i chwytam, a co najgorsze, zaskakujące, przerażające, znajduję w tym sadystyczną przyjemność. Bo na romans z diabłem złożyło się wiele splotów, ale nieszczęsna prostytutka i pornografia też. A że przytrafiło się to liczny szlachetny, tym bardziej rajcuje. I tak od seksu poprzez stalinizm znowu doszliśmy do seksu. Wystarczy.

Bywam ostatnio na licznych zebraniach, gdzie czuję, jak rozbiera mnie do kości bezradność. Na zebraniach dyskutuje się o tym, jak ratować kulturę w Polsce. Plany wydawnictwa „Czytelnik” spadły z kilkuset tytułów rocznie do 35-ciu. To, że zdychają komunistyczne molochy pół biedy, chociaż ktoś im nie włożył w paszczę. Drapieżne nowe firmy, często prowadzone przez ubeków, szukają tylko bestsellerów. Drugi obieg szybko zmierza do miejsca, gdy drukowanie w podziemiu będzie tylko i wyłącznie przestępstwem finansowym. Już prawie wszystkie miesięczniki znalazły się w sali reanimacyjnej, a pisma naukowe, które przetrwały najgorsze czasy, tych, jak się zdaje, nie przeżyją. Sypią się szkoły, uniwersytety, cała oświata. Zupełnie nie teatralnie umierają teatry. I tak dalej, i tak dalej... Skala dramatu przypomina to, co stało się w roku 49, lecz niejako *à rebours*. Wtedy dokonywano zbrodni centralizacji, pełnej kontroli, teraz chorobą stają się rynek i XIX-wieczny kapitalizm, bez kapitału, mechanizmów, nawyków... Nasi ministrowie, wice i dyr. departamentów zdają się zupełnie bezradni. Bo jak kulturalnie oczyścić

kulturalne stajnie Augiasza i powietrzem nakarmić głodnych. Ludzie sztuki, którzy biegną do ministerstwa krzycząc, że katastrofa, przyjmowani są czule. Potem skarżą się: „To jakby wpaść w życzliwą wate”.

A więc siedzę na tych zebraniach, gdzie suma bezradności oraz braku energii daje wynik w postaci unoszącego się w powietrzu ziewania. Zdumiewające zjawisko — ziewanie przestrzeżeni. Patrzę na oblicza ludzi i z tej bezradności zaczynam studiować. Są wszystkie grupy wiekowe, nestor już zasnął, przeważa wiek średni staczający się w starość.

Można studiować liczne formy utraty owłosienia.

Są takie dni, kiedy czuję się zupełnie młody, i takie, kiedy zupełnie stary. Właściwie nigdy nie jestem w środku. Najczęściej tych dwóch idzie obok siebie, młody i stary. Młody coraz częściej zostaje z tyłu. Gubi się, zdaje się na zawsze, po czym niespodziewanie odnajduje się. Nie potrafię znieść tej podwójności i sam go zaczynam przepędzać w nadziei, że w końcu stanę się tym w środku, a wtedy stary przestanie mi siedzieć na karku i wbijać ostre kolana w grzbiet. I jak tu przemieszczać się na tyle ostrożnie, by nie wleźć w strefę zawałów serca i chorób nowotworowych, a zachować przywilej przebywania w strefie *aids*. A do tego polskie szpitale. Właściwie każdego dnia zdrowy powinien się radować, że nie leży w szpitalu. Już się zacząłem radować, gdy nagle zepsuł się odkurzacz. Poczucie nieszczęścia, odkurzacza nie kupisz, a części zamiennych nie ma. Właściwie gdyby notować godziną po godzinie życie człowieka w prawie wolnej Polsce, dopiero wtedy chwytana ręka miałaby szansę złapać za ogon diabła, który jak wiadomo lubi siedzieć w szczególe. Proszę bardzo, oto mój dzień wczorajszy, czyli 1 grudnia, słowo honoru typowy dzień.

Obudziło mnie coś w nocy. Miałem wrażenie, że to hipopotam płucze gardło azulanem. Chciałem zapalić światło. Nie było prądu. Ruszyłem do okna. To dogorywały kaloryfery, dotknąłem, były już zimne. No tak — pomyślałem — będzie ciężki ranek. Rano niespodzianka, odzyskaliśmy ciepło i prąd. Na parkingu obejrzałem swój samochód i ze zdziwieniem stwierdziłem, że niczego nie ukradziono. Jako że nie ma w ogóle części zamiennych, zniknąć może wszystko, od kół do zderzaka i szyb. W dobrym humorze podążyłem na przystanek autobusowy (czemu nie jadę wozem? Właśnie z powodu braku części zamiennych samochód jest unieruchomiony mimo, że na gwarancji. Gdyby ktoś posiadał gaźnik, pokrywę termostatu, pompkę do spryskiwacza szyb — to bardzo serdecznie proszę o kontakt). Autobus jak zakatarzony nos, wciskam się w jedną dziurkę. W pracy okazuje się, że nie działa telefon. Może dobrze, i tak nie można nigdzie się dodzwonić. Potem do apteki,

ale kolejka zatrważająco długa i jakby chora na cholera, więc rezygnuję. Do zakładu po elektroluks. Nieszczęście. Spalił się w nim stojan 300-1200 — nie do nabycia (gdyby ktoś z państwa przypadkiem posiadał...). Nowego odkurzacza nie kupisz w Polsce, no chyba, że ma się znajomości (tu już nie śmiem prosić).

Wracałem do domu, żołnierz po przegranej bitwie, z myślą, że w mieszkaniu czekają na mnie liczne problemy, jak bolesne kaktusy podlewane przez każdy nowy dzień. Wanna, z której nie ścieka woda, a hydraulicy odmawiają przepchania. Lodówka i telewizor dopełniają swego żywota, iluminator pralki zamykany na przyklepiec.

Pewnie dlatego tak mocno mnie ostatnio ciągnie do filozofii Wschodu — nie mieć rzeczy, nie mieć pragnień. Ale szybko zapominam o tym pociągu, gdy w pobliżu domu jestem zmuszony przebyć ruchome fortyfikacje sformowane przez wielokilometrową kolejkę po benzynę. Pobliski sklep zamknięty, jak zwykle z powodu włamania.

Kolejki, brak, codzienna szarpanina, to wszystko wydziela z siebie zapach nieszczęścia i wojny. Okropna to wojna, bo bez szansy na heroizm.

Polska prowincja... jak się zdaje, rewolucja polityczna dociera tam tylko w postaci telewizyjnego *showu*. Mam dwójkę znajomych socjologów, którzy od lat badają małe mazowieckie miasteczko. Badają od stóp do głów, nie oszczędzając intymnych narządów.

Dwójka moich znajomych to wymierający gatunek społeczników, zaniedbali dom i siebie. Ich ideą było nie tylko badanie miasta, ale ożywienie jego tkanki społecznej. Zachowali uśmiech i pogodę, gdy wokół już królowała rozpacz. Chwilami denerwował mnie ich optymizm. Pojechałem do nich jak zwykle by się wzmocnić. Sprzątali właśnie swoje stłuczone uśmiechy. Pochyliłem się, by im pomóc, czując rozpacz i obrzydliwą satysfakcję. To ja miałem rację. Opowiadają, że zmiany w kraju nie znajdują tam żadnego odbicia, szybko postępuje wysychanie, demoralizacja, korumpowanie. Żadnej działalności społecznej. Wódka i telewizor. A w powietrzu niepokój, że nie zdąży się czegoś zachapać. Szarpanie trupa.

Długo można by wylizywać, jakie okropieństwa u nas ostatnio triumfalnie obnażono, co się skłóciło, podzieliło i co obrzydliwego rozwiązano. Oto rozwiązano Zomo, Ormo, a nawet Pron. Ten ostatni rozwiązał się niemal na moich oczach, bo byłem w budynku, gdzie piętro niżej się rozwiązywał. Poczciwie kółko niewiast jadło ciastka, popijając herbatą. Nie wydawały się

zmarłwione, wszystkich przygarnie Narodowy Czyn Pomocy Szkole.

Ale najbardziej niezwykle, że widać już sznurowadła, za które ciągną ludzkie rzesze, by rozwiązać gnijący gorset sowieckiego związku. Socjalizm w krajach obozu rozwiązuje się mniej lub bardziej gwałtownie. Wytacza się po tym zabiegu kleista kula codziennego życia. Jak ten koszmar rozwiązać. Tego nikt nie wie.

Mój prawie 15-letni syn nagle zamyślił się i westchnął: „co to będzie”. Był w tym ból i niepokój i serdecznie zaniepokoiłem się i prosić go zacząłem, by ujawnił, jaki krajobraz kryje się za tymi słowami. Wkurzył się, czemu głowę mu zawracam i jakim prawem tak pytam. On mnie przecież nie pyta, co się kryje za nagłymi okrzykami, którymi jak znakami przestankowymi ozdabiam stronę każdego nowego dnia: — nonsens, — niech to szlag trafi. Musiałem przyznać mu rację, ale nadal nalegałem i w końcu się przyznał, że pomyślał, co to będzie z tym krajem (tak się u nas powszechnie określa Polskę — nie mój, nie nasz, nie ukochany, ale t e n kraj), bo od pół roku mamy nowy sejm, senat, rząd, a jest coraz gorzej, straszniej i ponurzej.

Ósma rocznica stanu wojennego i ta noc, noc stulecia Polaków. Ostrzeżony wyszedłem na pięć minut przed ich przyjściem (a wróciłem po roku do domu, który przez następne kilka lat nie miał drzwi). Czterech mężczyzn spłynęło z mroźnego nieba jak czterech aniołów komunizmu, jeden w mundurze, jeden z łomem. Siedzieli całą noc, czekali. Moja żona poszła do pokoju sprawdzić, jak śpi nasz syn. Ujrzała, że obok jego głowy pełnej snów stoi łom, oparty o ścianę jak upiorna wykałaczka. Wniosła go do pokoju, pytając — a to co? Spesz yli się. Jeden wybelkotał, że był potrzebny do samochodu. Spesz yli się nie tylko dlatego, że sami umierali ze strachu, byli tylko nędznymi najemnikami, słabo płatnymi i niepewnymi tego co czynią. Już w tym popłochu, we wstydlwym ukryciu łomu był początek ich klęski i naszego zwycięstwa (z trudem nie użyłem słynnych słów: z za grobu zwycięstwo). Jaka jest sytuacja po ośmiu latach, widzimy. W prawie wolnych *mass mediach* dawni oprawcy i dawne ofiary przytuleni do siebie ramionami szpalt opowiadają, jak widzą tamtą noc. Nawet zamordowani górnicy szeleszczą ustami, zjadając kwiaty, którymi obie strony karmiły ich grób.

Nie wiem, czy weszliby Rosjanie. Wiem natomiast na pewno, że 13-go stało się coś przerażającego. I nie dlatego, nie tylko dlatego, i nie przede wszystkim dlatego, że nieprawdopodobne kłamstwo stało się prawem, że wyważono drzwi we wszystkich domach, że owłosione ucho policyjnego molocha

przyłgnęło do naszych telefonów i ścian, zostawiając tam trwałe odciski, że na komendach MO torturowano ludzi, że były mordy — o tak, mogło być gorzej, bywało gorzej. A jednak stała się rzecz straszna. Pękł po 13 grudnia ważny przewód doprowadzający tlen i krew do naszego zbiorowego organizmu. Wiara w przyszłość skurczyła się do wielkości pomarszczonego orzecha. Skąd aż taka reakcja? Bo „Solidarność” była cudem, powstała, chociaż nie miała prawa narodzić się i żyć. Zabić cud — to wielka zbrodnia. A byliśmy już wtedy u kresu sił. Dzban się nie tylko przepełnił, on pękł. To nie jest nieuleczalne. Ale to, co się teraz dzieje, nie jest lekarstwem. Bo nie dostaliśmy za doścu czynienia. Nie myślę o ścinaniu głów dosłownie, wiadomo, że czasami egzekucje wystarczy robić na symbolach. U nas symbol stanu wojennego, jego usta, które budziły tych, którym dane było spać świtem 13 grudnia, ten symbol piastuje funkcje prezydenta. A redaktorzy naczelni jedyne go dziennika i zarazem ofiary stanu wojennego idą do swego oprawcy, by zrobić z nim wywiad o tym stanie. Generał otwiera okna swego pancernego wozu i okazuje się człowiekiem ujmującym. Redaktorzy wracają do domów, których drzwi noszą jeszcze wyraźny ślad pazura tamtej nocy i są oczarowani. Powstaje tekst podobno żywy i ciekawy. Ale oto adiutant intelektualny prezydenta, płk Górnicki, wywiad przepuszczą przez swój aparat umysłowy i przekazuje gazecie smętną papkę. Gazeta kontaktuje się z generałem, prosząc, by dla swego dobra zgodził się na tekst pierwotny. Generał przeczytał poprawiony, pierwotny, i z bólem decyduje się, by nic nie drukować. Daje do zrozumienia, że boi się betonu w PZPR. Toczą się pertraktacje, to niemal walka o duszę generała... W końcu tekst jest drukowany, cholera wie w jakiej wersji. I co? Moim zdaniem nic.

Dorobiliśmy się sytuacji, że stan wojenny coraz nam dalszy, Jaruzelski coraz nam bliższy. Nie mogę już oglądać zdjęć z tamtego czasu, czytać słów, które pisałem. Jakbyśmy wszyscy wtedy dali się nabrać, uwierzyliśmy, że komedia jest dramatem. O tak, brak poczucia humoru w tamtym czasie wszystkim i wszystkiemu bardzo przeszkodził. Wracając do wywiadu z generałem, psycholog powiedziałby, że oto ofiary zaspokajają swą potrzebę uwiedzenia oprawcy (sam miewałem takie sny). Ale jakie z nas ofiary, jacy z nich oprawcy? Czy więc nie należało iść do generała pytać o stan wojenny? Ależ należało, ale czemu robią to ludzie, którzy są naszym symbolem? To tworzy nowy symbol, który ma smak mydła. Umyjesz tym ręce, ale nie duszę. Bo nawet jeśli odstępimy od pytania, czy stan wojenny był konieczny (czy branka zarządzona przez Wielopolskiego była konieczna, czy...) współcześni nie wydają się dobrymi sędziami w takich sprawach. Ale doprawdy... to co się działo po wprowa-

dzeniu stanu wojennego, ta rzeka gówna, którą wylano na nasze głowy, rynsztoki kłamstwa, ścieżki zdrowia — czy tego też żądał, jak to się dzisiaj mawia — stary człowiek na Kremlu? Z planu zniszczenia „Solidarności” i opozycji, który zawierał w sobie najbardziej perfidne metody, zrezygnowano dopiero, gdy po pierwsze nie było innego wyjścia, po drugie stało się to już zupełnie bezpieczne z powodu *piestrojki*. I te banialuki, które powtarza stara „Wrona” i opozycja przy władzy: „bez stanu wojennego nie byłoby okrągłego stołu”. Nie byłoby też bez Hitlera i Stalina, jak również bez Adama, Ewy i jabłka. Czesi i Niemcy idą dzisiaj dalej niż my bez tych stołowych krągłości.

Na ulicach pojawiły się brudne i stare pojazdy dostawcze, z których starzy i brudni ludzie sprzedają stare i niechlujne ochłapy mięsa. Ustawiają się przy nich niechlujne kolejki. Jak na razie to jedyny dotykalny znak ekonomicznej rewolucji, tego pierwszego w historii świata przejścia od leninowskiego socjalizmu do kapitalizmu. Słychać galopującą inflację, która nie galopuje elegancko jak to czyni koń, ale porusza się świńskim truchtem. Niepojęte numery wycina wszystkim dolar, jedyna prawdziwa waluta w Polsce, to rośnie jak gorączka, to leci na łeb na szyję, jak ktoś kopniakiem strącony w przepaść. Zaczynają się obszary biedy, o których dotychczas się tylko mówiło, a które teraz wypływają na wierzch.

Ludzie nic z tego nie pojmują, chociaż próbują wierzyć, że rząd, który przecież w końcu jest nasz, jest dobry. Czasami mam niepokojące poczucie, że naszym lekarzom mylić się zaczyna lekarstwo z chorobą. Czyżby więc polska inflacja była wyjątkowo złośliwą odmianą tego schorzenia, czyżby jej drapieżność była szczególnie trudna do oswojenia? To, co najszybciej dało się w Polsce oswoić, to prawda. Prawda, o którą tak długo walczyliśmy, i która dla naszych przeciwników była lwem trzymanym w bezpiecznej piwnicy, gdy zaczęła królować, zmieniła się w mysz. Skrobnie pod podłogą, ale nikogo już nie postawi na nogi.

Parasol jedności rozpościerany nad naszą opozycją — musimy być razem, bo katastrofa ekonomiczna, a przeciwnicy jeszcze nie dobili. Ta wymuszona jedność powoduje, że marniej szansa na odrodzenie autentycznego życia politycznego. Natomiast pod tym dziurawym parasolem z napisem „Solidarność” wszyscy okrutnie mokną, następują sobie złośliwie na odciski i wymieniają kuksańce. Niechęci zdają się rodzić z powodu nie tyle różnic w poglądach, te nie mają w tych warunkach jak się wyrazić, ale że ten wysoki a tamten mały, a pewnie i z powodu deszczu i tłoku.

W skrócie tematy, które warto by rozwinąć, ale nie ma na to miejsca. Wszystko w dwóch, trzech zdaniach, które cierpią, że nie mogą się rozmnożyć.

Milicjanci w kościele św. Brygidy korzą się przed Wałęsą i ks. Jankowskim i przyrzekają, że już nigdy. Po chwili obopólnego wahania... całowanie się z Wałęsą.

Z podobnej świętej dziedziny pochodzi transmisja z Sejmu, gdzie przerwano obrady, bo przybył Prymas, by się dzielić opłatkiem. Szedł ze świtą w szyku zwartym, jak boży oddział z potężną pieśnią na ustach „Bóg się rodzi, moc truchleje” i truchlały sejmowe ściany, a prezydent Jaruzelski czmychnął i otwierali usta do pieśni, jak ryby wyrzucone na obcy brzeg, i pokornie skubali opłatek.

Powszechne amatorstwo — po 40-tu latach okazało się, że wszystkim w Polsce amatorskie, opozycja też, amatorski sejm, senat, rząd, kelnerzy w najelegantszych warszawskich knajpach.

Spotykamy się z multimilionerami z USA, rozmawiamy o wszystkim, tylko nie o pieniądzach, a kelnerzy nie potrafią naląć wina. Wielki kłopot dla tych, którzy próbują tu zostawić jakieś pieniądze — nie ma komu i w co je wsadzić.

A przecież jednocześnie nasze społeczeństwo dostało fiksacji na punkcie pieniędzy. Tu, gdzie jeszcze wczoraj nie wypadało mówić o nich, mówi się tylko o pieniądzach, no chyba, że przyjadą z zachodu milionerzy, wtedy o pogodzie.

Moi znajomi fotograficy robili zdjęcia na plenum KC. Ich obiektywy nie mogły nadziwić się tym gębom i zapamiętali słowa, które wypowiedział Orzechowski Marian, profesor, towarzysz, czł. KC: „Całe życie walczyłem, by ideologia przebudowała życie. Niestety życie wygrało i wygrywając walnęło nas na odlew”.

Moja żona wróciła po kilku godzinach ze sklepów i popłakała się. Po raz pierwszy ze sklepowych powodów.

Natomiast Sejm i Senat włożyły orłu koronę na głowę. Kto będzie pilnował, by nie wywieziono jej na zachodniobrzeński targ? A PRL to już Rzeczpospolita Polska czyli RP, wcale niełatwo będzie się przestawić.

Odwiedzam wydawnictwo KAW, gdzie była mocna „Solidarność” w 80’ roku, dlatego złożyłem tam moją książkę dla dzieci. Do dziś leży w piwnicach i opowiada baśnie szczerom. Bano się zapewne mojego nazwiska, dzisiaj boją się, ale z innego powodu. Redaktorki błagają o cierpliwość i o jeszcze dwa lata. To w sumie jedenaście. Ale nie gwarantują, czy jutro wydawnictwo będzie jeszcze istnieć. Dzieci, dla których pisałem, są już dorosłe. Pół biedy, że ja straciłem te lata, straciliśmy je wszyscy.

Jestem u Adolfa Rudnickiego, zjadają go książki, które nałogowo kupuje, ich stopy piętrzą się wszędzie i chwytają za nogi, ale najdrapieżniejsze te książki, których nie jest w stanie

napisać. Za oknem placyk i ulica Kanonia ze stromymi plecami Katedry, jedno z piękniejszych miejsc w coraz szpetniejszej Warszawie, a z boku okno komendy milicyjnej, to tam zamordowano syna Basi Sadowskiej. Oglądamy w ledwie żywym telewizorze (potrójny obraz), jak potrójny prezydent Havel pozdrowia wiwatujący tłum. Adolf mówi swoim szeptem: bardzo, bardzo piękny czas, tylko dlaczego jest tak smutno?

Coraz wyraźniej widać, że mamy do czynienia z nową nomenklaturą, dla mnie póki co pocziwą. Nowo mianowani szefowie różnych instytucji pochodzą z notesów opozycji okrągłostołowej.

13 grudnia telewizja zalała nas wzruszającymi obrazkami ze stanu wojennego — ale te obrazki nie chcą wzruszać. Wzrusza mnie, że nie wzruszają. To suche wzruszenie boli. Natomiast bulwersuje wiadomość, że telewizja dostała szczegółowe instrukcje zupełnie w starym stylu, jak 13 grudnia święcić. Drogi Andrzej i Janku, którzy od niedawna kierujecie tym, co miało przestać być propagandą, a zacząć być informacją, co się na Boga dzieje?

Małgosiu, jesteś świetną dziennikarką, ale nie nadajesz się na funkcję rzecznika rządu. Widzą to miliony ludzi, a Ty tego nie widzisz i nie widzi rząd? Stare-nowe zjawisko — nasi ludzie, nawet jeśli nie sprawdzają się, tkwią dzielnie na swych posterunkach.

Michał Boni, polonista, został nowym przewodniczącym Regionu Mazowsze. Bujak sam zrezygnował, bo jest zmęczony. Dostał na pożegnanie kwiaty. Cenię cię, drogi Michale, ale fakt, że jesteś szefem warszawskiej „Solidarności”, jest dla mnie kolejnym dowodem, że jej już prawie nie ma.

No dosyć tego, a mógłbym tak długo. I przepraszam za poufały ton, ale ostrzegałem, że rozdanie nazwisk jest z notesu. I tak się składa, że mam odpowiedni notes. A co ze mną, co ja? Sprawdza się. Nieustannie ktoś dzwoni z propozycjami nie do odrzucenia, które odrzucam. Bo mam wszystkiego dosyć, pękła mi żyłka społeczna, a kierowanie u nas teraz czymkolwiek to poświęcenie. Czy nie ma dla mnie propozycji nie do odrzucenia? Zobaczmy.

Nowy Rok za pasem. Powszechne przerażenie, bo już nie tylko się mówi o skoku z socjalizmu w kapitalizm, ale się skacze. Ceny mają być zwolnione z uwięzi jak zgłodniałe brytany, a pensje poddane hibernacji. Tłum zalegający sklepy, gdzie ubóstwo towarów jeszcze większe niż w zeszłym roku, tłoczy się w panice. Jak emerytowani i schorowani komandosi, którym nagle kazano wykonać skok w otchłań. „Przecież nie mamy spado-

chronów” — mówią przerażeni. Dowiadują się, że wystarczą chusteczki do nosa.

Wszystko wskazuje na to, że ten skok się nie uda, a jednym z powodów jest właśnie powszechne przekonanie, że się nie uda. A wtedy co? Scenariusze opozycji i członków ekipy partyjnej są zbieżne — prawicowa dyktatura.

A jak będzie? Na pewno inaczej. Bo zawsze u nas jest inaczej niż się sądzi. To daje pewne, chociaż nie przesadnie duże nadzieje.

Myślałem, że osunąłem się, wyschłem, scyniczniałem — a jednak rewolucja w Rumunii wzruszyła mnie głęboko do krwi. Poruszyła miliony Polaków. Może to więc nie tylko zmęczenie, demoralizacja, zapasć psychiczna, a raczej zakalec, jaki narodził się po stanie wojennym, przy okrągłym stole, po wyborach, czy cholera wie gdzie? Podczas manifestacji pod rumuńską ambasadą w Warszawie kilkaset osób zebrało w czasie kilku godzin niewiele mniej pieniędzy niż 40 milionów w ciągu kilku miesięcy na społeczne fundusze.

Niechlujny, żaloszny proces, jaki zmontowano dyktatorom, jakby gangsterzy skazywali gangsterów, zatrul nam smak baśniowej rewolucji. Powszechność tego niesmaku w Polsce poruszyła mnie. Bo to znak, że jednak mimo wszystko tkwimy jakimś odnożem w zachodniej Europie, a może nawet bywamy bardziej moralni. Gdybyśmy tak potrafili wszystkimi swoimi kalekimi członkami wejść w to właśnie odnoże.

Proces oglądałem w telewizji w towarzystwie Vytautasa Landsbergisa, przywódcy litewskiego *Sajudisu*, i kilku towarzyszących mu działaczy z Litwy, którzy przybyli do Polski, by rozmawiać m.in. o tym, jak rozplątać polsko-litewski węzeł, zaplątany na szyi Wilna. Wszyscy mówią świetnie po polsku. I to samo wrażenie, które wywoziłem po niedawnym pobycie w Wilnie. Uczucia Litwinów do nas jak w małżeństwie po łagodnym rozwodzie, miłość i niechęć. Odwożę bardzo późną nocą Landsbergisa do hotelu moim karłowatym i popsutym samochodem, który strzela z gaźnika w śpiące i brudne miasto.

A jednak rozmieniamy na drobne naszą wolność, prawdę, przyszłość. Nigdy jeszcze nie czułem się tak odległy naszemu społeczeństwu, tak mało skłonny do jakichkolwiek poświęceń, tak nie poruszony przez wspomnienia przeszłości i tak nieczuły na perspektywę jutra. Byłoby korzystne, gdyby to był tylko zapis moich osobistych problemów ze sobą — niestety takie uczucie odnajduje wszędzie wokół. I co groźne — nie widać już takiej sprawy, takiej grupy ludzi, z którymi posiadacz zdrowego rozsądku miałbym ochotę się identyfikować.

Budzi mnie telefon — dzwoni sekretarka Adama Michnika, że za godzinę będzie dzwonił Adam Michnik. Chłodny dreszcz przeszedł mi po plecach. Po godzinie, gotowy na najgorsze, podniosłem słuchawkę przedstawiając się jako swój sekretarz. Połączyłem ze sobą i dowiedziałem się, że z okolic gen. Kiszczaka doszły wieści — chcą oddać skradzione mi przed laty przez SB przedmioty. Pisałem kiedyś o mej skradzionej maszynie w *Gazecie*, wniosłem więc, że MSW zamierza oddać po 5-ciu latach zarekwirowane przedmioty nie mnie, ale mojemu tekstowi, z półrocznym opóźnieniem. Zostawiam na boku różne niedyskrecje, szkoda, bo zabawne. W każdym razie nie bez perypetii mój telefon został uświęcony głosem ministra spraw wewnętrznych, generała Czesława Kiszczaka, który przyznał się, że dzwoni niejako na polecenie Pana Adama. Otrzymałem od ministra dla siebie i dla rodziny serdeczne świąteczne życzenia i umówiłem się na spotkanie w bliskim terminie. Jako, że tym razem jestem prawie pewien, że jednak wrócę do domu i to cięższy o kilka kilogramów, a być może nawet obarczony bolesnym skurczem sympatii do pana Czesława, mogę więc zakończyć optymistycznie... ciąg dalszy nastąpi...

Witold CHARŁAMP

Książka w niebezpieczeństwie

Jednym z najważniejszych polskich tematów jest dziś zagrożenie kultury, zwłaszcza książki i czasopiśmiennictwa, a wraz z nimi — literatury i humanistyki. Mówi się o tym i pisze bardzo dużo. Śle się listy do premiera i składa memoriały z propozycjami; jeden z takich memoriałów złożyło Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Skutki, jak dotąd, są żadne. „Kultura nie ma swego lobby”, zauważył w rozmowie przed mikrofonem RWE Władysław Terlecki, zapytany o stanowisko Sejmu i Senatu. Zważywszy liczbę profesorów w tych zgromadzeniach, nie wystawia to najlepszego świadectwa naszym nauczycielom akademickim. Nie chodzi przecież o sprawę małej wagi. Kultura — truizmy te trzeba uporczywie przypominać — ma zasadnicze znaczenie dla tożsamości narodowej i dla samopoczucia społeczeństwa polskiego oraz wszystkich Polaków bez względu na

miejsce zamieszkania. Przy czym szczególnie łatwo spowodować tu szkody, które trzeba będzie naprawiać przez dziesięciolecia. Niedoceniając tego bierze się zapewne z przekonania, że dziś dla Polski sprawą najważniejszą jest przebudowa gospodarki i że koszta uruchomienia mechanizmów rynkowych muszą obciążyć każdą dziedzinę życia zbiorowego. Podzielam to przekonanie. Nie wynika zeń jednak, jakoby wszystkie dziedziny musiały być obciążone równomiernie.

Polska potrzebuje kapitalizmu. Założenia tego dowodzić nie będę, choć nie wszyscy są co do niego zgodni. Ale Polska potrzebuje kapitalizmu współczesnego, który w stosunku do „realnego socjalizmu” byłby krokiem naprzód — nie krokiem wstecz. Otóż kapitalizm znalazł rozliczne sposoby finansowania kultury. Rolę tę odgrywają fundacje, które jednak w Polsce — przy najlepszym rozwoju sytuacji — nie powstaną wcześniej niż za wiele lat, gdyż wymagają zgromadzenia wielkich zasobów zainwestowanych w działalność gospodarczą systematycznie przynoszącą zyski. Rolę tę w niektórych krajach, np. we Włoszech, odgrywają banki, zobowiązane ustawowo do przeznaczania co roku 1% obrotów na popieranie kultury. Rolę tę odgrywają władze regionalne i lokalne, które przeznaczają na kulturę jakiś ułamek podatków pobieranych od mieszkańców i od przedsiębiorstw działających na ich terenie. Rolę tę odgrywa wreszcie państwo. Nie tylko we Francji. Również w Republice Federalnej Niemiec, w Stanach Zjednoczonych, a nawet w Wielkiej Brytanii. Odgrywa ją odpowiednio ustawiając podatki, przyznając subwencje na określone wydawnictwa czy spektakle i kredyty z niskim oprocentowaniem na kręcenie filmów. Sposobów finansowania kultury jest zresztą bardzo dużo i są one bardzo różnorodne. Najważniejsza, obok bezpośrednich interwencji państwa, jest tu jednak prowadzona przez nie polityka podatkowa.

Nie ma żadnych rzeczowych powodów, dla których w Polsce podatki miałyby obciążać w jednakowym stopniu wydawnictwa i huty stali, księgarnie i butiki. Nie ma też żadnych powodów, dla których miałyby uniemożliwiać funkcjonowanie wydawnictw i księgarni, miast tworzyć dla nich sprzyjające warunki. Zapewne działalność kulturalna jest również działalnością gospodarczą. Ale nie jest nią wyłącznie. I dlatego też nie jest działalnością gospodarczą taką samą, jak wytwarzanie dóbr materialnych i handel nimi. Przeciwny pogląd na tę sprawę nie ma uzasadnienia w ekonomii. Jest stanowiskiem czysto ideologicznym. Byłoby zaiste katastrofą, gdyby ideologię komunistyczną, która przez lata usiłowała — zresztą bezskutecznie — sprowadzić kulturę do roli narzędzia propagandy, miała obecnie zastąpić ideologia liberalna, która będzie usiłowała podporządkować ją bez reszty wymogowi przynoszenia zysków. Każda ideologia jest

szkodliwa, nawet gdy wyrasta z poglądów skądinąd słusznych. W sprawach gospodarczych powinny decydować kryteria efektywności. W sprawach kultury — interes narodowy. Zaś gdy pierwsze są w konflikcie z drugim, jak teraz, trzeba robić w każdym poszczególnym przypadku bilans zysków i strat, pamiętając, że doraźnym zyskom mogą w dziedzinie kultury — podobnie jak oświaty i zdrowia — towarzyszyć straty trudno wymierne, których skutki odczuwać będą przyszłe pokolenia. Trzeba szukać rozwiązań pragmatycznych.

Tymczasem ideologia zdaje się tu mieć jeszcze wiele do powiedzenia. Widać to wyraźnie w dyskusjach dotyczących wydawnictw państwowych. Odnosi się wrażenie, że niektórzy chcieliby je po prostu zlikwidować i zastąpić wydawnictwami, które wyrosły z drugiego obiegu. Przypominanie na tych łamach zasług drugiego obiegu byłoby zbyt bezcelne. Trzeba natomiast z całą mocą podkreślić ogromny wkład wniesiony w ciągu minionych czterdziestu pięciu lat do kultury polskiej nie tylko przez Ossolineum, PIW i Czytelnika, ale również przez Wydawnictwo Literackie i PWN, a lista ta powinna zapewne być dłuższa. W trudnych warunkach, odcięte od poligrafii i od księgarstwa, przy stałym braku papieru, pod kontrolą nie tylko cenzury ale przez długie lata również odpowiedniego departamentu MKiS, zdołały one wydać — często na znakomitym poziomie — nie tylko wszystkich klasyków literatury polskiej od najdawniejszych czasów do Witkacego i Schulza, ale również przytłaczającą większość autorów liczących się we współczesnej literaturze polskiej i światowej, w filozofii, socjologii, historii, w naukach ścisłych i przyrodniczych. Wydawnictwa emigracyjne, a później drugi obieg, stanowiły ich niezastąpione uzupełnienie. Nie były jednak i nie są nadal w stanie ich zastąpić.

W działalności wydawniczej ciągłość nazwy, tradycji, praw publikowania określonych dzieł ma kolosalne znaczenie; jest wartością zarazem kulturową i handlową. Losami wydawnictwa Einaudiego, gdy zbankrutowało, zajmował się we Włoszech parlament. Konflikt w rodzinie Gallimard, który grozi zakupieniem przez Amerykanów części kapitału najwyższej cenionej we Francji firmy wydawniczej, stał się w tym kraju sprawą narodową. Otóż każda z wymienionych wyżej polskich oficyn reprezentuje bogaty katalog i zespół o dużych umiejętnościach fachowych. Każda zgromadziła, innymi słowy, znaczny kapitał, którego roztrwonienie byłoby karygodnym marnotrawstwem, gdyż odbudowywać go trzeba będzie przez kolejne pół wieku. Dotyczy to również wydawnictw drugiego obiegu, które muszą obecnie wybierać między pozostaniem w podziemiu, by chronić się już nie od cenzury lecz od fiskusa, a wyjściem na powierzchnię,

gdzie znajdują się nieuchronnie w sytuacji finansowej tak trudnej, że mogą być skazane na zawieszenie działalności.

Wydawnictwa państwowe muszą na pewno dostosować się do nowych warunków, co pociągnie za sobą wiele bolesnych decyzji, zwłaszcza personalnych. Ktokolwiek zna wydawnictwa zachodnie, nawet te najlepsze, gdzie nie oszczędza się na korektach, wie, że zatrudnienie w stosunku do liczby publikowanych pozycji jest w nich znacznie niższe niż w Polsce, co znaczy, że praca jest o wiele bardziej wydajna. Wszystko trzeba zresztą przemyśleć na nowo: honoraria autorskie, które, jak dotąd, premiąją gadulstwo; prawa do adaptacji teatralnych, radiowych, telewizyjnych i filmowych; kwestię publikacji kaset dźwiękowych; przepisy o opłacie za fotokopie; związki między wydawnictwami a drukarniami oraz między wydawnictwami a księgarstwem. Można i trzeba zastanowić się nad celowością utrzymania na dalszą metę państwowej własności wydawnictw. W perspektywie będzie zapewne uzasadnione przekształcenie ich w spółki akcyjne, gdzie państwo zachowa tylko kontrolne pakiety akcji za pośrednictwem banków czy innych instytucji finansowych. Wszędzie na świecie wydawnictwa są dochodowe; czyżby tylko w Polsce musiało być inaczej?

Aby jednak wydawnictwa mogły być dochodowe, potrzebny jest odpowiedni system podatkowy, a na okres przejściowy — możliwość korzystania z kredytów o preferencyjnym oprocentowaniu, których przyznanie można zresztą uzależnić od przedstawienia przekonującego programu restrukturyzacji. To zaś wymaga decyzji rządu. Od opinii publicznej zależy, czy będzie umiała narzucić mu, jak również posłom i senatorom, przekonanie, że interes kultury, czyli długofalowy interes narodowy, powinien wziąć górę nad ekonomiczną krótkowzrocznością i ideologicznym zacietrzewieniem.

Krzysztof POMIAN

Sąsiedzi

Jesień praska 1989

17 listopada 1989, piątek — Zorganizowana przez oficjalny socjalistyczny związek młodzieży (SSM) manifestacja dla uczczenia pamięci zamordowanego przed pięćdziesięciu laty przez hitlerowców studenta Uniwersytetu Karola w Pradze Jana Opletala przerodziła się w niezależną demonstrację, której uczestnicy (około trzydziestu tysięcy ludzi) domagali się wolnych wyborów i zniesienia monopolu partii komunistycznej. Bilans: kilkuset rannych. W Pradze krążyły uporczywe pogłoski o zabitych.

18 listopada 1989, sobota — Na Placu Waclawa i ulicy Narodowej odbyła się demonstracja przeciw brutalnej akcji policji z poprzedniego dnia. Zastrajkowały praskie teatry. Aktorzy i studenci wezwali do strajku generalnego 27 listopada.

19 listopada 1989, niedziela — Na Placu Waclawa demonstrowało około 20 tysięcy osób. ■ W *Činoherním klubie* (klubie aktorów) ukonstytuowało się Forum Obywatelskie (*Občanské fórum, OF*). Wśród członków-założycieli znaleźli się Václav Havel, Saša Vondra, Jiří Dienstbier i inni przedstawiciele niemalże wszystkich niezależnych ugrupowań, ale i członkowie oficjalnych partii, włącznie z komunistyczną. Forum zażądało ustąpienia osób odpowiedzialnych za inwazję wojsk Układu Warszawskiego i za piątkową akcję policji na *Národní třídě*. Kolejne żądania *OF* to: powołanie specjalnej komisji śledczej z udziałem członków Forum do zbadania odpowiedzialności za piątkowe wydarzenia oraz zwolnienie wszystkich więźniów politycznych. Forum Obywatelskie wyraziło ponadto pełne poparcie dla idei strajku generalnego. ■ Wznowiła działalność zakazana w 1948 roku Czesosłowacka Partia Socjalistyczna.

20 listopada 1989, poniedziałek — Tym razem na Plac Waclawa przyszło ćwierć miliona ludzi. Demonstranci wyszli również na ulice innych miast: 20 000 osób w Brnie, 10 000 w Bratysławie. ■ Zaczął się strajk studentów w szeregu uczelni w kraju. ■ W Bratysławie pow-

stało stowarzyszenie *Verejnost' proti násiliu*, słowacki odpowiednik *OF*. ■ Przeciw postępowaniu policji protestowali po raz pierwszy przedstawiciele oficjalnych partii: Ludowej i Socjalistycznej.

21 listopada 1989, wtorek — Znów 200 tysięcy ludzi na Placu Waclawa w Pradze. Demonstrowali też mieszkańcy Brna. ■ Prymas kardynał Tomašek: „*Potrzebujemy nowego, demokratycznego rządu*”. ■ Po raz pierwszy doszło do dialogu między premierem Ladislavem Adamcem a przedstawicielami *OF* i strajkujących studentów. Premier zapewnił, iż od tej pory policja nie będzie atakowała demonstrantów, obiecał „*korekturę monopolu władzy KPCz*” i utworzenie rządu z niekomunistycznymi ministrami.

22 listopada 1989, środa — Kolejny dzień demonstracji. Na Placu Waclawa ćwierć miliona ludzi. Václav Havel przedstawił zebranim członków *OF*. Zgromadzenie było po raz pierwszy transmitowane na żywo przez telewizję. ■ Aleksander Dubček zażądał ustąpienia władz praskich. ■ Szef partii Miloš Jakeš ostrzegł, iż istnieją granice, których demonstranci przekroczyć nie mogą. ■ *OF* zaapelowało do prezydentów Busha i Gorbaczowa o poparcie dla demokratycznych przemian w Czechosłowacji. ■ W Bratysławie rozpoczął się proces katolickiego działacza Jana Carnogurský'ego, który w sierpniu, w rocznicę inwazji roku '68, nawoływał do składania kwiatów dla uczczenia pamięci ofiar tamtych wydarzeń. ■ W Pradze ponownie aresztowano Petra Uhla.

23 listopada 1989, czwartek — Sowiecki minister obrony narodowej Dimitri Jazow oznajmił w Wiedniu, iż obecność sowieckich wojsk w CSRS nie oznacza, iż miałyby być one zastosowane do rozwiązywania wewnętrznych problemów tego kraju. ■ Podczas demonstracji w Bratysławie wystąpił Aleksander Dubček. Ostrzegł on przed zbyt daleko idącymi żądaniem, które mogłyby prowadzić do tragicznych konsekwencji. ■ Sąd w Bratysławie uniewinnił Jana Carnogurský'ego.

24 listopada 1989, piątek — Posiedzenie kryzysowe KC KPCz. Całe Biuro Polityczne włącznie z sekretarzem generalnym Milošem Jakešem podało się do dymisji. Nowym szefem partii wybrany został nikomu nie znany 48-letni kolejarz, Zdeněk Urbánek. ■ Telewizja praska wyświetliła pięciominutowy film z demonstracji z poprzedniego tygodnia, ukazujący brutalność policji.

25 listopada 1989, sobota — Znów demonstracje w Pradze, Brnie, Bratysławie i wielu innych miastach. ■ Václav Havel określił dotychczasowe zmiany personalne jako niewystarczające. ■ Władze zapowiedziały amnestię dla więźniów politycznych.

26 listopada 1989, niedziela — Kolejna runda rozmów rząd-opozycja. Premier Adamec zmuszony został do zaakceptowania jako partnera Václava Havla. ■ Milion ludzi zgromadziło się na *Letenské pláni* pod stadionem Sparty. Václav Havel podtrzymał wezwanie

do strajku, mimo dotychczasowych zmian, jako swego rodzaju plebiscyt. Premier Adamec wyraził „rozumienie” dla zapowiedzianego na poniedziałek strajku generalnego. Aleksander Dubček zażądał potępienia inwazji z roku 1968. ■ Prokuratura generalna rozpoczęła postępowanie karne w stosunku do 12 urzędników policji odpowiedzialnych za akcję z 17 listopada.

27 listopada 1989, poniedziałek — Strajk generalny okazał się triumfem opozycji. W samej tylko Pradze stanęło co najmniej 700 zakładów. W krótkim czasie na Placu Wacława znalazło się pół miliona ludzi. Strajkowała praktycznie cała Czechosłowacja. Strajk był relacjonowany na żywo w telewizji czechosłowackiej. ■ W nocy z niedzieli na poniedziałek obradował znowu Komitet Centralny. Efektem były kolejne zmiany w politbiurze. KC zwołało nadzwyczajny zjazd partii na 26 stycznia 1990. ■ W związku z wypełnieniem niemalże wszystkich żądań OF odwołało zapowiedziane na wtorek demonstracje.

28 listopada 1989, wtorek — Ladislav Adamec zapowiedział utworzenie do niedzieli rządu koalicyjnego. ■ Miloš Jakeš ustąpił ze stanowiska przewodniczącego Rady Obrony, Alois Indra ze stanowiska przewodniczącego parlamentu. ■ Z listy prohibitów zdjęto niemal wszystkie tytuły książek i filmów.

29 listopada 1989, środa — Zgromadzenie Federalne skreśliło z konstytucji artykuły 4, 6 i 16, mówiące o przewodniej roli partii w społeczeństwie, we Froncie Narodowym oraz o wychowaniu młodzieży w duchu marksistowsko-leninowskim. ■ Premier Adamec w liście do rządu ZSSR zażądał wycofania sowieckich wojsk z Czechosłowacji.

30 listopada 1989, czwartek — Rzecznik rządu Marcel Jansen zapowiedział otwarcie granic z Austrią i RFN oraz demontaż żelaznej kurtyny od poniedziałku 4 grudnia. ■ OF odmówiło uczestnictwa w nowo tworzonym rządzie Adamca, wysunęło jednak postulat obsadzenia stanowiska ministra spraw wewnętrznych przez niekomunistę i cywila. ■ Karel Kryl, bard „praskiej wiosny” i dziennikarz RWE, przyleciał z Monachium do Pragi. Bezpośrednią, smutną przyczyną tej podróży była śmierć jego matki. ■ Do Pragi przyleciał także František Janouch, założyciel Fundacji Karty 77 w Sztokholmie. ■ Ministerstwo kultury zarejestrowało wydawnictwo *Atlantis*, którego celem miało być uprzednio wydawanie książek zakazanych pisarzy.

1 grudnia 1989, piątek — Inwazja roku '68 została skrytykowana przez KPCz. ■ Parlament NRD zwrócił się do narodów czeskiego i słowackiego z prośbą o wybaczenie udziału wojsk tego kraju w inwazji. ■ Austria zapowiedziała zniesienie wiz dla Czechów i Słowaków do 17 grudnia.

2 grudnia 1989, sobota — Milicja Ludowa, paramilitarna organizacja KPCz, została rozbrojona.

3 grudnia 1989, niedziela — Premier Adamec przedstawił nowy rząd. Po raz pierwszy znaleźli się w nim niekomunistyczni ministrowie. Nie zostały jednak spełnione podstawowe żądania OF, np. ministrem spraw wewnętrznych mianowano komunistę Františka Pinca. Forum wezwało zatem do demonstracji.

4 grudnia 1989, poniedziałek — W Pradze i wielu innych miastach Czechosłowacji demonstrowały tysiące ludzi, domagając się ustąpienia nowego rządu premiera Adamca. ■ Pięć państw Układu Warszawskiego na posiedzeniu w Moskwie określiło dokonaną przez ich wojska inwazję na Czechosłowację w sierpniu 1968 roku jako nieuzasadnioną i błędną.

5 grudnia 1989, wtorek — František Pitra utworzył nowy rząd Czech. Po raz pierwszy partia komunistyczna nie ma w nim większości (8 tek ministerialnych z 17). ■ K. Urbánek i L. Adamec spotkali się z M. Gorbaczowem i N. Ryżkowem. Wspólnie zgodzili się ze stanowiskiem państw Układu Warszawskiego w sprawie inwazji '68 roku, dodając, iż była ona niezgodną z normami międzynarodowymi ingerencją w wewnętrzne sprawy Czechosłowacji.

6 grudnia 1989, środa — OF zgodziło się uczestniczyć w nowym rządzie CSRS.

7 grudnia 1989, czwartek — Václav Havel zapowiedział, iż jest gotowy kandydować na stanowisko prezydenta.

8 grudnia 1989, piątek — Gustav Husak zapowiedział amnestię dla wszystkich więźniów politycznych.

9 grudnia 1989, sobota — Mieszkańcy Czechosłowacji po raz pierwszy udali się masowo na Zachód, do Austrii, by wypróbować możliwość swobodnego podróżowania.

10 grudnia 1989, niedziela — Marián Calfa utworzył nowy rząd. Wicepremierami zostali między innymi kandydaci OF: Jan Carnogurský (jeszcze niedawno w więzieniu) i Valtr Komárek. Calfa nie był w stanie wyznaczyć ministra spraw wewnętrznych i opiekę nad tym resortem powierzył Carnogurskiemu. ■ Ujawnił się Stanislav Devatý. Ukrywał się on od września w Polsce.

12 grudnia 1989, wtorek — Frakcja KPCz w Zgromadzeniu Federalnym zaproponowała, by prezydenta wybrał naród w powszechnym referendum (dotychczas wybierał go parlament). OF odrzuciło tę propozycję jako pseudodemokratyczną. Wybory powszechne wymagałyby zmiany konstytucji i kampanii wyborczej, do której społeczeństwo nie jest dostatecznie przygotowane. ■ Swą kandydaturę na prezydenta CSRS zgłosił Aleksander Dubček, natomiast *Rude Pravo* poinformowało, że kandydatem KPCz będzie były premier Ladislav Adamec. ■ Premierem nowego rządu Słowacji został prawnik Milan Čič. ■ Vasil Bilak oskarżony został o zdradę stanu.

Bilak należał do grona ludzi, którzy w roku '68 „poprosili” o interwencję wojskową wojsk Układu Warszawskiego.

13 grudnia 1989, środa — Rozpoczęła się kampania wyborcza Václava Havla. Havel oświadczył, że chce być prezydentem tylko do czasu wolnych wyborów parlamentarnych. ■ Prezydent zostanie wybrany przez parlament. Ma on być Czechem i nie może należeć do żadnej partii politycznej. Taka decyzja zapadła podczas rozmów czechosłowackiego „okrągłego stołu”.

14 grudnia 1989, czwartek — Ustąpił redaktor naczelny *Rudeho Prava* Zdeněk Hořeni. ■ Miasto Gottwaldov znów nazywa się Zlín. ■ Po pięćdziesięciu latach nieobecności do Pragi przyleciał z USA Tomáš Bata, słynny producent butów, a ze Szwajcarii prof. Ota Sik, wicepremier w czasie „praskiej wiosny”.

15 grudnia 1989, piątek — Cestmir Cisař zgłosił swą kandydaturę na stanowisko prezydenta. ■ Od 1.1.1990 zasadnicza służba wojskowa ma zostać skrócona o pół roku. ■ Żyjący w USA czeski reżyser filmowy Miloš Forman przybył do Pragi.

16 grudnia 1989, sobota — CSRS wstrzymała budowę elektrowni wodnej *Gabčikovo* na Dunaju.

17 grudnia 1989, niedziela — Na przejściu granicznym Klein Hagendorf-Haty spotkali się ministrowie spraw zagranicznych Czechosłowacji Jiří Dienstbier i Austrii Alois Mock. Po wiecu w austriackim miasteczku Laa an der Thaya wspólnie przecięli żelazną kurtynę. Minister Dienstbier zapowiedział zniesienie wiz dla obywateli austriackich od 20 grudnia do końca stycznia. ■ Wieczorem zebrały się *Na Albertovie* tysiące ludzi ze świecami, by przejść trasą pochodu sprzed miesiąca, od którego zaczęła się czechosłowacka rewolucja 1989.

18 grudnia 1989, poniedziałek — Cestmir Cisař odwołał swą kandydaturę na urząd prezydenta. ■ *Rude Pravo* przeprosiło swych czytelników za sposób informowania w przeszłości.

19 grudnia 1989, wtorek — Zgromadzenie Federalne postanowiło wybrać prezydenta republiki 29 grudnia. Upřednio premier Calfa wezwał parlament do wybrania na to stanowisko Václava Havla. Jednocześnie poinformował on o rozwiązaniu tajnej milicji *StB*.

20 grudnia 1989, środa — Rozpoczął się nadzwyczajny zjazd KPCz. ■ Premier Calfa i minister Dienstbier przebywali z wizytą w Moskwie. Tematem rozmów była kwestia wycofania wojsk sowieckich z Czechosłowacji.

21 grudnia 1989, czwartek — Były premier Ladislav Adamec wybrany został przewodniczącym, a Vasil Mohorita pierwszym sekretarzem KPCz. Nadzwyczajny zjazd rozwiązał partyjną Milicję Ludową, wykluczył z partii Vasil Bilaka oraz zawiesił członkostwo

szeregu innych byłych prominentów: Husáka, Indry, Strougála i in. ■ Kolejne trzy diecezje otrzymały po latach biskupów: Olomuniec, Hradec Kralove i Prešov.

28 grudnia 1989, czwartek — 282 głosami przy jednym wstrzymującym się Zgromadzenie Federalne mianowało Aleksandra Dubčeka swoim przewodniczącym. Na mocy uchwalonej wcześniej poprawki do konstytucji Dubček został powołany wraz z 21-oma dalszymi osobami na zwolnione upřednio miejsca poselskie. ■ Parlament skreślił z roty prezydenckiej przysięgi ślubowanie na socjalizm.

20 grudnia 1989, piątek — Parlament wybrał jednogłównie Václava Havla prezydentem Czechosłowacji.

(amp)

Wiedeń, 7 styczeń 1989

W sowieckiej prasie

Od poprzedniego przeglądu prasy sowieckiej upłynęły dwa miesiące. Pisałem m.in., że Gorbaczow „na razie sprzeciwia się zniesieniu art. 6 konstytucji, nie wyklucza jednak, że kiedyś, później, dojdzie do tego”. I oto doszło. Na początku lutego zebrało się na trzy dni plenum KC i postanowiło zaproponować Radzie Najwyższej ZSSR rewizję artykułu, który do tej pory zapewniał partii kierowniczą rolę we wszystkich dziedzinach życia ZSSR. Dwa miesiące temu pisałem, że jeśli zapadnie taka uchwała, oznaczać ona będzie „nie porażkę partii, tylko jej adaptację do nowych okoliczności”. Wydaje mi się, że tak właśnie się rzeczy mają, chociaż prasa całego świata zachłystuje się z zachwytem, głosi „koniec monopolu partii”, początek „epoki wielopartyjności” i „przejście od demokracji do demokracji”.

Przyjrzyjmy się, co dokładnie zaszło. Gorbaczow kolejny raz dowiódł, z jak zadziwiającym talentem potrafi manipulować zachodnią opinią publiczną i organizować intrygi polityczne w ZSSR. Przede wszystkim znowu udało mu się wmówić światu, że kolejne plenum jest najważniejszym wydarzeniem w historii społeczeństwa sowieckiego i całej ludzkości. Równocześnie cała armia specjalistów od manipulowania mediami z łatwością przekonała świat, że Michaiłowi Siergiejewiczowi znów zagraża chmara jastrzębi i konserwatystów. Kampanię strachu zorganizowano tak zręcznie, że gwałtownie spadła giełda w Tokio i Nowym Jorku. Kapitaliści za-

drżeli ze strachu: co to będzie, jeżeli Gorbaczow przestanie być pierwszym sekretarzem, jak uporczywie głośiły słuchy?

Korespondenci moskiewscy, komentatorzy i publicyści wydawali się nie dostrzegać (a może rzeczywiście nie dostrzegali), że Gorbaczow zaprosił na plenum Komitetu Centralnego, w którym (jak się mówi) ma przeciwników, ponad trzystu działaczy partyjnych i dał im — wbrew statutowi — prawo głosu. Gdyby doszło do głosowania, miał większość w kieszeni. Głosowanie się odbyło. Przestraszeni członkowie KC głosowali za. Przeciw uchwale padł tylko jeden głos! Przeciwno projektowi platformy KC na XXVIII Zjazd — przelozony na koniec czerwca — głosował wyłącznie Borys Jelcyn. Dłaczego tak głosował, wyjaśnić nieco dalej.

Tutaj, dla uspokojenia czytelnika, powiem, że Gorbaczow uzyskał wszystko, czego chciał, i nic mu (na plenum) nie groziło. Kolejny spektakl się udał, zachodnia widownia klaskała z całych sił.

Ostatnie plenum przyniosło generalnemu sekretarzowi poważne zyski. Przede wszystkim szum wokół widowiska zaćmił nieco wrażenie z jego nieudanej wizyty na Litwie (gdzie nikogo nie przekonał) i interwencję wojskową w Baku. Okupacja stolicy Azerbejdżanu przez armię sowiecką dowiodła porażki polityki Gorbaczowa na Kaukazie, ale także jego silnej ręki.

Tak jak weszło w zwyczaj przez ostatnie półtora roku, na posiedzeniu KC wszyscy mówili o kryzysie. Trzeba oddać sprawiedliwość generalnemu sekretarzowi: kto tylko chce i może źle mówić o jego polityce, ma do tego prawo. Plenum odbywało się przy drzwiach zamkniętych, naród dowiedział się tego i owego z *Prawdy*. Z jej relacji wynika, że mówić wolno dużo. Wynika z niej też, że wszyscy krytycy Gorbaczowa potem głosują na niego. Jednym z jego najostrzejszych przeciwników okazał się poseł ZSSR w Warszawie, W. Bronikow. Mówił że *pieriestrojka* „przez niecałe pięć lat wpędziła kraj w głęboki kryzys, doprowadziła do tego, że stoimy twarzą w twarz z anarchią, rozpadem gospodarki, powszechnym rozprzężeniem i upadkiem obyczajów”. Inni równie złoustowo opisywali sytuację w ZSSR. Członek Biura i sekretarz KC Jegor Ligaczow stwierdził np., że „gospodarka idzie na dno, między narodowościami leje się krew, ludzie się boją, a gdzieś tam naprawdę już istnieje dwuwładza”. I tak dalej...

Powody tego stanu są dla wszystkich mówców jasne: kryzys dosięgnął sowieckiego systemu władzy. Pierwsze wyjaśnienie: stare struktury zarządzania krajem zlikwidowano, a nowe nie powstały. Stare struktury to aparat partyjny, który przeniknął do wszystkich komórek systemu sowieckiego, wszystkim zarządzał i wszystko kontrolował. Chcąc skupić władzę we własnych rękach, Gorbaczow wymyślił, że wstrząśnie starym, skostniałym aparatem Breżniewa i starców zastąpi ludźmi nieco młodszymi. Ale przez dwadzieścia lat aparat tak się zrósł z organizmem, że wykorzenienie z niego pojedynczych starych funkcjonariuszy niczego nie zmieniło. Korzystając

z *glasnosti*, Gorbaczow coraz silniej potrząsał starym drzewem, aż aparat przestał funkcjonować.

Uważny i kompetentny dziennikarz, Anatolij Strielanij, udał się latem 1989 r. „w teren”, na głęboką sowiecką prowincję. Odwiedził małe miasteczka i wioski, w których nigdy nie postąpiła noga nie tylko zagranicznych, ale i moskiewskich dziennikarzy. Co więcej, Strielanij od dawna zna te miejsca i ich mieszkańców. Spostrzeżeniami swoimi podzielił się ze słuchaczami radia Swoboda, telefonując z Moskwy do Monachium. Opisał wiele bardzo interesujących zjawisk. Najciekawsze były jego uwagi o tym, jak rozpada się życie wskutek czegoś, co można by nazwać strajkiem włoskim aparatu. Aparat partyjny oskarża się — i słusznie — o wszystkie grzechy śmiertelne: że wstrzymał rozwój kraju, że się zdeprawował i stał się częścią mafii itd., itp. Jeśli jednak kraj choć odrobinę funkcjonował, to tylko dlatego, że funkcjonariusze partyjni zmuszali wszystkich do pracy. Była to praca w stylu sowieckim, niewyobrażalnie zła, ale jednak jakaś — była. Aby choć cokolwiek było zrobione — twierdzi Strielanij — funkcjonariusze partyjni, gospodarze, musieli, każdy na swoim stanowisku, dwadzieścia cztery godziny na dobę patrzeć ludziom na ręce. A teraz — przytacza fakty Strielanij — działacze partyjni też przestali pracować. Ich położenie utrudnia dodatkowo fakt, że aparat partyjny działał tak jak wojsko: rozkazy idą z góry na dół. Tymczasem rozkazy ery *glasnosti* są zawsze mętne, dwuznaczne — nie sposób ich wykonać. Dawniej terenowe władze partyjne doskonale rozumiały, czego Moskwa chce. Dziś nie rozumieją. Aparat partyjny odsunął się więc od steru i pozostawił po sobie pustkę, której na razie nikt nie wypełnił. Aparat partyjny — jedyna struktura władzy w kraju — choruje, jak pisze Strielanij, na *sclerosis multiplex*.

O drugim czynniku kryzysu władzy wiele mówiono na plenum. Osłabieniu władzy aparatu towarzyszy niebywały wzrost władzy wodza. *New York Times* z 10-11 lutego zamieścił artykuł Williama Saphira pod tytułem „Partia odchodzi, ale rodzi się super-car”. Dnia 6 lutego mówiono na plenum: „Nasza dzisiejsza tragedia polega na tym, że w żaden sposób nie możemy zrezygnować z jednoosobowej władzy w państwie i partii. Często kierujemy sprawami na nos, niekompetentnie, krótkowzrocznie, dbając nie o dobro Ojczyzny, a o inne, prywatne ambicje”. Jeden z mówców zwrócił się wprost do Gorbaczowa: „Dopóki byliście tylko generalnym sekretarzem — mówię to absolutnie bez pochlebstwa — to wszyscy czuliśmy, że w partii rodzą się nowe idee, że odbywa się jakaś praca celem zreformowania i złamania przestarzałych form. Teraz piastujecie cztery stanowiska. Odnosi się wrażenie, że komuś zależy na tym, aby generalny sekretarz na żadnym nie odniósł sukcesu, rozpraszając siły na wszystkie”.

Konkretnie plenum uchwaliło m.in. ustanowienie władzy prezydenckiej w ZSSR. Nie wiadomo jeszcze, w jakim trybie będzie wybierany prezydent, czy w wyborach bezpośrednich i powszech-

nych, czy przez Zjazd. Jedno jest jasne: Gorbaczow obejmie piąte stanowisko!

Paradoks sytuacji polega na tym, że im silniejsza jest formalna władza Gorbaczowa, tym mniej odbija się ona na życiu kraju. O charakterze Gorbaczowa i jego osobistej władzy wiele mówi dziwny epizod, jaki się rozegrał na ostatnim plenum. Jegor Ligaczow, oburzony na tygodnik *Ogoniok*, który napisał, że to on zarządził krwawą rzeź w Tyflisie, wyjawiał tajemnicę: okazuje się, że 7 kwietnia całe Biuro Polityczne, z Gorbaczowem włącznie, uchwaliło, jakie środki należy zastosować dla rozwiązania kryzysu w Gruzji. Wszyscy obecni byli zgodni co do tego, że należy postępować twardo. Premier Ryżkow przyznał, że „sytuacja jest tak napięta, że rząd widzi jedyne wyjście — działać zdecydowanie...”

Główne uchwały plenum, które pozwalają zachodnim komentatorom twierdzić, że partia zrezygnowała z monopolu władzy i uznała wielopartyjność, w Borysie Jelcynie nie wzbudziły podobnego entuzjazmu. Niezależnemu dziennikarzowi Jurijowi Mitulinowi wyjaśnił, dlaczego głosował przeciwko projektowi platformy KC. Po pierwsze dlatego, że do platformy włączono akceptację programu ekonomicznego, który już zaakceptował drugi zjazd deputowanych ludowych pod koniec zeszłego roku. Jelcyn głosował przeciwko programowi, ponieważ obliczony jest na stopniową sanację, podczas gdy on domagał się środków nadzwyczajnych. Po drugie dlatego, że plenum nie odzęgnęło się od „centralizmu demokratycznego” jako zasady działania KPZS. Nie odzęgnęło się też od aparatu partyjnego. W platformie nie ma słowa o wielopartyjności, choć powiedziane jest, że „partia rezygnuje z monopolu władzy”. Jelcyn proponował, aby pozwolić na tworzenie w partii frakcji i stopniowo przejść do struktur horyzontalnych. I wreszcie dodał, że jest niedopuszczalne, aby środkami masowej informacji rządził wszędzie, jak dawniej, komitet partyjny (*Russkaja mysl* z 16.2.90).

Tydzień po zamknięciu plenum przyjechał do Moskwy kanclerz Kohl i dostał od Gorbaczowa *placet* na zjednoczenie Niemiec. Zgodnie z odwieczną tradycją, głowa rządu zachodnioniemieckiego nie przyjechała z pustymi rękami, a wręcz przeciwnie, z 250 milionami marek. Nie jest to bardzo dużo, ale i nie bardzo mało. Zresztą, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Nie ma jednak podstaw do przypuszczeń, że Gorbaczow zmienił zdanie co do zjednoczenia Niemiec z tego powodu. NRD rozpada się w oczach i nie jest wykluczone, że jedynym sposobem, aby nie stracić wszystkiego, co Moskwa w nią zainwestowała, jest oddanie jej RFN.

Na plenum wspomniano o Niemczech, i to niedwuznacznie. Jegor Ligaczow powiedział jasno i dobitnie: „Nie wolno nam nie dostrzegać nadciągającego nad Europę niebezpieczeństwa — zbliżającego się zjednoczenia Niemiec, a właściwie wchłonięcia NRD. Niedostrzeżenie, że na horyzoncie świata mającą Niemcy z ogromnym potencjałem ekonomicznym i wojskowym byłoby niewybaczną krótkowzrocznością i błędem”. Ligaczow uprzedził, że należy

koniecznie „w porę uprzedzić żądania rewizji powojennych granic i nie dopuścić do nowego Monachium”. Można by powiedzieć: a czego innego można się było spodziewać po Ligaczowie, wiadomo, konserwatysta, jastrząb, przeciwnik Gorbaczowa. Można by tak powiedzieć, gdyby nie przemówił też sojusznik Gorbaczowa, minister spraw zagranicznych Szewardnadze: „Widmo rewanzyzmu krąży po Europie — oznajmił. — Nad pragnieniem sprawiedliwości góruje pragnienie zemsty politycznej. Zmieniona sytuacja Niemiec wzbudziła niebezpieczne nadzieje na rewizję granic. Europę czekają wstrząsy” — ostrzega minister spraw zagranicznych ZSSR. A w związku z tym — dodaje — „litewscy towarzysze” powinni bardzo starannie przemyśleć swoje postępowanie i nie podejmować jakichś dziwnych uchwał. Edward Szewardnadze uprzedza Litwinów po przyjacielsku, a może po partyjnymu: „Będzie wam niewiarygodnie ciężko w warunkach europejskiej zawieruchy, jeżeli jej obecne oznaki przybiorą charakter trwałej, negatywnej tendencji”.

Jest to, że się tak wyrażę, pozytywny aspekt kwestii niemieckiej: małe narody będą mogły znaleźć oparcie przeciwko straszniemu niemieckiemu wilkowi tylko przy piersi Związku Sowieckiego.

„Czy władza ma dość władzy?” — taki tytuł nosi rozmowa o sytuacji w ZSSR w *Izwiestiach* z 4.2. Wszyscy uczestnicy debaty przyznają, że nie. O tym też bez przerwy mówili uczestnicy plenum. Wielu wracało do jedynego wyjścia: wzmocnienia władzy Gorbaczowa. Pierwszy wiceminister spraw zagranicznych, Kowalow, przytoczył przekonywujący — jego zdaniem — argument: „Istnieje ogólnoswiatowy consensus wokół wodza *pieriestrojki* w ZSSR i tego, by pełnił najwyższe funkcje partyjne i państwowe”. Cały świat go kocha, szanuje i pokłada w nim nadzieje. A więc należy mu dać jeszcze większą władzę. Kowalow dodał, że istnieje jeszcze kwestia „guzika nuklearnego”. „Kto ma prawo nań nacisnąć, gdyby doszło do niewyobrażalnego? Z czysto partyjnego punktu widzenia — generalny sekretarz, z wojskowego — przewodniczący Rady Obrony, z parlamentarnego — prezydent¹”. Wniosek: guzik nuklearny powinien znajdować się w zasięgu ręki człowieka, który „cieszy się nieograniczonym zaufaniem narodu sowieckiego i na którym skupia się światowy consensus zaufania”.

Machiavelli dawno już odkrył, że zwyciężają tylko uzbrojeni prorocy, bezbronni ponoszą porażkę. Potężną bronią generalnego sekretarza była zawsze partia, machina partyjna. Po pięciu latach *pieriestrojki* partia znalazła się w opałach: straciła orientację, nie rozumie, dokąd prowadzi wódz. Po raz pierwszy w dziejach ZSSR zaczynają ją opuszczać członkowie. Liczba kandydatów też spada. Według oficjalnych danych (*Izwestia KC KPSS* nr 1/1990) w 1988 r. było o 25% mniej kandydatów do partii aniżeli w 1987 r. Tendencja ta się utrzymuje. KPZS oczywiście jeszcze nie zniknęła: w

1. Czwarte stanowisko Gorbaczowa, o którym była mowa wyżej, to przewodniczący Biura d/s Rosji.

dniu 1 października 1989 liczyła ponad 19 milionów członków i kandydatów. Jednak w duszach komunistów zagnieździła się trwoga, mimo że pracownikom aparatu podniesiono pensje. Instruktor obwodowego komitetu partyjnego dostaje zamiast 250 rubli 370-400, naczelnik wydziału zamiast 380 — 600, pierwszy sekretarz zamiast 550 rubli — 850. Zważywszy, że średnia pensja wynosiła na początku roku 240 rubli, nie jest to tak źle. Ale o pozycji przywódców partyjnych nigdy nie decydowała płaca, tylko władza. Ponieważ autorytet partii spadł, zmniejsza się też liczba chętnych do aparatu, który dawniej uchodził za najdogodniejszą trampolinę do kariery. Tym bardziej, że ostatnio odbywa się czystka aparatu przy pomocy gniewu ludu. W wielu miastach, głównie Rosji i Ukrainy, wyrzuca się na żądanie ludu skorumpowanych przywódców partyjnych. Gazety są pełne wiadomości, że np. w Czernihowie samochód „ojca miasta”, który prowadził pijany szofer, miał wypadek i z bagażnika zaczęły się wysypywać produkty, których mieszkańcy dostatniego czernihowskiego okręgu dawno już nie widzieli: wędzone kielbasy, ozory itd. Zaczęły się wiece. Trzeciego dnia zebrało się na ulicach ponad 20 tysięcy ludzi. Podobny bunt miał miejsce w Swierdłowsku i innych miastach.

W całym kraju szeregą się coraz głośniejsze słuchy o nadchodzących pogromach. O pogromach w Azerbejdżanie wszyscy wiedzą. 12 lutego wybuchły pogromy w stolicy Tadżykistanu Duszanbe, do której zwieziono kilkuset ormiańskich uciekinierów. Cały czas mówi się (i dementuje w prasie) o nadchodzących pogromach antyżydowskich w Moskwie, Leningradzie i innych miastach.

Napięciem narodowościowym towarzyszy napięcie społeczne. Rośnie nienawiść do „kooperatyw”, w których naród widzi źródło pogarszającej się sytuacji ekonomicznej. W prasie ukazała się nagle wiadomość, że w Związku Sowieckim istnieje ponad 100 tysięcy milionerów i to oni mają być wszystkiemu winni. Anatolij Strielanij podkreśla, że z kimkolwiek się spotkał, czy to był robotnik, czy kołchoźnik, czy skromny urzędnik, wszyscy chcieli jednego: żeby wszystkim powodziło się tak samo! Strielanij pisze: „Co jest silniejsze od rozumu? Namiętność. Imię tej namiętności — zawiść. To, co zawiść wyprawia dziś z naszym narodem, coraz bardziej przypomina koniec lat dwudziestych”. Koniec lat dwudziestych to kolektywizacja, likwidacja „kułaka” jako klasy, okres, w którym ofiary liczyły się na miliony. Strielanij nazywa to „ideologią bolszewicką” i podkreśla, że jest ona wciąż bardzo żywa.

Główny ideolog partii, Wadim Miedwiediew, sformułował to następująco: stoimy przed problemem przetrwania partii jako awangardowej siły politycznej. „Albo — powiedział Miedwiediew — zdołamy stanąć na czele szybkiego, ale sterowanego procesu przemian, albo wymknie się on spod kontroli i dostanie się pod wpływ populistycznych demagogów, a może i otwartych pogromców”.

Nie raz już pisałem, że do zdumiewających paradoksów epoki Gorbaczowa należy upadek autorytetu wodza w kraju i równocześ-

nie niesłychany wzrost jego autorytetu za granicą. Gorbaczow jest prorokiem wszędzie, tylko nie we własnym domu. „Na światowej scenie — mówił wiceminister spraw zagranicznych na plenum — istnieje koalicja zwolenników *perestrojki* i wyjątkowo sprzyjające okoliczności międzynarodowe dla budownictwa wewnętrznego”. Dlaczego, spytał minister spraw zagranicznych, „zagraniczne poparcie dla *perestrojki* tak drażni niektórych w naszym kraju?” Rzeźwiście — dlaczego?

Adam KRUCZEK

13.2.1990

Kronika niemiecka

W pierwszej połowie grudnia 1989 na zaproszenie przewodniczącego Bundestagu, prof. Rity Süßmuth, przebywała w Bonn delegacja polskich parlamentarzystów z marszałkiem Sejmu, prof. Kozakiewiczem na czele. Rozmowy z zachodnioniemieckimi politykami, przymysłowcami i bankierami dotyczyły możliwości współpracy gospodarczej, odszkodowań dla ofiar II wojny światowej i bieżącej sytuacji politycznej. Koncern Siemens przedstawił m.in. ofertę modernizacji telekomunikacji w Polsce. Prof. Kozakiewicz zaprosił prof. Süßmuth do Polski. ■ „Nigdy nie dopuścimy, by mur został przesunięty na wschód” — pod takim tytułem zachodniobermberski lewicowy dziennik *Die Tageszeitung* opublikował odpowiedź NRD-owskiego działacza ruchu „Demokracja teraz”, Ludwika Mehlhorna, na artykuł Adama Michnika z *Gazety Wyborczej*, wzywający opozycję NRD-owską do zajęcia stanowiska wobec dyskryminacji Polaków w NRD i granicy na Odrze i Nysie. Mehlhorn dystansuje się od antypolskiej nagonki i uznaje trwałość obecnej polskiej granicy zachodniej. Pod listem złożyli podpisy także inni działacze NRD-owskiej opozycji, niestety drugorzędni. ■ Po raz pierwszy od osiemnastu lat doszło niespodziewanie w Berlinie Zachodnim do spotkania ambasadorów czterech zwycięskich mocarstw II wojny światowej (11.12.89). Spotkanie zaproponowała strona sowiecka, która poprzednio zawsze je bojkotowała. Omówiono m.in. sprawę budowy w Berlinie Zachodnim międzynarodowego centrum lotniczego, 10-punktowy plan kanclerza Kohla dotyczący zjednoczenia Niemiec oraz najnowsze wydarzenia w NRD. Cała czwórka ograniczyła się do suchego komunikatu, nie zdradzając szczegółów rozmów, które mają być kontynuowane. ■ Deutsche Bank otrzymał

— jako pierwsza niemiecka instytucja kredytowa — zezwolenie na otwarcie przedstawicielstwa w Warszawie. Nie będzie ono jednak prowadziło operacji kredytowych ani finansowych, a tylko działalność informacyjną. ■ W zachodniobrzeńskim dzienniku *Der Tagesspiegel* ukazał się artykuł zatytułowany „Polscy klienci powodują braki w sklepach z tanimi towarami”. Jego autor twierdzi — powołując się na przedstawicieli dwóch koncernów spożywczych — że Polacy masowo wykupują w Berlinie Zachodnim piwo, czekoladę i tuszce roślinne, które potem sprzedają z ogromnym zyskiem w Polsce. Według dziennika tabliczka czekolady kuponowa za 0,60 DM sprzedawana jest w Polsce za 10 do 15 DM. ■ Nakładem wydawnictwa Luchterhand ukazał się przekład powieści Pawła Huelle pt. „Weiser Dawidek”. Utwór ten, przetłumaczony przez Renatę Schmigdall, jest jednym z najciekawszych debiutów literackich ostatnich lat. ■ Minister gospodarki i wicepremier NRD, Christa Luft, zapowiedziała zniesienie subwencji na towary spożywcze, mieszkania i odzież dziecięcą. Ta ostatnia już podróżowała średnio od 100 do 150%. Tańsze mają być artykuły techniczne. Pani Luft uważa też, że marka NRD-owska powinna być wymienna. Cel ten, rzecz jasna, ma zostać zrealizowany przy pomocy RFN, gdzie chętniej widziano by po prostu wprowadzenie w NRD marki zachodniemieckiej i to jeszcze w bieżącym roku. Spór w tej kwestii trwa i w Bonn, i w Berlinie Wschodnim. ■ Ponad tysiąc osób demonstrowało 10.12.89 przed gmachem NRD-owskiej Izby Ludowej w obronie praw człowieka i przeciw coraz silniejszej w NRD ksenofobii. Na transparentach widniało m.in.: „Przeciwko spekulantom, lecz nie przeciwko Polakom” i „Demokracja oznacza, że nie wyklucza się obcokrajowców”. ■ W grudniu 89 i styczniu 90 roku odbywały się nadal masowe (ponad 100 tys. uczestników) poniedziałkowe demonstracje w Lipsku i innych, mniejszych miastach NRD. W Lipsku wielokrotnie dochodziło do starć między zwolennikami i przeciwnikami zjednoczenia Niemiec. Hasło „Naród to my” zastąpione zostało hasłem „Niemcy to my”. Po raz pierwszy niektórzy demonstranci nieśli transparenty z wyrysowanymi granicami niemieckimi z roku 1937 i napisem „Niemcy moją ojczyzną”. ■ Władze NRD zdecydowały się rozwiązać Urząd d/s Bezpieczeństwa Narodowego, powołany na miejsce znienawidzonej *Stasi*, czyli UB. Premier Modrow próbował utworzyć w to miejsce nowy Urząd Ochrony Konstytucji, ale spotkał się z oporem opozycji i masowymi demonstracjami ulicznymi. W ich szczytowym punkcie tysiące demonstrantów wdarło się do gmachu wschodniobrzeńskiej centrali *Stasi*, dokonując tam zniszczeń. Opozycja zagroziła, że wycofa się z negocjacji. Premier Modrow zrezygnował w końcu ze swych planów, odkładając je na po wyborach. ■ NRD-owskie media rozpoczęły kampanię przeciwko coraz liczniejszym — ich zdaniem — ugrupowaniom neofaszystowskim w NRD. Pretekstem dostarczyły przypadki bezczeszczenia grobów żołnierzy sowieckich. Komunistyczna SED pod kierownictwem nowego przewodniczącego, Gregora Gysi,

zorganizowała na wschodniobrzeńskim cmentarzu żołnierzy sowieckich wiec antyfaszystowski z udziałem ponad 100 tysięcy osób. Tymczasem działacze zachodniemieckiej neofaszystowskiej partii republikańskiej zapowiedzieli, że będą kandydować w najbliższych wyborach do Izby Ludowej NRD. W Lipsku powstał pierwszy oddział „Republikanów”. ■ W NRD powstał pierwszy Komitet Założycielski Towarzystwa Dobrosąsiedzkich Stosunków z Polską. Wśród założycieli figurują naukowcy i artyści, działacze gospodarczy i niemieccy absolwenci polskich uczelni. Celem towarzystwa jest utrzymywanie przyjacielskich kontaktów między obu krajami, współpraca gospodarcza i kulturalna oraz przeciwdziałanie nastrojom nacjonalistycznym w NRD. ■ W Warszawie przebywała z kilkudniową wizytą delegacja opozycjonistów z NRD, m.in. z „Nowego Forum”, „Demokracji teraz” i „Inicjatywy na rzecz pokoju i praw człowieka”. Gości przyjęli posłowie OKP, premier Mazowiecki i Lech Wałęsa. Rewizyta — mimo zaproszeń — jeszcze się nie odbyła. ■ Zachodniemiecki minister gospodarki, H. Haussmann, zaproponował trzystopniowy plan naprawy gospodarki NRD. Zakłada on prawo do inwestowania kapitału zachodniego w NRD i wprowadzenie tam wolnego rynku. Jednocześnie min. Haussmann przyznał NRD kredyt w wys. 3 mld DM. Spożytkowany on ma zostać na rozwój prywatnych przedsiębiorstw, które mają prawo zaciągać kredyty w bankach RFN. Wiele koncernów zachodniemieckich zapowiedziało współpracę z firmami w NRD. Najaktywniejsze są Volkswagen i moloch prasowy Springer. ■ Przewodniczący OKP, prof. Bronisław Geremek, stwierdził w wywiadzie dla zachodniemieckiego dziennika *Frankfurter Rundschau*, że pomoc gospodarcza RFN dla Polski i udział zachodniemieckich przedsiębiorstw w modernizacji polskiego przemysłu stanowiłyby najlepsze poparcie dla europejskiej integracji i powstawania pokojowych struktur w Europie. ■ Kanclerz Kohl gościł z kilkudniową wizytą w Dreźnie, gdzie spotkał się z premierem Modrowem i przedstawicielami opozycji. Finałem wizyty był wielotysięczny wiec zwolenników zjednoczenia Niemiec. Kohl nawoływał do umiaru, opowiadając się zdecydowanie za jednością obu państw. ■ W Berlinie, Rostocku i Cottbus „Nowe Forum” zorganizowało demonstrację przeciwników zjednoczenia. „Nie damy się sprzedać” i „Trzy Rzesze wystarczą” — to niektóre ze wznoszonych hasel. ■ W zachodniobrzeńskim „Künstlerhaus Bethanien” Teatr-Wideo „Poza” Joanny Lothe i Petera Lachmanna przedstawił spektakl, oparty na dramacie Helmuta Kajzara pt. „Gwiazda”. Warszawski teatr wystąpił w ramach cyklu imprez polskich zorganizowanych przez tutejszą Wyższą Szkołę Sztuk Pięknych pod wspólnym tytułem „50 lat później”. Imprezę zakończyły w początkach lutego występy Krystyny Prońko. ■ Przewodnicząca zachodniemieckiego Bundestagu, prof. Rita Süßmuth, zaproponowała aby parlamenty obu państw niemieckich uznały granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej. Rzecznik rządu Kohla pomysł ten nazwał prywatną ideą pani

Süssmuth. Propozycję podchwycił natomiast przew. NRD-owski Izby Ludowej, Günter Maleuda, który w liście do prof. prof. Kozakiewicza i Stelmachowskiego zaproponował, aby w Warszawie lub w innym polskim mieście spotkali się marszałkowie Sejmu, Senatu oraz przewodniczący parlamentów NRD i RFN, by zamianować wspólnie wolę uznania obecnej polskiej granicy zachodniej. Prof. Süssmuth stwierdziła, że taka wspólna deklaracja byłaby możliwa — o ile w ogóle — tylko po wyborach w NRD. Natomiast kanclerz Kohl podczas wizyty w Paryżu oświadczył, że w wypadku zjednoczenia Niemiec polska granica zachodnia nie powinna ulec jakimkolwiek zmianom. Stwierdzenie to przyjęto pozytywnie. Zachodniemiecka SPD nie zadowolili się nim jednak i nadal żąda ostatecznych gwarancji w tej sprawie. ■ NRD-owska firma handlu zagranicznego „Limex” zaczęła demontaż muru berlińskiego, rozbieranego i tak przez turystów i handlarzy, którzy go po kawałku sprzedają, zwłaszcza w Ameryce i Japonii. Pokryte kolorowymi napisami płyty osiągają cenę od 100 do 700 tys. DM. Dochód przeznaczony ma być na ochronę zabytków i służbę zdrowia w NRD. Mur zastępuje siatka druciana. Na razie... ■ Exodus z NRD trwa. W samym tylko styczniu 1990 wyjechało do RFN ponad 45.000 osób. Dziennie emigruje od dwóch do trzech tysięcy. Minister spraw wewnętrznych RFN, W. Schäuble, zauważył, że „jeśli na pokładzie wszyscy staną po jednej stronie, to statek utonie”. ■ W NRD przyspieszono termin wyborów do Izby Ludowej. Odbędą się one 18 marca, a nie jak uprzednio planowano 6 maja; wtedy wybrane zostaną tylko władze lokalne. Obserwatorzy dają największe szanse wschodniemieckim socjaldemokratom (SPD), których silnie wspiera bońska SPD. Wobec coraz większej liczby partii politycznych trudno przewidzieć, kto zdobędzie zdecydowaną większość w nowym parlamencie. Komunistyczna SED przemianowała się na PDS — partię demokratycznego socjalizmu — ale wszystko wskazuje na to, że znajdzie się w opozycji. ■ Polski Ośrodek Kultury i Informacji w Berlinie Wschodnim pokazał w styczniu m.in. filmy Kawalerowicza, ale też takie „kwiatki” jak spotkanie z gen. Świderskim na temat przygotowań do ostatniego zjazdu PZPR (gen. Świderski był szefem działu kadr PZPR). W Berlinie Zachodnim Polska Misja Wojskowa na czele z gen. Z. Zielińskim zorganizowała w tutejszym Domu Kultury „Urania” tydzień polski. Zaczął się od występów artystów operowych i muzyków. Całość dekorował zespół folklorystyczny „Słowianki”. ■ Badenia-Wirtembergia jako pierwszy kraj związkowy RFN zaczęła deportować mieszkających na jej terenie Polaków. Ponad dwadzieścia osób odtransportowano z Frankfurtu n/Menem samolotem LOT-u bezpośrednio do Warszawy. Obowiązujące od kwietnia ub.r. przepisy umożliwiają deportowanie obywateli polskich, którzy nie uzyskali prawa stałego pobytu. W Berlinie Zachodnim oczekuje się, iż wydalonych zostanie 5.000 Polaków, którym odmówiono prawa azylu. Deportacja jest dla wielu prawdziwą tragedią. ■ W RFN gościł minister pracy i spraw

socjalnych, Jacek Kuroń, zaproszony przez szefa bratniego resortu, N. Blüma. W czasie wizyty odbył się m.in. koncert Krystiana Zimmermanna. Dochód przeznaczony został na pomoc Polsce. Min. Kuroń spotkał się z czołowymi politykami w Bonn, w tym z kanclerzem Kohlem. Przedmiotem rozmów były m.in. możliwości zarobkowania Polaków w RFN i pomoc gospodarcza dla Polski. Problemem są setki tysięcy rodaków, pracujących w RFN na czarno. „Nie wyszliśmy poza luźne rozważania” — skomentował Kuroń wyniki rozmów. Planowana jest zmiana umowy o wzajemnym ubezpieczeniu społecznym. ■ Premier NRD, Modrow, wystąpił nie spodziewanie — po wizycie w Moskwie — z propozycją zjednoczenia Niemiec pod warunkiem ich neutralności. Kanclerz Kohl, minister spraw zagranicznych RFN Genscher i zachodniemiecka SPD zdecydowanie odrzucili ten pomysł. Zieloni obstają przy koncepcji zachowania dwóch państw niemieckich. Propozycja Modrowa rozpoczęła dyskusję, czy NRD miałyby w razie zjednoczenia wejść w skład NATO, czy nie. Goszczący w Berlinie Wschodnim zastępca rzeczownika prasowego sowieckiego MSZ, Jurij Gremickij, opowiedział się za likwidacją obu paktów, a potem „zobaczymy, co dalej”. ■ W zachodniobermberskiej galerii Klubu Inteligencji Katolickiej Helena Bohle-Szacki zorganizowała jedenasty już wernisaż malarstwa. Tym razem wystawiano prace Mikołaja Kasprzyka.

Grzegorz ZIĘTKIEWICZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Kronika kulturalna

Duchowa sytuacja czasu

I

Karl Jaspers, jeden w najwybitniejszych myślicieli XX wieku, wydał ongiś książkę pod tytułem *Die geistige Situation der Zeit* — „Duchowa sytuacja czasu”. Książka ukazała się w okresie pełnym politycznych zamieszek — nic więc dziwnego, że filozof niemiecki zajął się w niej przede wszystkim sprawami społecznymi i politycznymi. Ale jego tytułowi można również nadać głębsze znaczenie: może odnosić się do podstaw naszej myśli i czynu, to jest naszego światopoglądu. W tym znaczeniu jest on użyty tutaj.

Wrażenie, że znajdujemy się pod tym względem na przełomie, jest dziś szeroko rozpowszechnione. W Stanach Zjednoczonych szerzy się na przykład ruch zwany *New Age* — „Nowa epoka”. Niniejsze uwagi nie mają nic wspólnego z poglądami przedstawicieli tego ruchu (którzy nieraz hołdują irracjonalizmowi i pseudo-mistycznemu pomieszaniu pojęć) — wyjąwszy jedno proste stwierdzenie¹, że żyjemy na wspomnianym przełomie. Także cel jest tu inny niż w *New Age*. Nie chodzi o to, jaką ludzkość ma być i jaką będzie, ale tylko o propozycję negatywnego określenia, w jakiej mierze zrywa z przeszłością.

Zrywa z czym w tej przeszłości? Można by sądzić, że chodzi o światopoglądy. Otóż, światopoglądy są wprawdzie dotknięte przez kryzys, ale nie w tym sensie, by chodziło tylko o jeden światopogląd. Zerwanie z przeszłością sięga głębiej, dotyczy założeń *wszystkich* światopoglądów, ram w których one powstają. Ba, aczkolwiek przyjęcie światopoglądu jest w zasadzie

1. Korzystam ze sposobności, aby przypomnieć, że *twierdzenie* nie jest tym samym co *stwierdzenie*. Pomieszenie tych dwóch pojęć występuje, niestety, nagminnie w zbarbaryzowanym języku krajowym.

dowolne, w tym znaczeniu, że nikt nie może być zmuszony do przyjęcia go, to jednak nie jest tak wolne, by w każdej epoce wolno nam było przyjąć każdy możliwy światopogląd. Nasza wolność ma pod tym względem granice.

Te granice wyznacza najpierw stan wiedzy naukowej danej epoki. Aby tylko jeden przykład przytoczyć, nie można by w XX wieku przyjąć poglądu, zgodnie z którym Słońce obraca się wokół Ziemi. Po drugie, nasza wolność w przyjmowaniu światopoglądów jest ograniczona przez zbiorowe doświadczenia ludzkości. Takim doświadczeniem, o którym będzie jeszcze mowa, jest przeżycie ludzkiego okrucieństwa w ciągu mojego pokolenia. Żaden światopogląd stojący w sprzeczności z tym doświadczeniem nie może obecnie być przyjęty.

Nie posiadamy dostatecznie ustalonej terminologii, gdy chodzi o takie założenia. Nie są one na pewno światopoglądami, a więc ani religią, ani ideologią, ani filozofią. W braku lepszych wyrażeń nazwiemy owe ramy stworzone przez naukę i doświadczenia „sytuacją duchową”, a elementy wspólne światopoglądom „wizją podstawową” danej epoki.

Powyższe uwagi można streścić w następującym zdaniu: *przeżywamy współcześnie kryzys spowodowany przez zmianę sytuacji duchowej i związane z nią zerwanie z podstawowymi wizjami przyjętymi w przeszłości.*

Chodzi przy tym wyłącznie o sytuację duchową elity intelektualnej naszego kręgu kulturowego. *Elity*, bo masy, nawet masy ludzi wykształconych, przeżywają zmiany duchowe z wielkim opóźnieniem, nieraz dopiero po paru pokoleniach *naszego kręgu*, bo wbrew propagandzie wielu ideologów, wszystkie inne cywilizacje są w trakcie zamierania.

II

Nawet powierzchowna analiza wykazuje, że w naszym kręgu kulturowym mamy do czynienia z dwoma wzajemnie niezależnymi zespołami wydarzeń: jeden, to wspomniany przełom, drugi to rozkład. Nasi socjologowie zauważyli już dawno przejawy tego rozkładu, pisali o „upadku” i „ciężkiej chorobie” Zachodu. W rzeczy samej obserwujemy w większości społeczeństw, należących do naszego kręgu, wszystkie symptomy rozkładu: osłabienie więzi społecznych, zanik woli obrony zbrojnej, niechęć do rodzenia dzieci, sceptycyzm i tym podobne².

2. Posiadamy w polskiej literaturze doskonałe — moim zdaniem — opracowanie tego zagadnienia w książce prof. Henryka Skolimowskiego „Zmierzch światopoglądu naukowego”, „Odnowa”, Londyn 1974.

Można więc stwierdzić występowanie równocześnie z przełomem (w sytuacji duchowej i wizji podstawowej) niezależnych od niego przejawów rozkładu społecznego.

Ten fakt nie interesuje nas tutaj bezpośrednio. Wspominam o nim tylko dlatego, że jego istnienie utrudnia analizę przełomu. Połączenie dwóch w zasadzie wzajemnych niezależnych procesów sprawia, że jest nieraz bardzo trudno zdać sobie sprawę, co jest skutkiem rozkładu, a co należy do naszego przełomu.

Co jest istotne w wizji podstawowej i na czym polega przełom o którym mowa?

Wizja podstawowa to zespół odpowiedzi, pewne stanowisko wobec pytań uważanych w danym okresie za podstawowe. Takich pytań jest wiele i trudno by było omówić wszystkie. Ograniczymy się do następujących czterech, które zdają się obecnie najważniejsze:

- jakie miejsce człowiek zajmuje we wszechświecie?
- czy istnieje postęp?
- co może nam dać nauka?
- jak wielka jest moc czy niemoc ludzka?

Zanim przystąpimy do omówienia dzisiejszych odpowiedzi na te pytania, wypada jeszcze przypomnieć ważny fakt: do chwili obecnej masy, także masy inteligencji, stoją pod wpływem dwóch dawnych wizji podstawowych: średniowiecznej i oświeceniowej.

Średniowiecze jest ciągle jeszcze żywe w krajach katolickich. Nie chodzi tylko o chrześcijaństwo, ale także o inne światopoglądy biblijne. Jego wpływ na inteligencję jest na pewno słabszy niż wpływ Oświecenia, ale nie mniej istotny.

Przez „Oświecenie” rozumiemy tutaj poglądy i postawy wspólne takim światopoglądom, jak liberalno-agnostyczny i marksistowsko-leninowski, mające swoje źródło w „filozofii” XVIII wieku. Ta sytuacja wywiera dziś decydujący wpływ na większość inteligentów w naszym kręgu kulturowym. Tak więc, *istotę współczesnego kryzysu stanowi zerwanie z wizją podstawową Oświecenia i, w mniejszym stopniu, z wizją średniowieczną, które ciągle jeszcze wywierają wpływ na masy.*

III

Jakie odpowiedzi daje wizja średniowieczna na nasze cztery pytania?

Jeśli chodzi o miejsce człowieka we wszechświecie, jej odpowiedź jest zdecydowanie antropocentryczna. Z punktu widzenia ówczesnej nauki położenie przedstawia się następująco: człowiek jest panem ziemi; Ziemia jest środkiem świata; Słońce i

planety krążą wokół niej; gwiazdy są niczym innym niż ramą tego ziemskiego, a więc człowieczego systemu. Biologia uczy, że człowiek jest istotą jedyną w swoim rodzaju, wyniesioną ponad wszystko inne w świecie. Człowiek jest więc ośrodkiem wszechświata. A ta antropocentryczna wizja jest jeszcze wzmocniona przez wiarę biblijną: świat został według niej stworzony dla człowieka, który jest nie tylko jego ośrodkiem, ale i jedynym celem.

Średniowieczna odpowiedź na pytanie o postęp jest również stanowczo negatywna. Mimo ogromnego autorytetu św. Augustyna, odkrywcy i radykalnego zwolennika ewolucji, człowiek średniowieczny nie wierzy w postęp kosmiczny, a tym mniej społeczny. Jego wizja świata i społeczeństwa jest najzupełniej statyczna.

Odnosnie do problemu nauki Średniowiecze zajmuje stanowisko umiarkowane. Wierzy w możliwość poznania, uznaje wartość nauki, ale odróżnia (jasno i ostro począwszy od św. Tomasa z Akwinu) wiedzę od wiary. Wiara, światopogląd nie mogą być udowodnione.

Wreszcie, jeśli chodzi o możliwości stojące otworem przed człowiekiem, w Średniowieczu przeważa stanowczo poczucie niemocy.

Streszczając: *Wizja podstawowa Średniowiecza obejmuje postawę antropocentryczną, statyczne pojmowanie świata, umiarkowany racjonalizm i przekonanie, że możliwości człowieka są ograniczone.*

IV

Tę wizję zastępuje stopniowo, począwszy od XVII wieku, nowa wizja, którą nazywamy „oświeceniową”. Jeden składnik wizji średniowiecznej zostaje przyjęty i nawet zastrzony, ale człowiek nowożytny odrzuca, względnie głęboko przetwarza inne.

Przejmuje antropocentryzm i nadaje mu radykalną postać. Jest to tym dziwniejsze, że w tym okresie właśnie nauka daje coraz więcej przekonujących argumentów przeciw mniemaniu, że człowiek zajmuje szczególne miejsce w świecie. Jak gdyby astronomia i biologia nie istniały, antropocentryzm święci teraz właśnie największe tryumfy, zarówno w myśli filozofów jak i w wierzeniach mas.

Natomiast jeśli chodzi o trzy inne pytania, Oświecenie zrywa stanowczo ze Średniowieczem.

Głosi więc najpierw wiarę w nieograniczony postęp — co jest jeszcze innym dziwem historycznym, jako że najważniejsze

argumenty przemawiające za nim pojawiły się dopiero w drugiej połowie XIX stulecia.

Wyznaje, w przeciwieństwie do Średniowiecza, równie nieograniczony racjonalizm. Człowiek może wszystko zbadać i wszystko zrozumieć. Nauka nie zna granic. Co leży poza jej dziedziną, jest prostym zabobonem.

Wreszcie, pod wrażeniem wyników nauki i techniki, człowiek wierzy w swoją nieograniczoną moc. Marks dał tej wierze doskonały wyraz, gdy pisał, że Prometeusz, który wykradł bogom ogień, jest najgodniejszym świętym w filozoficznym kalendarzu. *Oświeceniowa wizja podstawowa obejmuje więc skrajny antropocentryzm, wiarę w postęp, skrajny racjonalizm i wiarę w nieograniczone możliwości człowieka.*

V

Tak przedstawiają się w zarysie owe dwie wizje powstałe w przeszłości, ale wywierające ciągle jeszcze wielki wpływ na masy. Niemniej — i to jest najważniejsze twierdzenie niniejszych rozważań — chodzi o wierzenia należące do umarłej przeszłości: *zarówno średniowieczna jak i oświeceniowa wizja podstawowa są sprzeczne ze współczesną sytuacją duchową i jako takie muszą być uważane za przeżyte.*

Zacznijmy od miejsca człowieka we wszechświecie. Jak przedstawia się współczesna sytuacja duchowa pod tym względem? Katastrofalnie dla antropocentryzmu wspólnego obu dawniejszym wizjom podstawowym. Astronomia wykazała kolejno, że Ziemia nie jest ośrodkiem układu słonecznego, że ten układ nie jest całą rzeczywistością, ale nieznacznym jej fragmentem, że nie znajduje się nawet w ośrodku drogi młecznej, że poza tą drogą młeczną istnieją liczne (prawdopodobnie miliardy) innych podobnych mgławic, że odległości we wszechświecie mierzy się milionami parseków (parsek to ponad 30.800 miliardów kilometrów), a czas miliardami lat. Myśl, że istota żyjąca w ciągu ułamka kosmicznej sekundy na powierzchni Ziemi, tego nieprawdopodobnie małego fragmentu świata, jest jego ośrodkiem — ta myśl wydaje się nam dzisiaj całkowicie bezpodstawna.

Zarazem biologia i psychologia nowoczesna zadały śmiertelny cios mitowi o rzekomo jedynych właściwościach człowieka, o jego wyniesieniu ponad przyrodę. Wykazały, że jest, jak inne zwierzęta, po prostu ogniwem osiągalnego rozwoju życia na Ziemi.

Mowa jest co prawda ostatnio o tzw. „zasadzie antropicznej”, zgodnie z którą człowiek byłby celem całego kosmicz-

nego procesu. Za tą zasadą wypowiedzieli się m.in. niektórzy znani astronomowie. Ale, o ile można się zorientować, nie ma powodu by uważać tę „zasadę” za wynik nauk ścisłych. Przeciw temu przemawiają cztery względy: 1. zasada antropiczna należy do kosmologii, która operuje na pograniczu nauki ze spekulacją metafizyczną; 2. nie ma odnośnie do niej zgody między specjalistami; 3. istnieje podejrzenie, że mamy tu do czynienia z jeszcze jedną nieszczęśliwą wycieczką specjalistów w obcą im dziedzinę. Historia nauk pełna jest tego rodzaju wycieczek, nieraz kompromitujących, choć dokonanych przez czołowych naukowców — wystarczy przypomnieć filozofowanie Jeansa, Eddingtona, Plancka i Heisenberga; 4. wpływ motywów światopoglądowych zdaje się być oczywisty. Wspomniana „zasada” nie jest więc poważnym argumentem przeciw tak dobrze uzasadnionemu twierdzeniu, że człowiek jest w świecie fragmentem bez znaczenia. A że i obrońcy przeżytych światopoglądów będą się chwytali tej „zasady”, jak tonący brzytwy, można to przewidzieć. Wbrew ich propagandzie wypada stwierdzić, że *zgodne i znakomicie uzasadnione wyniki nauk przyrodniczych tworzą duchową sytuację wykluczającą wszelki antropocentryzm. Człowiek nie może być uważany za ośrodek wszechświata*³.

Mamy więc pod tym względem do czynienia z radykalnym zaprzeczeniem podstawowego składnika zarówno średniowiecznej, jak i oświeceniowej wizji. Nowa sytuacja duchowa nie pozwala nam myśleć antropocentrycznie.

VI

Przełom stwierdzamy także, gdy chodzi o inne pytania, ale położenie jest odmienne odnośnie każdego z nich.

Zarówno wyniki nauk, jak i doświadczenie historyczne narzucają z mocą zerwanie z wiarą w postęp. W każdym razie nie znajdujemy, w tym co dziś wiemy, żadnych argumentów przemawiających za postępow kosmicznym. Jeśli się przyjmuje teorię wielkiego wybuchu (*big bang*), jak to czyni większość astronomów, wypada pojmować dzieje wszechświata jako historię ciągłej degradacji — co można by było zresztą wywnioskować z drugiego prawa termodynamiki. Ale nawet zgodnie z teorią ciągłego tworzenia (*continuous creation*) nie ma postępu we wszechświecie. *Współczesna nauka nie daje żadnej podstawy dla wiary w postęp kosmiczny.*

3. Jeśli chodzi o ściśle z tym związane zagadnienie istnienia inteligencji poza naszą ziemią, można polecić wszechstronne omówienie w rzeczy wydanej przez E. Regis Jr: *Extraterrestrials*, Cambridge 1985.

Z zupełnie innego powodu jest człowiekowi współczesnemu bodaj jeszcze trudniej wierzyć w postęp historyczny ludzkości. Istnieje co prawda dziedzina, w której taki postęp jest od paru wieków oczywisty — a mianowicie dziedzina życia oraz nauk przyrodniczych i opartej na nich techniki. Temu postępowi, którego Średniowiecze nie znało, niepodobna dzisiaj przeczyć.

Ale nowa sytuacja duchowa obejmuje nie tylko świadomość tego faktu. Istotnym jej składnikiem jest także doświadczenie okrucieństwa ludzkiego, przeżytego w takiej skali przez poprzednie pokolenie, że niepodobna dziś mówić na serio o moralnym postępie ludzkości. Zarazem trwoga przed skutkami wojny nuklearnej i zanieczyszczenie przyrody sprawiły, że postęp nauki i techniki nie tylko nie jest utożsamiany z postępowaniem ludzkości, ale zdaje się zagrażać jej życiu. *Doświadczenie okrucieństwa ludzkiego i obawa przed skutkami techniki uniemożliwiają współczesnym wiarę w postęp historyczny w jakiegokolwiek istotnie ważnej dziedzinie.*

W wyniku tej nowej sytuacji jesteśmy świadkami radykalnego zerwania pod tym względem z wizją Oświecenia, ale równocześnie (w przeciwieństwie do położenia w sprawie antropocentryzmu) zbliżenia do wizji średniowiecznej.

Przechodząc do sprawy wartości nauki, stwierdzamy podobne odejście od stanowiska Oświecenia, i to pod dwojakim względem. Z jednej strony, jak już wspomniano, jej wartość praktyczna stoi od czasów Hiroszimy coraz bardziej pod znakiem zapytania. Z drugiej strony nowoczesna krytyka nauk i badania nad teorią światopoglądu obaliły optymistyczną wizję nauki. Nie tylko jej znaczenie praktyczne, ale i wartość teoretyczna są coraz bardziej kwestionowane.

W wielu wypadkach chodzi nawet o bardziej sceptyczne podejście do nauki, niż to, jakie istniało w Średniowieczu — tak np. w grupie Kuhn-Feyerabenda, gdzie mówi się teraz, że nie ma różnicy między nauką a czarnoksięstwem. Jest to oczywiście przesada, ale do istoty nowej sytuacji duchowej należy zrozumienie, że nauka nie może nam dać odpowiedzi na najważniejsze pytania, a tam gdzie takie odpowiedzi daje, jej wyniki są nieraz dalekie od pewności.

Niech mi wolno będzie opowiedzieć w związku z tym o wstrząsającym przeżyciu. Piszący te słowa wziął przed kilkoma laty udział w kongresie w Ann Arbor (koło Detroit) razem z około 500 naukowcami i tyluż filozofami. Ku jego zdumieniu zwątpienie naukowców w wartość ich nauki było tak wielkie, że obecni filozofowie musieli starać się ich przekonywać, że ona przecież nie jest bez pewnego pożytku i teoretycznej wartości. *Nowoczesna sytuacja duchowa odmawia nauce prawa do odpowiadania na wszystkie pytania, bezwzględnej pewności i roli czynnika*

prawdziwego postępu. Zagraża nawet zupełnym sceptycyzmem pod tym względem.

Mamy więc tutaj zerwanie nie tylko z Oświeceniem, ale także w dość znacznej mierze ze Średniowieczem, które wartości nauki w jej własnej dziedzinie nie kwestionowało.

A jeśli tak, to trudno się dziwić, że współczesna sytuacja duchowa nie daje żadnej podstawy dla wizji prometejskiej, dla wiary we wszechmoc człowieka. Nowoczesna technika otwiera co prawda przed ludźmi możliwości, o jakich nasi poprzednicy nie mogli nawet marzyć, ale wiemy także, że siły rządzące światem są bez porównania potężniejsze niż sobie wyobrażano nie tylko w Średniowieczu, ale nawet w XIX wieku. *Jedną z najważniejszych reakcji na nowoczesną sytuację duchową jest poczucie niemocy człowieka.*

I pod tym względem jesteśmy dalecy od Oświecenia. Ale i w porównaniu do Średniowiecza sytuacja duchowa jest dziś odmienna, przynajmniej u tych, którzy stracili wiarę w Opatrzność. Dla nich zerwanie z podstawową wizją Oświecenia niesie ze sobą poczucie tragicznego bezsensu i niemocy. Bezsensu, bo sytuacja współczesna nie pozwala szukać sensu życia w postępie ludzkości, skoro tego postępu nie ma. Tragicznej niemocy wobec odrzucenia mitu prometejskiego.

VII

Tyle o sytuacji. Ale jedna z najważniejszych zasad moralnych uczy, że jakimkolwiek by było położenie, człowiek przytomny, jak długo jest przytomny i wolny, ma pewne zadania, obowiązki, coś do zrobienia. Jeśli się nie mylę, najważniejsze spośród nich, dotyczące naszej dziedziny, dadzą się streścić w następującej regule: *w obliczu przełomu w sytuacji duchowej istnieje oczywisty obowiązek zdania sobie z niego sprawy i przemyślenia w jego świetle wszystkich dziedzin naszego życia.*

W jakiej mierze spełniamy obecnie ten obowiązek? Wypada stwierdzić, że w bardzo niewielkiej. Masy ludowe, a z nimi nawet większość ludzi wykształconych w Europie żyją ciągle jeszcze umarłymi światopoglądami. Urągając nowoczesnej nauce, bronią ze szczególnym uporem wiary w centralne stanowisko człowieka i innych składników dawnych wizji podstawowych.

Tam, gdzie się dyskutuje, spory toczą się najczęściej między zwolennikami Średniowiecza a przedstawicielami Oświecenia, przy czym jesteśmy najczęściej świadkami myśli typowo XIX-wiecznych. Popularność, jaką cieszą się idealiści niemieccy w rodzaju

Schellinga i Hegla, fantazje Teilharda de Chardin i współczesne polemiki w teologii świadczą o tym aż nadto wyraźnie.

Zjawisko jest nawet tak dalece nagminne, zwłaszcza na kontynencie europejskim, że nasuwa się pytanie, skąd się bierze to zacofanie, ta niezdolność do zrozumienia sytuacji? Ale łatwo znaleźć na nie odpowiedź. Przyczyny są zapewne dwie. Z jednej strony zwyczajny w masach bezwład, opór przeciw nowemu, zasadniczy konserwatyzm myśli; z drugiej tragiczne perspektywy niemocy i bezsensu, jakie wielu ludziom zdaje się nieść ze sobą nowa sytuacja duchowa.

Ale jeśli życie nie ma stracić sensu, musimy przemyśleć nasz światopogląd na nowo. Oto urywki katalogu zadań do wypełnienia:

— Religia powinna być przemyślana na nowo — podstawowe pojęcia nie mogą pozostać takimi, jakimi były w ciągu ostatnich stuleci. O ile piszącemu wiadomo, niczego pod tym względem jeszcze nie dokonano.

— Potrzebujemy nowej filozofii, która wzięłaby wreszcie na serio rozróżnienie między światopoglądem a nauką. Początki są obecne w postaci filozofii analitycznej, ale daleko jej jeszcze do powszechnego odrzucenia najróżniejszych filozofii przeszłości, które, jeśli nie są prostym bełkotem, stoją w sprzeczności z nowoczesną sytuacją duchową;

— Nasze poglądy na naukę muszą być przemyślane na nowo. Wiele dokonano pod tym względem, ale raz jeszcze daleko jest do zrozumienia przez masy nawet najprostszych konsekwencji wyników nowoczesnych badań. Przy czym wiele pozostaje do zrobienia nawet na poziomie filozoficznej analizy nauki;

— Jeśli się nie mylimy, to samo da się powiedzieć także o naukach społecznych, gdzie np. bieżące przeciwstawienie socjalizmu kapitalizmowi wydaje się całkowicie przestarzałe i nieoperatywne.

Ten wykaz najważniejszych zadań można by oczywiście jeszcze znacznie przedłużyć.

J.M. BOCHEŃSKI

Piotr Rawicz, pisarz zapomniany

Piotr Rawicz urodził się 12 lipca 1919 roku we Lwowie. Jego ojciec był znanym adwokatem, matka, słynąca z dowcipu i inteligencji, pisywała wiersze. Rawicz spędził we Lwowie dwa lata okupacji sowieckiej, następnie, po wkroczeniu Niemców, był świadkiem likwidacji i deportacji Żydów. Ukrywał się — a może raczej należałoby powiedzieć: nie ukrywał się — na ukraińskich papierach. Został aresztowany w pociągu na trasie Zakopane-Kraków-Lwów — z którego jego późniejszej żonie, Annie, udało się uciec — i w marcu 1943 roku wywieziony do Oświęcimia (jako Ukrainiec!). Stamtąd, w roku 1944, przewieziony został do obozu w Litomierzycach. Po wojnie zamieszkał z ojcem w Krakowie i tu rozpoczął studia z historii religii i języków orientalnych. W roku 1947 wyjechał na stypendium do Paryża, dokąd wkrótce dojechała do niego Anna. Ukończył na Sorbonie z odznaczeniem studia rozpoczęte w Krakowie. Język francuski znał od dzieciństwa, mówił po ukraińsku, był świetnie zorientowany w literaturze rosyjskiej, a języka uczył się podczas okupacji sowieckiej Lwowa. Wspominam o tym, ponieważ na obwolutach obydwu jego książek wydanych we Francji przeczytać można, iż „Rawicz urodził się na Ukrainie pod koniec wojny domowej i studiował literaturę rosyjską na uniwersytecie sowieckim”. Jego pierwsza książka *Le sang du ciel* (*Krew nieba*) ukazała się u Gallimarda w roku 1961. Następnie Rawicz opublikował długi poemat prozą zatytułowany *Le compagnon d'un songe* (*Towarzysz snu*), którego nie udało mi się zdobyć ani odnaleźć daty wydania. W roku 1969 wydał, również u Gallimarda, książkę o zamieszkach studenckich w Paryżu w maju 1968: *Bloc-notes d'un contre-révolutionnaire ou la gueule de bois* (*Zapiski kontrrewolucjonisty czyli kociokwik*). 21 maja 1982 roku Rawicz odebrał sobie życie strzałem z karabinu. Przeżył 63 lata.

Większość powyższych informacji uzyskałam od p. Wandy Ładniewskiej, zamieszkałej w Paryżu, która przyjaźniła się z Rawiczami. Resztę z nekrologu pióra Jacqueline Piater zamieszczonego w *Le Monde* 25 maja 1982 roku. Książki Rawicza nigdy nie zostały przełożone na język polski. Nie wspomina o nim żadna bibliografia literatury emigracyjnej i równie próżno szukać o nim wzmianki w zagranicznych słownikach pisarzy.

Przeglądając roczniki *Kultury*, udało mi się znaleźć recenzję Czesława Miłosza z *Zapisków kontrrewolucjonisty*¹ i nekrolog pióra Józefa Czapskiego² poświęcony Annie Rawicz, która zmarła na galopującą białaczkę na parę tygodni przed Piotrem.

Kilka lat temu wśród książek jednego z moich duńskich przyjaciół natrafiłam przypadkowo na egzemplarz *Krwi nieba* po duńsku. Mój przyjaciel, tłumacz i wielki entuzjasta książki Rawicza, opiniował w roku 1969 dla swojego wydawnictwa *Zapiski kontrrewolucjonisty* i odradził wydanie. Dziś tłumaczy się, iż książka wydała mu się słaba, bez porównania słabsza od pierwszej. Osobiście podejrzewam, że zaważyły względy polityczno-politycznej; w Kopenhadze, do której przyjechałam z końcem roku 1969, wszelka krytyka paryskiej rewolty — i paralelnych do niej wydarzeń na duńskich wyższych uczelniach — traktowana była jako niewybaczalne *faux pas*.

Wkrótce po śmierci Rawicza Gallimard wznowił wydanie *Krwi nieba*. *Zapiski kontrrewolucjonisty* przełożone zostały tylko na język rosyjski i ukazały się w skróconej wersji w roku 1986 w *Kontynencie*. To tutaj, we wstępie do tłumaczenia, przeczytałam nie bez zdumienia: „...francuski prozaik, poeta i eseista Piotr Rawicz...”, jak również wzmiankę, iż książka została we Francji przemilczana, a od prasowego linczu uchronił autora wyłącznie fakt, iż był więźniem Oświęcimia. Z czego wniosek, że wszystko w życiu może się na coś przysłać.

Józef Czapski łączy samobójstwo pisarza ze śmiercią jego żony. Sławomir Mrożek, który przyjaźnił się z Rawiczem, pisze mi, iż obsesja samobójstwa dręczyła go od wczesnej młodości i datuje się jeszcze sprzed wojny. Potwierdzają to liczne fragmenty *Krwi nieba* i niektóre refleksje w *Zapiskach kontrrewolucjonisty*. Borys, główny narrator *Krwi nieba*, powiada w pewnym miejscu: „Temu, kto brzydzi się życiem, pozostaje tylko szukać śmierci. Samobójcy stanowią w zaświatach elitarny klub. Cóż jednak ma zrobić ktoś, kto na równi brzydzi się życiem, jak śmiercią?”. Czapski wspomina o cechującej Rawicza „cichej bierności lunatyka” i jego niezdolności do nienawiści. Pisze: „Widywałem go bardzo rzadko, bo on pędził prawie wyłącznie życie nocne, po kawiarniach, a ja tego życia nie znałem. On znał prawie wszystkich i wszyscy go znali w paryskim świecie literackim, gdzie miał chyba tylko przyjaciół (...). Prawie zapomniałem o jego wielkiej książce *Le sang du ciel*. Tłumaczona na dziewięć języków, otrzymała jedną z głównych nagród literackich Paryża, zdawała się początkiem wielkiej kariery literackiej. Ale Piotr, choć sporo pisał, nie spieszył się z wydawaniem. Chyba

1. *Lepsze zabawy*, *Kultura* nr 10, 1969.

2. *Pozgonne* — *zbyt osobiste*, *Kultura* nr 7/8, 1983.

był zbyt leniwy, a przede wszystkim pozbawiony choćby cienia arrywizmu i nawet ambicji literackiej (...). Swą pozycję wykorzystywał jakby wyłącznie, by być łącznikiem nie Polaków tylko czy Rosjan, ale w ogóle literatury zza kurtyny, pisząc o niej w Paryżu lub opatrując wstępami ukazujące się książki. Jego mała książeczka *Bloc-notes d'un contre-révolutionnaire* przeszła jakby niezauważona, zgorzyla sztandarowych lewicowców, bo pod *happening*'iem 1968 roku potrafił wykręcić totalitarną nietolerację”.

Z kolei od Sławomira Mrożka dowiedziałam się, że Rawicz: „...wierzył w tamten świat i żydowskiego Boga i przestrzegał głównych świąt i niektórych przepisów. Do pisania miał stosunek podwójny: głosił, że to zajęcie głupawe i nic nie warte (w ogóle życie uważał za chorobę, a Stworzenie za okrutny pomysł Pana Boga), ale jednocześnie próbował pisać i cierpiał z powodu niemożności pisania (...). Znał wiele języków, Stary Testament czytał po hebrajsku. Głosił teorię wybaczenia wszystkiego wszystkim, bo jedynie tego żądać można od nas, robaków wijących się w gnoju. Nienawidził słonecznej pogody, lubił deszcz i mgłę. Czasami zamykał się w swojej norze, którą umyślnie doprowadził do niebywałego brudu, niezwykle skurpulatnie przestrzegając przy tym higieny osobistej. Najczęściej przebywał wśród ludzi, a ci zwierzali mu się z najintymniejszych spraw; był rodzajem spowiednika-rabina. Był niezmiernie popularny w Paryżu i powszechnie lubiany, a przez wyjątki — bardzo nielubiany. Myślę, że mnie lubił, a ja jego — na pewno”. Pani Wanda Ładniewska dodała w swoim liście: „Piotr miał mnóstwo przyjaciół. Był to klan i ja tych ludzi widywałam i lubiłam; po jego śmierci rozleciał się kompletnie”.

Krew nieba odznaczona została w roku 1962 *Prix Rivarol*, przeznaczoną dla cudzoziemców piszących po francusku. Nie była to nagroda dla „garbatych”; parę lat wcześniej otrzymał ją Cioran, wybitny pisarz pochodzenia rumuńskiego. To o nim Jerzy Stempowski napisał w *Esejach* słowa, które z powodzeniem zastosować można do obydwu książek Rawicza, ich nowatorskiej formy i bogatego w niuanse języka: „W zamęcie myśli będących jakby prefiguracją zmroku, proza Ciorana jest jednym z najaktualniejszych wzorów literackich. Posiada zarazem lekomyślność antycypującą obyczaje przyszłych podróży bez bagażu i odwieczny upór szlifierzy przerabiających słowa na talizmany”.

Podtytuł *Krwi nieba* brzmi: „Powieść o prześladowanych i prześladowcach”. Głównym narratorem jest niejaki Borys, młody Żyd, syn znanego adwokata noszącego tytuł barona. Wraz ze swoją młodziutką kochanką Noemi Borys odbywa wędrowkę na fałszywych ukraińskich papierach — które cudownym trafem znajduje na ulicy! — jako Jurij (lub Georg) Goletz, z zawodu

robotnik rolny. Rawicz zaciera w swojej książce fakty historyczne i geograficzne. Nie mówi się tu o Niemcach, tylko o „wrogach”, a jedyne narodowości jakie wymienia się z nazwy, to Ukraińcy i Żydzi. Akcja opowieści Borysa rozpoczyna się w „ukraińskim mieście średniej wielkości, 12 lipca 19...”. (Przypominam: Niemcy wkroczyli do Lwowa w czerwcu 1941 roku). W trakcie jednej z kolejnych ucieczek Borys i Noemi znajdują się w mieście, które określone jako stolica kraju bohatersko stawiają opór okupantowi. To, oczywiście, Warszawa. Górską miejscowość O., jeden z ostatnich etapów ich wędrówki, to Zakopane. W całym tym, rzekomo fikcyjnym, ale niezwykle realistycznie opisanym kraju okupowani i okupanci posługują się rublami. Niemniej dziwna jest Ukraina z początku opowieści Borysa, sprawiająca wrażenie, jakby obyczaje i hierarchia społeczna od dziesiątków lat nie zostały tu naruszone; jakby miasto znalazło się pod okupacją przed Rewolucją Październikową, krótko po zakończeniu panowania dobrotliwego, austriackiego cesarza (w którym to innym zaborze nadawano Żydom szlacheckie tytuły!). W posłowie do *Krwii nieba*, którego nie należy traktować retorycznie, Rawicz tak tłumaczy ahistoryczność opowieści Borysa: „Książka ta nie jest dokumentem historycznym. Gdyby pojęcie przypadku (jak w ogóle większość pojęć) nie wydawało się autorowi absurdalne, byłby skłonny powiedzieć, że jakakolwiek aluzja do określonego czasu, określonego terytorium, czy też określonego narodu — jest przypadkiem.

Wydarzenia, o których opowiedział, mogły zdarzyć się w każdym miejscu i w każdym czasie. W duszy każdego człowieka, każdej planety, każdego minerału...”

Krew nieba kończy się *happy end*em; Rawicz urywa ją celowo przed opisem najokrutniejszego epizodu drugiej wojny światowej. Borysowi po raz któryś z rzędu udaje się oszukać prześladowców. Jego dalsze losy, powiada pisarz, potoczyły się w miejscu, które miało zadziwić ludzkość i przejść do historii pod nazwą Wielkiej Równiny Brzóz. Polski czytelnik domyśli się, że chodzi o miejscowość Oświęcim-Brzezinka, Auschwitz-Birkenau. Zachodni czytelnik odczyta najprawdopodobniej zakończenie *Krwii nieba* zgodnie z zamierzeniem pisarza.

„Ci, którzy wiedzą, nie mówią, ci, którzy mówią, nie wiedzą” — napisał kiedyś Miłosz na temat literatury Holocaustu. Wyjątkowość książki Rawicza polega na tym, że jest ona dokumentem, starając się nim nie być, i zarazem wybitnym dziełem literackim. Powieścią *par excellence* i historycznym świadectwem ścinającym krew w żyłach. Misternie skomponowana, zarazem tradycyjna i nowoczesna w formie, *Krew nieba* przypomina powieści Milana Kundery oparte na metodzie lub też poetyce „tematu z wariacjami”, która pozwala pisarzowi zarówno na

zachowanie dystansu w stosunku do bohaterów, jak na pełne zaangażowanie w ich sprawy; na swobodę dywagacji, dygresji, na rozmowę z czytelnikiem i z postaciami. Powieść Rawicza przypomina także — w niektórych partiach narracji, ale przede wszystkim w zacieraniu historyczno-geograficznych śladów — książki zmarłego niedawno Leopolda Buczkowskiego: *Czarna potok*, *Dorycki krążganek*, *Pierwszą świetność*, których akcja także toczy się „gdzieś na Kresach” i jest bezustanną grą między „prześladującymi i prześladowanymi”. Tyle że Rawicz posługuje się metodą swobodnych skojarzeń, a nie, jak Buczkowski — swobodnych rozkojarzeń. *Krew nieba* czyta się jednym tchem, choć często ma się ją ochotę odłożyć. Zabrzmi to nieprawdopodobnie, ale ta jedna z najokrutniejszych opowieści o okupacji w Polsce napisana została także w konwencji powieści awanturkowej, przygodowej, wręcz lotrzykowskiej.

Rawicz ujął swoją powieść w kompozycyjno-czasową ramę. Posłużył się trickiem, który pozwolił mu na zachowanie dystansu do narratora; choć niewątpliwie opisał własne przeżycia, nie chciał utożsamiać się z narratorem. Ramę opowieści Borysa stanowi kafejka na Montparnasse, w której pisarz otwiera swoją powieść „tak, jak otwiera się sklepik pełen różnorakich towarów”. Jest sierpień roku 1961, godzina piąta po południu, „okrutna pogoda”. Otaczają go wygnańcy, przekleci tej ziemi, biedni i z reguły obłąkani. Popijają kawę z małych filiżanek, „torturując języki swoich dawnych ojczyzn”. „Słabe ciała niektórych zachowały smutną łaskę pocenia się”. Jeden z nich — pisze Rawicz — nie pasuje do otoczenia. Paryż nie zdołał go zasymilować i teraz usiłuje zemścić się na nim głodem: wysuszona skóra w kolorze popiołu, jasne, gęste włosy, ręce o śmiertelnej białości, „chorobliwie wydłużone powieki”. Borys rozpoczyna swoją opowieść jako „klient” pisarza.

Krew nieba dzieli się na trzy części: *Ogon i sztuka porównywania*, *Podróż*, *Ogon i bankructwo porównań*. *Ogon* — to obrzezany penis. „Związek z Bogiem i cielesna namiętność, ulokowane w jednym miejscu” — definiuje to Borys. W pierwszej części książki rodzinne miasto Borysa przypomina łódzkie getto Rumkowskiego, gdzie trzy postacie zdają się dominować nad losem Żydów: L.L., obdarzony wybitną inteligencją adwokat i sybaryta, który zarządza gminą żydowską, Garin — właściciel fabryki, która daje prześladowanym złudzenie, że dopóki pracują, mają szansę przeżycia, i dr Cohen, dyrektor szpitala, w którym chorzy i personel szukają za ciężkie pieniądze schronienia przed zagładą. Wszystko okazuje się złudzeniem, wszystkie ażyle zamieniają się w miejsca kaźni. Kto nie ginie na miejscu, zostaje deportowany. Borys i Noemi rozpoczynają swoją dantejską podróż-ucieczkę. Lekki ton opowieści kontrastuje z maka-

brycznymi przeżyciami w tej wędrówce z jednej śmiertelnej pułapki w drugą, z których za każdym razem udaje im się uciec. Autor książki — i jednocześnie jej ramowy narrator — wysłuchuje opowieści Borysa a zarazem redaguje poetycko-eschatologiczne fragmenty jego dziennika. Jego ingerencja nigdy jednak nie posuwa się daleko: słuchający nie krytykuje postawy opowiadającego i rzadko ją komentuje. Borys wypiera się swojej tożsamości, aby uratować siebie i Noemi. Cała reszta jest grą osaczonego zwierzęcia próbującego zwieść na manowce myśliwych. Fałszywość egzystencji Borysa kulminuje w górskiej miejscowości O.: komendant miasta, w którym Borys odkrywa „braterstwo przepaści” (podejrzewając go o przynależność do „przekłętą rasy”), pragnie uczynić go administratorem domu wypoczynkowego dla wyborowej (oficerskiej) kadry. Borys odpowiada, że musi najpierw wyjechać na jakiś czas, aby „ściągnąć świadka”: chorego człowieka z Kresów, któremu górski klimat może dobrze zrobić. Wbrew protestom komendanta zabiera ze sobą Noemi. Zostaje aresztowany na przypadkowym dworcu kolejowym, rzuca ostatnie spojrzenie na Noemi śpiącą na walizkach w poczekalni. Podczas rewizji żandarmi znajdują flaszeczkę z trucizną, każą mu ściągnąć spodnie, odkrywają, że jest obrzezany. Następny etap, to dwie cele w więzieniu: pierwsza wśród Żydów, druga wśród aryjskich kryminalistów. W pierwszej Borys oczyszcza się ze swojej fałszywej osobowości, która omal nie doprowadziła go do utożsamienia się z oprawcami. W drugiej kryminaliści wysyłają do naczelnika więzienia list protestujący przeciw obecności wśród nich „nieczystego Żyda”. Maltretowany przez współwięźniów, Borys nie reaguje; jego jedyny bunt polega na tym, że przestaje uczestniczyć w cosobotnim rytuale zabijania pcheł. Co najbardziej niesamowite, i tutaj i w poprzednich etapach wędrówki — w trakcie której Borys m.in. zaprzyjaźnił się z młodym Niemcem-poetą, w którego obozowym ogródku odkrywa żydowskie głowy wbite w ziemię i przypominające głowy kapusty — to jego całkowity brak nienawiści do prześladowców. Jakaś dziwna, ewangeliczna amoralność, łagodny, niemal czuły nihilizm, który sprawia, iż Borys wszystkim wybaczca: Niemcom, Polakom, nawet Bogu, nad którym serdecznie się lituje. W aryjskiej celi swoją miłość do kryminalistów i ich nienawiść do siebie nazywa bliźniętami. Zmaltretowany przesłuchaniami popada w letarg i z utęsknieniem oczekuje śmierci. Ale przesłuchania stają się coraz radsze. „Borys i 'jego sprawa' — komentuje Rawicz zapiski swojego 'klienta' — zniknęły jak we śnie, rozpierchły się jak we mgle. Jak zgazona, pokryta kurzem lampa, los jego umarł, zanim on sam zdążył umrzeć. Z upływem czasu Borys zamienił się w rzecz, w cieniutką skorupę, w wysuszony szkielec owada”. I oto pewnego dnia wszystko się odmienia;

Borys otrzymuje Znak Ziemskiego Życia, o którym niegdyś opowiadał mu żydowski włóczęga, który przed bar-micwą wtajemniczył go w Pismo. Ale perfidia objawienia polega na tym, że ów Znak — zdolność odkrywania boskiej woli we wszystkich przejawach życia — pcha go w kolejną otchłań, w ponowne przyjęcie roli renegata. Wezwany na przesłuchanie do komendanta Lescha, Borys odkrywa Znak Życia w ruchach jego rąk. To tu, z ust Lescha, po raz pierwszy pada niewymówione dotąd w książce słowo „Polak”. Lesch: „Takich Polaków, jak ty widzieliśmy do cholery i trochę”. Borys oświadcza, że nie jest Polakiem, lecz Ukraińcem i pragnie umrzeć jako Ukraińiec. Zaczyna się jedna z najbardziej makabryczno-groteskowych części tej książki: polski Żyd stara się przekonać Niemca, że pochodzi ze starej, kozackiej rodziny. Lesch wzywa na konfrontację ukraińskiego intelektualistę, Humeniuka, który egzaminuje Borysa z historii, folkloru i literatury Ukrainy. Borys ustawia się wobec niego jako bezkompromisowy, ukraiński patriota i Humeniuk kapituluje: zaczyna czuć się jak zdrajca i kolaborant. Skonfudowany wydaje wyrok: Borys-Jurij-Georg Goletz jest częścią krwi Ukraińcem.

Pozostaje problem „ogona”. Ale i ten zostaje rozstrzygnięty na korzyść Borysa, który oświadcza, iż parę lat wcześniej, chory wenerycznie, został obrzezany za poradą lekarza. Wraca do swojej celi, gdzie zostaje niezwykle serdecznie przyjęty przez współwięźniów. I Borys znów przebacza; nie czuje nienawiści, nie czuje satysfakcji. Jest człowiekiem bez właściwości, a raczej z tak wieloma właściwościami, że żadna z nich nie jest już autentyczna.

Historia kończy się, jak się zaczęła: w kafejce na Montparnasse. Ten, który przekazał nam historię Borysa, przechadza się wśród publiczności — żywych trupów z Europy Wschodniej — z wymagowanym kapeluszem w ręce, poruszany jak wewnętrznym motorem rozdzierającą go samotnością. Prosi o monetę, o papierosa, o różowy cukierek. Opowiedział historię tragicznego clowna i teraz zachowuje się jak menadżer trupy cyrkowej. Nieco wcześniej wyławia wzrokiem w tłumie sylwetkę kogoś, czyja opowieść być może zainteresuje go w tym samym stopniu, co opowieść Borysa. Nietzsche napisał kiedyś: „Po to mamy Sztukę, aby nie szczeznąć od Prawdy”. *Krew nieba* potwierdza tę tezę i zarazem urąga jej; Sztuka okazuje się potrzebna tym, którym Prawda wykuła oczy. Borys jest nowoczesnym Edypem.

W ubiegłym roku minęło dwadzieścia lat od rewolty paryskich studentów. Czytając rocznicowe artykuły, myślałam jak niezwykle aktualny jest podtytuł książki Rawicza: „kociokwik”. *Zapiski kontrrewolucjonisty* uderzają nie tylko trzeźwością oceny wypadków spisywanych na gorąco, ale także piękną, wyszukaną

formą literacką. Rawicz opowiada o Paryżu tych dwóch gorących miesięcy, pozwalając mieszkańcom miasta, w większości emigrantom ze wschodniej i środkowej Europy, ale także rodowitym Paryżanom — oceniać wypadki. Większość jego rozmówców ocenia rewoltę jako groźną zabawę rozpieszczonych dzieci. W *Zapiskach* wypowiadają się ludzie ze wszystkich warstw społecznych, w tym także najemni robotnicy z innych części Francji, którzy w tym czasie w niej strajkowali, ale nic nie mieli wspólnego ze studenckim karnawałem. Rawicz zajmuje się nie tylko przebiegiem i oceną rewolty. Opisuje swoich rozmówców, daje ich znakomite charakterystyki, mistrzowskie wręcz miniatury psychologiczne. Opowiada o sprawach, które nie mają bezpośredniego związku z wydarzeniami; opisuje swoje i cudze sny, wspomina krajobrazy dzieciństwa i młodości, szuka Boga. Szkicuje parę sylwetek i tematów, które z powodzeniem mogłyby stać się materiałem do nie jednej, a wielu fascynujących powieści. Zapomniałam dodać, że pozwala mówić także entuzjastom rewolty. Jako obserwator, słuchacz i łącznik pomiędzy opowiadającymi, zdaje się być przepelniony tą samą łagodną, pasywną przenikliwością, która cechowała Borysa. Niestrudzenie przemierzając Paryż, wszystkiego i wszystkich ciekawy, pozostaje przybyszem z innego świata.

Kiedy Miłosz w rok po wydarzeniach recenzował książkę Rawicza w *Kulturze*, jego doświadczenia były szersze: przeżył już rewoltę studentów amerykańskich. Nie tylko demonstracje antywojenne, antyrasistowskie i przebierankę w etnograficzne łańszki, lecz także palenie książek na uniwersyteckich kampusach. Miłosz ocenia książkę Rawicza jako „zwięzły, stylistycznie bardzo nowoczesny raport o umysłowości ludzi z drugiej połowy stulecia”. Nie używając nazwiska Gombrowicza, charakteryzuje samą rewoltę jako pragnienie „zadomowienia się w niedojrzałości”.

I tu dygresja, która z pewnych względów wydaje mi się konieczna. Jeden z najinteligentniejszych polskich pisarzy, Konstanty Jeleński, wypisał rewolcie majowej laurkę, nazywając m.in. Cohn-Bendita rodzonym bratem Kuronia i Modzelewskiego, a prorokiem maja 68 ogłaszając samego Gombrowicza. Swoje *Notatki o „majowej rewolucji”* opublikował Jeleński latem 1968 roku w *Kulturze*, czyli spisywał je równie na gorąco jak Rawicz. Nie jest to rzecz jasna relacja bez niuansów, ale rozchętana młodość na ulicach Paryża do tego stopnia zaślepiła autora artykułu, że przeoczył znamieny — a opisany przez Rawicza — fakt, iż strajkujący robotnicy Citroëna wypędzili studentów, którzy przybiegli, aby się z nimi „zbra...tać”. Píše natomiast, że do studentów dołączyli robotnicy i intelektualści (ci ostatni bez wątpienia!) i — wbrew świadectwu Rawicza — o sympatii

całego Paryża do rewolty: „W ciągu maja Paryż schudł, wypiękniał, atmosfera stała się nagle braterska i serdeczna. Ludzie mówią ze sobą na ulicach, Sorbona i Odeon na krótko wskrzesiły tradycje prawdziwej demokratycznej agory”. Jeleński kończy swój artykuł stwierdzeniem, iż rewolucję tę przewidział już dawno Gombrowicz: w *Ferdydurke*, *Trans-Atlantyku*, *Pornografii* i *Operetce*. Co dziwniejsze, ów fragment artykułu zacytowany został — zapewne za zgodą lub nawet z inicjatywy samego Gombrowicza — w *Rozmowach...*, w których jego własna ocena wypadków majowych jest prawie w stu procentach negatywna.

W maju 1992 roku minie dziesięć lat od śmierci Piotra Rawicza, polskiego Żyda, który pisał po francusku, chętniej obcował z Rosjanami niż z Polakami i był związany ze środowiskiem *Le Monde*'u, a nie z polskimi czasopismami emigracyjnymi (choć, o ile wiem, nie brakowało zachęty ze strony redakcji *Kultury*, z którą był osobiście bardzo zaprzyjaźniony, jak również jego żona Anna). Mam nadzieję, że ta rocznica — jeśli w ogóle potrzebne są aż tego typu bodźce — stanie się okazją do napisania o Rawiczu i do przetłumaczenia obydwu jego książek.

Autor *Krwii nieba* pozostawił po sobie obszerny, maczkiem napisany dziennik, który znajduje się w posiadaniu jego siostrzeńca, André Garciantria. Pozostawił także ogromną powieść napisaną w wielu językach — między innymi sanskrytem — i równie drobnym pismem. Jak również sporą ilość recenzji i poematów rozproszonych po francuskich gazetach i czasopismach. Nawet jeśli trudne, lub zgoła skazane na niepowodzenie, jakież to fascynujące zadanie dla polskich i francuskich literaturoznawców.

Janina KATZ HEWETSON

Nagrody

Przemówienie Tadeusza Nowakowskiego

W związku z nagrodą przyznaną redaktorowi *Kultury* przez Bawarską Akademię Sztuk Pięknych w Monachium, na uroczystości, jaka odbyła się 9 lutego br. Tadeusz Nowakowski wygłosił następujące *laudatio*.

Panie Prezydencie, Panie, Panowie!

Nunc est laudandum. Zbieramy się, aby uczcić (ze znacznym opóźnieniem, jak sądzę) zasługi Jerzego Giedroycia, założyciela i długoletniego redaktora czasopisma wydawanego przez Polaków na emigracji, miesięcznika, który wszedł już do historii kultury nie tylko wschodnioeuropejskiej. Dzisiejsza sesja Akademii nie ma wprawdzie charakteru manifestacji politycznej, przypada jednak na okres niezwykły: trudno nie zauważyć, że monopol komunistyczny w Europie Środkowej i Wschodniej ma już przyszłość za sobą. Ostatnie wydarzenia przyznają rację tym, którzy nie chcieli się pogodzić z szantażem, iż zmagania o prawa ludzkie i swobody obywatelskie, o sprawiedliwość społeczną, o wolność i demokrację prowadzą niechybnie do zagrożenia ładu europejskiego. Jeszcze wczoraj nazywano tych emigrantów „groźnymi surrealistami”, którym snuje się po głowach trójkąt ponoć groźniejszy od bermudzkiego: Warszawa-Praga-Budapeszt.

Polak i Czech — laureatami nagrody Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych. Obydwaj są politycznymi emigrantami i przekonanymi Europejczykami. Działają w Paryżu, a w swoich kręgach macierzystych stali się postaciami symbolicznymi.

Wienńcząc Jerzego Giedroycia i Pavla Tigrida w stolicy Bawarii, myślimy o sprawach, które stały się świecką religią ich życia. Słowo „Monachium” przez długie lata nie brzmiało sym-

patycznie w uszach Czechów i Polaków: nieopodal stąd, w pałacyku księcia Karola, zaczęła się druga wojna światowa, rana ciągle jeszcze nie zasklepiona. Dzisiaj z Monachium na falach eteru płyną na wschód słowa o niezawisłości, o nowej Wiośnie Ludów.

Jerzy Giedroyc, doświadczony *homo politicus*, którego długoletnia, dalekowszročna działalność wywarła pozytywny wpływ na myślenie polityczne rodaków w Kraju i na obczyźnie, konsekwentny przeciwnik wszelkich uprzedzeń, resentymentów, stereotypów, jakby przewidział obecne przeobrażenia we wschodniej Europie. Jego szerokie, ogólnoeuropejskie spojrzenie na Niemcy okazało się bardziej przenikliwe od ekspertyz niektórych zawodowych rzeczoznawców. Wie zatem, że prawo do samostanowienia narodów jest niepodzielne, że przed Niemcami wyłaniają się nowe perspektywy. Dla większości Polaków Niemiecka Republika Demokratyczna była nie tyle sąsiadem, co ponurym barakiem w tym samym obozie; „prawdziwe” Niemcy leżały na Zachodzie. Być jednak może, że historia ma w zanadrzu *Hambacher Fest redivivus*, tym razem w Niemczech Wschodnich. Wchodzimy w okres przewycięzania sztucznych podziałów. Nie podoba mi się przy tym modne obecnie powiedzenie: „Polska i Czechosłowacja wracają do Europy”. Od setek lat do niej należą. Więcej: współtworzą kulturę starego kontynentu. Pavel Tigrid zgodzi się chyba ze mną, że jeszcze do niedawna „socjalistyczne bratnie narody” miały niejedno do wyjaśnienia między sobą. Polacy zawdzięczają „pobratymcom” niejeden cenny import, na przykład chrzest przed przeszło tysiącem lat (strach pomyśleć, że bez Czechów pozostalibyśmy poganami) ale, jak to między słowiańskimi bliźniętami bywa, stosunki nie zawsze były wzorowe. Polski żołnierz niepotrzebnie przekroczył granicę w r. 1938 i w r. 1968.

Paryska *Kultura*, dzieło życia Jerzego Giedroycia, które dzisiaj symbolicznie nagradzamy, zawdzięcza swoje istnienie francuskiej niechęci do ksenofobii. (Zestawmy ją z panującą obecnie w Niemczech *Ausländerfeindlichkeit*!) Parafrazując Tucholsky'ego, czasopismo Giedroycia nie narodziło się w „nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze”, a Paryż od dawna był drugą ojczyzną „narkomanów wolności” (tak Heine nazywał listopadowych insurgentów). Na Sekwaną Mickiewicz stworzył narodowy epos, a Chopin przełożył domowe dźwięki na język ogólnoludzki. Tradycja, nawet jeśli się postronnym ironistom wydaje zaledwie surowcem dla teatrzyku absurdu, zobowiązuje. Mówi się nawet o „sile fatalnej”. W zabytkowym budynku Biblioteki Polskiej na Quai D'Orléans, gdzie w zeszłym stuleciu romantycy zabierali głos w imieniu skazanych na milczenie, przed dwoma laty Polacy i Francuzi jubileuszową wystawą uczcili zasługi *Kul-*

ture. W składzie komitetu znaleźli się m.in Eugène Ionesco, André Glüksmann, Claude Gallimard, Yves Montand, Jean Paul Casanova. Dodajmy, że do sympatyków miesięcznika, będącego od roku 1946 bilettem wizytowym „innej Polski”, przez długie lata należał André Malraux, przyjaciel współzałożyciela *Kultury*, malarza i pisarza Józefa Czapskiego. Ale i tutaj, w RFN, nie brakowało i nadal nie brakuje „Kulturo”-filów, by wymienić choć kilka nazwisk: Manés Sperber, Hermann Kesten, Joseph Breitbach, François Bondy, Horst Bienek, Leonhard Reinisch, Fritz Arnold. Jeśli Francuzi okazują sympatię emigracyjnemu czasopismu, tym bardziej zrozumiałe, że do owacji nad Sekwaną przyłączają się intelektualści nad Izarą, w mieście, które zna, chociaż może nie zawsze rozumie, sprawy Polaków, Czechów, Słowaków, Ukraińców, Rosjan, Węgrów, Chorwatów i w którym niejedną przybysz ze wschodu, od malarza Wasila Kandynskiego aż po prozaika Otę Filipa, próbował zacząć życie od nowa.

Wiemy, z jakimi trudnościami walczą dzisiaj miesięczniki literacko-społeczne w zamożnej republice bońskiej. Po prostu wymierają. A *Kultura*, ten ogród wiszący między obczyzną a ojczyzną — uparcie kwitnie.

Pierwsze zeszyty *Kultury* ukazały się w Rzymie, gdzie rozbitkom wbrew woli jawił się swego rodzaju przylądek dobrej nadziei. Po przegranej państw Osi błysnęło pod własnym sztandarem szczęście uciętych perspektyw. Po niedługim biwakowaniu *Kultura* przeniosła się do Francji. *Habent sua fata* nazwy geograficzne. Wiemy, dlaczego szwedzki zamek Gripsholm fascynuje miłośników niemieckiej literatury. Nazwa Maisons-Laffitte, gdzie kiedyś błękitnokrwieści podziwiali wyścigi konne, zamieszkała w dziejach naszego piśmiennictwa jako lądowisko bezdomnych Pegazów. Niektórzy azylowcy psują dobre samopoczucie policji. Są jednak i tacy, którzy w świecie nieproszonych gości wzbogacają życie kulturalne gospodarzy. Miesięcznik osiadły w Maisons-Laffitte, podobnie jak Hansa Wernera Richtera *Der Ruf* w RFN, założony został na pobojuwisku przez grupę *survivors*. *Strandgut der Geschichte* nazywano wówczas poszkodowanych przez Jaltę, wyrzuceni za burtę przez historię. Byli podkomendni gen. Andersa, przede wszystkim ci, którzy przeżyli archipeląg Gułag, nie budzili entuzjazmu w kręgach opiniotwórczych. Nie czas tu i miejsce, by ponowić retoryczne pytanie, czy wolno było z lekkim sercem kraj organicznie związany z Zachodem wtrącić do stalinowskiego więzienia ludów. Trzy razy w wieku XVIII i dwa w XX doszło do rozbiorów Polski i za każdym razem pośrednio lub bezpośrednio uczestniczył w nich Zachód, nasza miłość bez wzajemności. Nawet nad Tybrem nie oplakiwano utraty przedmurza.

Mówią, że nigdy nie wiadomo, gdzie się u Polaków kończy przeszłość, a gdzie zaczyna terażniejszość, i *vice versa*. Giedroyc uważa wprawdzie, że życiem duchowym jego rodaków nie powinny rządzić trumny Piłsudskiego i Dmowskiego, wie jednak, że cokolwiek powstaje w polityce, rodzi się z tego co było. Tak czy inaczej, trudno dziś nie odczuwać satysfakcji: paryska *Kultura*, chociaż po 13 grudnia 1981 roku tylu mówców pogrzebowych i nekrologistów na Wschodzie i na Zachodzie raz na zawsze pogrzebało nadzieję, nie przywdziała welonu Kassandry. Nie ma przemian nieodwracalnych, a to, co dzisiaj wydaje się mrzonką, jutro może stać się rzeczywistością. Powodzenie, jak wiemy, ma wielu ojców chrzestnych. Nawet lekliwi z uznaniem spoglądają dzisiaj na odważnych. Naród wychodzący na ulice przypomina im znany obraz Delacroix. Odkrycia tego dokonał ostatnio małowierny guru nad Renem, który jeszcze niedawno ostrzegał nas przed szkodliwą fetyszyzacją praw człowieka — „są cenniejsze wartości na świecie”, mówił. Zafundujmy sobie tę kropelkę triumfalizmu na wieczorze czterech narodów.

Do załogi „pierwszego rejsu” należeli Józef Czapski, Zofia i Zygmunt Hertzowie, Juliusz Mieroszewski, Gustaw Herling-Grudziński. Filozofię polityczną tej grupy można by w wielkim skrócie wyrazić słowami: pluralizm i ściśle z nim związana tolerancja. Póki imperializmy zagrażają światu, potrzeba etosu solidarności uciskanych. Nielatwy to program w świecie targanym sprzecznościami. Do przepowiadanego przez myślicieli zmierzchu ideologii, do realizacji i sprawiedliwego wyrównania interesów jeszcze daleko. „Nie przepalony jeszcze glob sumieniem”. Trzeba więc tu i teraz przeciwstawić się kłamstwu, obskurantyzmowi, szowinistycznym zabobonom, bronić godności ludzkiej, wspierać niezależną myśl emancypatorską, mówiąc patetycznie: trzeba wierzyć w człowieka. Miesięcznik Giedroycia, ponoc „eklektyczny”, zwykło się obdarzać przymiotnikiem „liberalny”. Dbając o ponadpartyjność, aspirując do rozwiązań ponadnarodowych, a więc podejmowanych wbrew *sacro egoismo*, *Kultura* nie ulegała modnym w salonie katastrofizmom i spengleryzmom, starała się nie schodzić z traktu moralnie zaangażowanego racjonalizmu. Kiedy Solżenicyn pytał, „Czy wolność nie korzy się przed złem?”, paryska *Kultura* szkicowała perspektywę ewolucji w Europie Wschodniej. Do inicjowanych przez nią dyskusji włączyli się współpracownicy z Polski i Rosji, nadchodziły rękopisy, dające się wycenić latami więzienia. O poziomie pisma świadczyć mogą teksty Leszka Kołakowskiego, Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza, Józefa Bocheńskiego czy Josifa Brodskiego. *Kulturze* udało się jednocześnie żyć w Kraju i poza jego granicami. I w tym stuleciu obecność nieobecnych odegrała znaczną rolę. Naciski z zewnątrz w połączeniu z oporem *intra muros* okazały

się owocne. Pomawiano *Kulturę* o niechęć do polityki odprężenia między Wschodem i Zachodem. W rzeczywistości zaś, nie chcąc, by „stabilizacja” za wszelką cenę stała się synonimem „cementaryzacji”, popierano prawdziwe, a nie symulowane odprężenie, które bez usunięcia istotnych przyczyn konfliktów jest nieosiągalne. Jerzy Giedroyc wyznaczył swojemu miesięcznikowi rolę obrotnicy na „dworcu świata”: czytelnik w Polsce dowiadywał się o życiu kulturalnym i politycznym na Zachodzie, czytelnik zachodni otrzymywał rzetelną informację i analizę zjawisk zachodzących na obszarze od Erfurtu do Władywostoku. Udało mu się pozyskać wnikliwych znawców. Ograniczyć się do nazwisk, znanych audytorium: Borys Lewickij, Bohdan Osadczuk, Józef Mackiewicz, Gustaw Herling-Grudziński, Józef Łobodowski, Stefan Kisielewski, Adam Ciołkosz, Zbigniew Brzeziński, Konstanty Jeleński, Krzysztof Pomian, Jiří Lederer, Michał Heller, Wojciech Karpiński, Józef Garliński. „Postłucham twoich tenorów, a powiem ci, czy jesteś dobrym dyrektorem opery”, jak mawiają mediolańczycy. Na uwagę zasługują programowe artykuły Juliusza Mieroszewskiego, instygatora dyskusji. Autor studium pt. „Ewolucjonizm” bardziej się zajmował diagnozą teraźniejszości i wizją jutra, niż czasem przeszłym dokonanym. Pisał, że przyszłość ostatniego mocarstwa kolonialnego jest przewidywalna: idei samostanowienia nie da się powstrzymać. W mieszkańcach imperium trzeba widzieć nie tylko towarzyszy niedoli spod tego samego wozu historii, ale i potencjalnych sprzymierzeńców. Mary McCarthy słusznie zwróciła uwagę na podobieństwo *Kultury* do wydawanego w zeszytym stuleciu przez Aleksandra Herzena *Kołokoła*. Rzecznikiem współpracy z sąsiadami jest ceniony w tym kraju Józef Czapski. Miesięcznik Giedroycia przyswoił polskiemu czytelnikowi m.in. Pasternaka, Sołżenicyna, Dżilasa, Siniawskiego, Daniela, Brodskiego. Autorzy, nie dopuszczani do druku w Warszawie i w Moskwie, znajdowali wydawcę w Maisons-Laffitte. Przyszły biograf Witolda Gombrowicza, Czesława Miłosza, Jerzego Andrzejewskiego, Kazimierza Brandysa, Sławomira Mrożka, Marka Hłaski czy Leopolda Tyrmanda natrafił na adres Avenue de Poissy. Zaciszną sadybę w Maisons-Laffitte można nazwać trampoliną wschodnioeuropejskich sukcesów na światowym rynku wydawniczym. Nie wolno pominąć wydawanych przez Giedroycia *Zeszytów Historycznych*, ale pochwała tego cennego wydawnictwa zajęłaby nam co najmniej pół wieczoru. Zadaje ono zresztą kłam pesymistycznemu aforyzmowi Stanisława Jerzego Leca: „Historia uczy nas tylko jednego: jak się ją fałszuje”. Także i ta sumienna obrona prawdy historycznej sprawiła, że przed dziesięciu laty na ulicach Warszawy wyklejono propagandowy plakat przeciwko dzisiejszemu laureatowi. Na „drzewie zdrady” wisiało zatrute

jabłko z napisem: Giedroyc. Rzekłbyś: brak szacunku dla szlachetnego rodu, który wydał w ciągu historii senatorów, generałów, biskupów, a nawet jednego Giedroycia Kościół wyniósł na ołtarze. Krążą po świecie pogłoski, że „emigranci to chorobliwi piniacze”. Przesada. Po prostu próbują się różnić między sobą. Co zresztą przydarza się również nie-emigrantom i jakoś nikt nad tym nie boje. Barwny gawędziarz, Wacław Zbyszewski, pióro raczej spod znaku Prusa niż Prousta, napisał szkic o atmosferze i stylu pracy w „Giedroyciówce”. Urzekła go zмова idealistów. Pisz, że żyli się w tej ascetycznej gminie, zespoleni wiarą w sens szyfrowego zmusu. Zbyszewski słusznie uwypuklił zasługi Zygmunta Hertza i Zofii Hertz, dobrej wróżki świeckiego zakonu.

Przed kilku laty *Kultura* ogłosiła osobny zeszyt, poświęcony stosunkom polsko-niemieckim, uważnie przeczytany w Bonn i w Warszawie, zaatakowany przez niektórych zawodowych Polaków i etatowych przesiedleńców. Pewne gazety szczególnie się uwzięły na Jana Józefa Lipskiego. Pisały, że „frymarczy”. W r. 1968 też nie szczędzono wtriotu „poplecznikom Dajana”, gdyż protestowali przeciwko kompromitującej Polskę kampanii „antysyjonistycznej”.

„Rejestr karny” *Kultury*, przechowywany w trwalszych ponad gniew ludu szafach policyjnych, długi jest i zaszczytny. Wspomnieliśmy już, że pojmany współpracownik i kolporterów ścigano wyrokami. Wszelako wszystkie godziny nienawiści obracały się przeciwko ich organizatorom. Więcej: sprzyjały legendzie.

Miesięcznik ma tylko jednego zwierzchnika: własne sumienie. Brzmi to równie patetycznie co staromodnie. Ale właśnie w epoce korozji autorytetów wiarygodność staje się artykułem pierwszej potrzeby.

Kulturze wiadomo, że trzeba się przeciwstawić nie tylko przeciwnikowi, ale czasem i sprzymierzeńcom. I wśród serdecznych przyjaciół psy zająca jedzą. Ta wolna trybuna nie lęka się krytyki idoli narodowych, opukuje gipsowe popiersia, nie unika tematów, których „ze względów zrozumiałych” na głos poruszać się „nie godzi”. Zna też pułapki, jakie kryje w sobie rygorystyczny moralizm. Ale sama odwaga cywilna jeszcze nie czyni z polityka wybitnego redaktora. Potrzeba zalet krytycznego umysłu, mówiąc językiem Camusa „łaski niezależności”, a chyba i intuicji. Jerzy Giedroyc zwrócił na siebie uwagę jeszcze w Polsce przedwojennej, gdy wydawał pismo o zobowiązującym tytule *Bunt młodych*. Już wtedy frapowały go tematy kontrowersyjne, pociągali autorzy o zarysowanych indywidualnościach. Młodość tego podówczas liberalno-zachowawczego demokraty w

służbie państwowej uległa li tylko kalendarzowej korekcie. Zapal pozostął ten sam. Giedroyc nie jest trybunem ludowym, obce mu jest kaznodziejstwo wstępnych artykułów, unika werbalnej euforii. Jest wnikliwym obserwatorem, rozważnym analitykiem, romantykiem i pozytywistą w jednej osobie.

Nie mają się go etykiety. Ani on „biały książę”, ani „czerwony książę”. Trafniej byłoby go nazwać biało-czerwonym obywatelem świata. Wszystkie drogi wiodą do wymyślanego domu. Domem Jerzego Giedroycia jest wolna, zjednoczona Europa. Wieńcząc go dzisiaj międzynarodowym laurem, wolno wyrazić nadzieję, że miesięcznik, który stał się ambasadą niezależnej kultury, nadal będzie z Maisons-Laffitte promieniował na Wschód i na Zachód. Przyda się piśmiennictwu europejskiemu także i w przyszłości.

Słowem: *ad multos annos!*

Tadeusz NOWAKOWSKI

Bawarska Akademia Sztuk Pięknych
Monachium, 8.2.1990

Wielce Szanowny Panie,

Bardzo dziękuję za Pański uprzejmy list z 30 stycznia i żałuję, że nie będzie Pan obecny przy rozdaniu nagród w Monachium. Uczymy Pana stosownie do zasług. Jury jednomyślnie przyznało nagrodę Panu i Pana pismu. Dopiero teraz, po wielkich wstrząsach, widać wyraźnie, co znaczyła dla narodu polskiego i jego duchowego przetrwania pańska praca na emigracji. Bez oporu i wytrwałości emigracyjnych artystów i inteligentów kultura kraju byłaby równie zniszczona jak jego gospodarka. Teraz ludzie chwytają się tych kół ratunkowych ducha, i nie nadaremnie chwytają się Pana.

W tym sensie przesyłam Panu pozdrowienia i życzę rychłego powrotu do zdrowia.

Dr h.c. Heinz FRIEDRICH

Nagrody Fundacji Jurzykowskich za 1989 rok otrzymali: w dziedzinie medycyny — Stefan Niewiadomski (USA); w dziedzinie matematyki — Kazimierz Urbanik (Polska); w dziedzinie nauk fizycznych — Wiesław Czyż (Polska); w zakresie psychologii — Mieczysław Choynowski (Meksyk); w dziedzinie historii — Antoni Mączak (Polska); w zakresie poezji — Ryszard Krynicki (Polska); z literatury — Wojciech Karpiński (Francja); architektury — Józef Ryckwert (USA); muzyki — Marek Stachowski (Polska); sztuk plastycznych — Jerzy Jarnuszkiewicz (Polska).

Nagrody miasta Stołecznego Warszawy zostały przyznane: Stefanowi Bratkowskiemu, Stefanowi Kisielewskiemu, S. Cecylii Kłós — organizatorce działalności charytatywnej, Tadeuszowi Konwickiemu, Jadwidze Krajewskiej — bibliotekarce, Andrzejowi Łapickiemu, Czesławowi Łaszkowi — konserwatorowi przyrody, Janowi Nielubiczowi — chirurgowi, Janinie i Zbigniewowi Porczyńskim, Franciszkowi Starowieyskiemu, Marii Wieman-Hilchen — pedagogowi wychowania muzycznego. Każda nagroda wynosi 2 mln złotych. Najwięcej głosów w tajnym głosowaniu otrzymał Stefan Kisielewski.

Po raz pierwszy została przyznana nagroda dziennikarska Fundacji Ksawerego i Mieczysława Pruszyńskich. Nagrodę otrzymała Iwona Jacyna, publicystka *Życia Warszawy*, za cykl 200 artykułów i komentarzy o tematyce ekologicznej.

Zarząd Pen Clubu przyznał doroczne nagrody im. Ksawerego Pruszyńskiego (ufundowane przez Mieczysława Pruszyńskiego) J.J. Szczepańskiemu, Kazimierzowi Dziewanowskiemu i Józefowi Kuśmierkowi.

Na międzynarodowym festiwalu filmowym „Europa — Cinéma 89” we Viareggio we Włoszech film Krzysztofa Zanussiego „Stan posiadania” otrzymał dwie nagrody: za najlepszy scenariusz oraz za najlepszą rolę męską dla Artura Żmijewskiego.

Nagroda im. Adolfa Bocheńskiego została w tym roku przyznana Dariuszowi Fikusowi w uznaniu całej jego działalności publi-

cystycznej. Dariusz Fikus jest obecnie redaktorem naczelnym dziennika *Rzeczpospolita*.

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego przyznało Tymonowi Terleckiemu z Londynu doroczną nagrodę imienia założyciela KUL-u, ks. Idziego Radziszewskiego.

Dla uczczenia pamięci Jana Strzeleckiego Polski PEN Club ustanowił pragnie nagrodę Jego imienia, ufundowaną zbiorowym staraniem. Nagroda byłaby przyznawana co roku przez Zarząd PEN Clubu, ukonstytuowany jako jury, za dzieło opublikowane w języku polskim w kraju lub za granicą i dające wyraz wartościom, jakim służyła twórczość autora „Prób świadectwa”.

Zarząd PEN Clubu zwraca się do wszystkich, którzy zechcą przyczynić się do ufundowania tej nagrody, o wnoszenie wpłat na rachunek Polskiego PEN Clubu w Banku P.K.O. — S.A., V Oddział w Warszawie, nr 501145-9100145-157-81-7870 (konto dewizowe) lub nr 501145-9100145-139-79-1110 (konto złotówkowe), z zaznaczeniem na odwrocie blankietu wpłaty „Na fundusz nagrody im. Jana Strzeleckiego”.

Fundusz pozostanie otwarty i będzie mógł być uzupełniany również w następnych latach. Zarząd będzie co roku podawał do ogólnej wiadomości stan funduszu, wysokość nagrody i nazwisko laureata.

Nagroda wręczana będzie co roku na uroczystym zebraniu PEN Clubu.

Nagrodę PULS ROKU miesięcznik *Puls* przyznał redakcji krakowskiego pisma *Arka* i jej czołowemu esejście, Ryszardowi Legutce.

Przyznaną nagrodę PEN-Clubu, która wynosi 200 tys. złotych, Jerzy Giedroyc przeznaczył na internat IV Liceum Ukraińskiego w Legnicy.

Na nagrodę dla tłumaczy im. Konstantego Jeleńskiego wpłynęły dodatkowo dwie sumy: Czesław Miłosz przekazał F. 10.000 i Renata Gorkczyńska F. 700.

Książki

Archipelag New York (IV)

POCHWAŁA MIASTA

Antyurbanizm, czyli mówiąc prościej niechęć, a w skrajnych przypadkach awersja do miasta jako organizmu zbiorowego należy *ab urbe condita* do popularnych mitów społecznych. Równie popularnych co mit powrotu do natury, mit pionierstwa, mit Robinsona Crusoe. Zwolennicy bukolik, a należą do nich dzisiejsi „Zieloni”, późni uczniowie naiwnego Jana Jakuba, chwalcę naturę, pomijają dla wygody w rozumowaniu argument niebagatelny, a mianowicie kulturotwórczą rolę, jaką miasta odgrywają w historii cywilizacji. Powołam się na pierwszy z brzegu konkretny przykład: my, Polacy, dotychczas lubimy siełanki, ponieważ nasze wyobrażenia ukształtowała literatura rodzima. A z kolei literatura polska wywodzi się tradycyjnie z ziemiaństwa. Miasta — prócz nielicznych, jak Kraków, Lwów, dużo później Łódź — były na ogół słabymi ośrodkami. Obowiązywało życie w rozproszeniu, na ogromnych obszarach, pod względem gospodarczym niemal całkowicie zdominowane przez rolnictwo. W państwie, które prócz Sycylii posiadało największy procent uszlachconych obywateli na świecie, mieszczaństwo nie stworzyło silnej grupy społecznej, miało poważnie ograniczone prawa i przywileje. Dlatego polską teodyceą jest *Historia szlachecka z 1811 i 1812 we dwunastu księgach wierszem*, a nie — dajmy na to — *Komedia ludzka*. Owszem, w XIX wieku zaczęły się w literaturze polskiej pojawiać powieści o tematyce miejskiej, ten wielki twór kultury mieszczańskiej, ale — rzecz ciekawa — były to najczęściej przekształcone gawędy szlacheckie, gdy tymczasem klasyczna powieść europejska więcej czerpała z tzw. powieści łotrzykowskiej i romansu późnośredniowiecznego.

Jeśli przenikliwi krytycy zauważyli, jak silnie proza literacka Dwudziestolecia jest skoncentrowana na opisie miasteczka, szczególnie kresowego, oznacza to chyba między innymi słabość funkcjonowania w świadomości zbiorowej takiego potencjalnego, choć niespełnionego centrum, jakim była Warszawa. Ta znalazła swego wielkiego piewczę dopiero chyba w Białoszewskim.

Koniec dygresji, wracam do nurtu głównego: to, że antyurbanizm ciągle pokutuje jako stereotyp myślowy, jest normalne. Taka jest natura mitu. Są jednak i inne, bardziej obiektywne przyczyny rosnącej niechęci do miast. Otóż wielkie aglomeracje miejskie na całym świecie zdają się rosnać w postępie geometrycznym w miarę coraz większej swobody migracji, teoretycznej poprawy warunków życia, opieki zdrowotnej itd. Bo trzeba w tym miejscu dodać, że antyurbanizm jest przeciwieństwem innej powszechnej utopii — przeświadczenia, że w mieście można się wybić, że przybysza z prowincji nie ominie tam sukces. Ponieważ siła wznosząca działa w odniesieniu do nielicznych, większość cierpi w nowym i obcym sobie otoczeniu, przeklinając los anonimowej mrówki w monstrualnym mrowisku. Wymienię kilka przykładów mega-miast. Stolica Meksyku, największe skupisko ludności na całym globie ziemskim, liczyła wedle danych z 1989 roku 18 milionów mieszkańców. Miasto Meksyk stało się żywiołem, wobec którego urbaniści i planiści są już bezradni. Na terenie jednej z jego połaci — ogromnego wysypiska śmieci ciągnącego się setkami hektarów — egzystują miliony półkoczowników w budach skleconych z puszek i desek. Mają pod stopami wiecznie żarzące się śmietnisko, a nad głową — prażące słońce, smog i subtropikalne deszcze. W Japonii ponad 76% ludności mieszka w miastach. Tokio liczy wedle danych z 1987 roku 8,3 miliona mieszkańców. Nie tylko mieszkania są tam na cenę złota. Mieszkaniec Tokio nie może kupić samochodu, póki nie przedstawi władzom odpowiedniego zaświadczenia, że posiada garaż lub parking, co często przekracza cenę pojazdu. Wedle przewidywań demografów, Los Angeles staje się pod koniec obecnego stulecia największym mega-miastem na kontynencie północno-amerykańskim. W roku 2000 jego ludność ma wzrosnąć do 8,870 milionów. Nowy Jork (w sensie tzw. Wielkiego Nowego Jorku), obecnie najludniejsze miasto w Ameryce Północnej — ma do tego czasu liczyć 8.433.000 mieszkańców. Czyli planowany przyrost ludności w L.A. ma wynieść 13,5%, a w Nowym Jorku — zaledwie 1,7%. Wypadałoby zapytać, co ciągnie ludzi do takich molochów. Przede wszystkim możliwość zarobkowania. W latach 1985-2000 w Los Angeles ma przybyć 5.306.000 nowych stanowisk pracy. Na drugim miejscu tej listy znajduje się Boston, na szóstym — Waszyngton.

Megalopolis zwane Nowym Jorkiem (myślę tu o tzw. New

York City, czyli samym Manhattanem oraz pozostałych czterech makrodistryktach: Brooklynie, Bronx, Staten Island i Queens) nie wydaje się takim kolosem jak L.A. czy Mexico City. Jeśli jednak będziemy mówić o jego starych użytkownikach i najbliższych sąsiadach, to wówczas obszar leżący w trzech różnych stanach (tzw. *Tri-State Area*) okaże się republiką zamieszkałą przez ok. 14 milionów ludzi. Życie w tak zagęszczonym środowisku, przy ogromnych odległościach do codziennego pokonywania, ze stale rosnącym problemem transportu miejskiego, który nie nadąża za puchnięciem miasta, jest dla wielu udręką. Nic zatem dziwnego, że wyobraźnia podsuwa marzenie o domu na odludziu, pośród dzikiej i rzekomo nieskażonej natury, setki mil od najbliższego miasta. Ale tam z kolei nie ma pracy, nie ma infrastruktury. Lata siedemdziesiąte były w Stanach Zjednoczonych okresem wielkiego odpływu ludności miejskiej na prowincję. Odwrotny proces nastąpił w latach osiemdziesiątych; owe dawne wielkie w liczbach bezwzględnych prądy migracyjne dalej trwają, ale w 1984 i w 1985 roku liczba tych, którzy przenieśli się z prowincji do miast przekroczyła o ok. 300 tysięcy liczbę tych, którzy zdecydowali się właśnie na krok przeciwny.

Bo co się dzieje w Nowym Jorku: na miejsce „emigrantów” przybywają „imigranci”. Dodajmy do tego autentycznych imigrantów z innych krajów i kontynentów. Półtora miliona mieszkańców Nowego Jorku (w przybliżeniu, bo dane stale się zmieniają wraz z mobilnością ludzi) urodziło się poza Stanami Zjednoczonymi. Spora część tej grupy nigdy nie nauczyła się posługiwać językiem angielskim. Razem z tuziemcami tworzą oni konstelację narodowości, ras i religii chyba niespotykaną w takiej rozmaitości w innym zbiorowisku na świecie. I ta płynna ludność nowojorska reprezentuje ponad dwieście odrębnych kultur i języków. Zazwyczaj dość słabo poddaje się zasadzie tygła (*melting pot*), którą wymyślili politycy i socjododzy w celu przyśpieszenia procesu integracji.

Literatura obrócona przeciwko miastom towarzyszy nam od zarania pisma; dość wspomnieć, jak złęgo mniemania byli o Babilonie patriarchowie Starego Testamentu. Do dziś nazwa „Babilon” budzi złośliwość skojarzenia. To miasto wszetecznictwa, rozpusty i czcicieli Baala było w Biblii antytezą Jerozolimy (*Jeśli bym cię zapomniał, Jerozale, niech zapomni o mnie prawica moja*). Jerozale, albo Nowe Jerozale — miasto święte, zstępujące z nieba, dane od Boga, symbol stolicy Mesjasza, stało się w średniowieczu tak atrakcyjnym miejscem wskutek działania mitu, że spowodowało to na koniec jego klęskę, ponieważ mit sprawił, że ruszyły na nie wyprawy krzyżowe. Na szczęście lub nieszczęście dla swoich przyszłych losów Nowy Jork jest często nazywany „Nowym Babilonem”. Współcześni purytanie i puryści nie lubią hałaśliwej i

aroganckiej mieszaniny z całego świata, tych besser-wisserów z Górnej Wolty i Pcimia Dolnego. Na dodatek ta mieszanina śmie się uważać za coś lepszego od zwykłych Amerykanów. Toteż między Nowym Jorkiem a resztą federacji stanów istnieje pewien antagonizm. Literatura popularna i w ogóle sztuka masowa ten konflikt często pogłębiają i przerysowują, bo jest wygodnym budulcem do łatwych (czyt.: krew w żyłach mrozących) fabuł filmowo-powieściowych. Oto kolejny konkretny przykład: do utrwalenia stereotypów myślowych o Nowym Jorku przyczyniła się ostatnio między innymi zgubnie poczytna w świecie powieść Toma Wolfe'a (ma doktorat z literatury w Princeton University, a cwany, jakby praktykował na giełdzie nowojorskiej) pod tytułem *The Bonfire of vanities* (Stos próżności). Autor tej powieści rozpowszechnia tezę, że zasadą rządzącą Nowym Jorkiem jest nienawiść: biali nienawidzą czarnych, czarni białych, Irlandczycy — chasydów, i *vice versa* oczywiście, biedni rzecz jasna nienawidzą bogatych, a kobiety, wiadomo, nienawidzą mężczyzn. Taki obraz Nowego Jorku, który jak ułał pasuje do wyobraźni tych, którzy nigdy tam nie byli, jest przypuszczalnie przyczyną popularności tej zdumiewającej i tandetnej powieści. No i oczywiście miejsce akcji, bo Nowy Jork jako dziwny eksperyment międzynarodowy budzi naturalną ciekawość. Być może tak właśnie będzie wyglądał świat przyszłości — na przykład w wydaniu zachodnioeuropejskim, po wprowadzeniu w życie Europy Zjednoczonej, która nie będzie przecież mogła zamknąć swoich obszernych granic dla przybyszów z innych kontynentów.

Próba wytłumaczenia, że Nowy Jork nie jest zupełnie taki jak głosi wieść gminna, niewiele przypuszczalnie zmieni, nawet gdyby powoływać się na statystyki (pod względem liczby morderstw stolica federacji stanów, Waszyngton, jest też przodownicą ogólnoamerykańską w tej dziedzinie. Nowy Jork zajmuje skromne miejsce w pierwszej piętnastce USA). Niemniej należy próbować przybliżyć wyobrażenia do konkretnej rzeczywistości, wypowiadając zarazem veto mitom. Dlatego czytelnikowi, który chciałby się dowiedzieć, jak wygląda wzajemna relacja między przestrzenią a człowiekiem w wielkiej współczesnej metropolii, ze szczególnym uwzględnieniem Nowego Jorku, polecałabym nie złą powieść, lecz pracę-dokument. Mam na myśli książkę, która jest rezultatem szesnastu lat obserwacji życia ulicy przez autora i ekipę pomocników. Oto jej metryczka:

William H. Whyte

CITY

Rediscovering the Center

Photos by the Author

Doubleday, New York, London, Toronto, Sydney, Auckland,
1988, \$24.95

Czyli, po naszymu: „MIASTO; Ponowne odkrywanie centrum”. Napisał tę książkę, zilustrował, opatrzył licznymi tablicami, bibliografią przedmiotową i indeksem William Whyte, z zawodu urbanista, wieloletni mieszkaniec Nowego Jorku i jego niewątpliwy sympatyk. Oddał w ręce czytelników blisko czterystustronicowy wolumin sporego formatu.

Prace urbanistów są na ogół mało pociągającą lekturą dla niezawodowców. Walorem tej książki jest nie tylko empiryczne podejście autora do przedmiotu badań, ale i jego wiedza w innych dziedzinach. Whyte jest również antropologiem społecznym, psychosocjologiem, reporterem, a nade wszystko — człowiekiem obdarzonym poczuciem humoru i darem obserwacji. Nie tylko spenetrował on każdą ulicę Nowego Jorku, nie tylko zwiedził, i to na własnych nogach, większość miast w Stanach Zjednoczonych, nie tylko udał się na inne kontynenty w celu pogłębienia studiów porównawczych, ale przede wszystkim z twórczą ciekawością obserwował zachowanie się przechodniów. On i członkowie jego ekipy filmowali i fotografowali ruch uliczny jawnie i z ukrycia, nagrywali wywiady, przeprowadzali sondáže. W tym wieloletnim procesie poznania natury mieszkańca wielkiej metropolii bądź potwierdzali empirycznie niektóre powszechne wyobrażenia, bądź — znacznie częściej — obalali je.

City składa się z 25 rozdziałów poświęconych takim tematom jak „Doświadczony przechodzień”, „Schody i wejścia”, „Przejścia podziemne i nadziemne”, „Woda, wiatr, drzewa, światło naturalne”. Niektóre z tych badań dotyczą wyłącznie specyfiki Nowego Jorku, inne natomiast mają uniwersalne zastosowanie i wiele mówią o zasadach współżycia ludzi w wielkim mieście, o swoistym regulaminie zachowania, o poczuciu wspólnoty lub wyalienowania, zależnie od stworzonej przez urbanistów i architektów przestrzeni. Wniosek generalny z tej lektury mogłabym streścić następująco: miasto uczy zasad współżycia i korzystnie wpływa na postawy obywatelskie. A credo Williama Whyte'a jest też dość proste i oparte na zdrowym rozsądku: autor występuje w obronie miasta, które jest pochodną starożytną jego roli, to znaczy takiego miasta, które ma wyraźnie zaznaczone wielofunkcyjne centrum i które pozwala na swobodny przepływ przechodniów. Ulica i — przede wszystkim — ruch pieszy na niej jest zdaniem Whyte'a „rzeką życia dla miasta”. Autor składa hołd ruchowi, wymianie, wielorakości związków międzyludzkich.

Najciekawsze partie książki są związane z obserwacją tłumów i wzajemną interakcją ludzi na ulicy lub w innych miejscach publicznych. Whyte twierdzi, powołując się na konkretne dane, że wbrew powszechnemu mniemaniu ludzie są względem siebie bardziej przyjaźni w wielkich miastach aniżeli w małych.

Dowodem jest dlań częstotliwość interakcji socjalnych, jak pogawędki z przypadkowo spotkanym znajomym lub zgoła nieznanym, gromadne przyglądanie się scenom ulicznym, nieprzewidywanym wydarzeniom lub popisom artystów ulicznych, gotowość udzielania informacji nieznanemu, itp. Whyte i jego współpracownicy zauważyli, że ludzie przejawiają skłonność do pogawędek ulicznych w najbardziej zatłoczonych punktach chodnika, ze zdecydowanym upodobaniem do zajmowania narożników. Potrafią tym samym skutecznie zablokować ruch, który na jednej z najruchliwszych ulic Manhattanu — Lexington Avenue — wyraża się liczbą ok. 40 tysięcy przechodniów dziennie. Sunący tłum zdaje się jednak reagować na takie żywe przeszkody z wyrozumiałością i tolerancją.

Głównym przeciwnikiem pieszego nie jest inny pieszy, lecz kierowca pojazdu, choć to on znajduje się w dużo bardziej uprzywilejowanej sytuacji — zauważa w innym miejscu White. Chodniki w Nowym Jorku są zazwyczaj wąskie i zastawione stojakami z reklamami, pojemnikami na śmiecie, *ad hoc* wzniesionymi straganami czy nawet walizkami — czyli ruchomymi sklepami ulicznych sprzedawców. Na dodatek mają pełno dziur, ubytków i nierówności. Ruch pieszy po obu stronach Lexington Avenue ma do dyspozycji zaledwie jedną trzecią powierzchni, ponieważ dwie trzecie zajmuje jezdnia, w Nowym Jorku zazwyczaj zawsze jednokierunkowym ruchem kołowym. Ponieważ typową cechą zabudowy Manhattanu jest krótka przecznica (odstęp między ulicami wynosi 60 do 70 metrów), a każde skrzyżowanie jest wyposażone w światła drogowe, rezultat jest taki, że piesi znajdują się w ciągłej kolizji z pojazdami. Przechodnie w Nowym Jorku wskutek takich doświadczeń nauczyli się całkowicie ignorować ruch kołowy. Obowiązuje niepisana zasada pozornego niedostrzegania samochodów, w rodzaju: „Ja ciebie nie widzę, a jak chcesz, to spróbuj mnie przejechać!”. Pod światłami ludzie zbijają się w ciasną grupę uderzeniową, wedle określenia Whyte'a — rodzaj plutonu ulicznego, i taką masą suną dalej jeszcze jakiś czas po przekroczeniu jezdni. Można by sądzić, że są całkowicie uodpornieni na jakąkolwiek formę dyscypliny, skoro bez wahania przechodzą przez czerwone światło lub rączo biegną na skos, nie zważając na samochody. Policja za takie przekroczenia nie karze, bo nie ma na to ani czasu ani ochoty. Ma zresztą poważniejsze sprawy na głowie. A ludzie stale usiłują sobie skrócić drogę, ponieważ robią wrażenie żyjących w ciągłym pośpiechu. Whyte z asystą potwierdzają ten rzucający się w oczy aspekt życia nowojorskiego. Obliczyli oni ze stoperem w rękę, że doświadczony przechodzień nowojorski osiąga szybkość 10 mil na godzinę. Ze statystyk wynika też, że człowiek objuczony pakunkami czy walizkami wcale nie ma ten-

dencji do zwalniania i kłusuje równie szybko co przechodzień bez balastu. Autorowi *Miasta* nie udało się ustalić, dlaczego nowojorcianie poruszają się z taką szybkością. Być może jednym z ważnych czynników są odległości. Jedynymi konkurentami mieszkańców Nowego Jorku są podobno montrealczycy. Nigdzie indziej taki galop nie występuje.

Co nie znaczy, że nowojorcianie gardzą *dolce far niente*, tym wkładem Włochów do cywilizacji światowej. Whyte z ekipą współpracowników obserwowali pilnie zachowanie ludzi w różnych punktach miasta w czasie przerwy obiadowej. Tu odnotował tendencję do zbijania się w grupy zawodowe, które, korzystając z paury, zabawiają się obserwowaniem innych na ulicy, z krótkimi uwagami i żywą gestykulacją. Whyte'a zainteresowały typowe gesty towarzyskie, ujawniające się w takich okolicznościach, na przykład sposób siadania na wystającym murze czy opierania się o ścianę. Zagadnął o to specjalistów. Uчени odparli mu, że z zachowanych materiałów historycznych wynika, iż praktycznie takie same gesty wykonywali mieszkańcy starożytnych miast na Bliskim Wschodzie: Ur, Niniwy, Babilonu.

W czasie szesnastu lat zbierania materiału Whyte poszukiwał między innymi przejawów żywotności miasta i odwrotnie — stopniowej utraty jego sił witalnych. Docenia i pochwała swobodę, wielofunkcyjność ulicy, mieszanie się wszystkich klas. Jest zwolennikiem rozmaitych form działalności ulicznej: grajków i magików, kramarzy, sklepów z otwartymi na oścież drzwiami, kafejek pod parasolem. Ruch pieszych na ulicy jest dlań jednym z kluczowych wskaźników zdrowia miasta: jeśli ich liczba w ruchliwym punkcie miasta spada do poniżej tysiąca na godzinę, to jego zdaniem organizm miejski cierpi na poważną chorobę. Whyte jest też, jak większość rasowych mieszkańców wielkich metropolii, przeciwnikiem sztucznych miast, wymyślonych przez tych, co miasta nie lubią — niekończących się pasaży i korytaryzmy podziemnych, wielkich płaszczyzn ślepych ścian, kładek nadziemnych nad jezdnią, pustych i źle oświetlonych po zmroku placów przed wielkimi wieżowcami. Udowadnia na przykład, co się dzieje, gdy dana instytucja lub konsorcjum, będące posiadaczem takiego wieżowca z placem frontowym, w imię rzekomego bezpieczeństwa własnej nieruchomości utrudnia przechodniom użytkowanie przestrzeni publicznej. Odgradza tę przestrzeń, otacza łańcuchami, a wtedy opustoszały plac bierze w posiadanie tzw. element, czyli przede wszystkim handlarze narkotyków. Gdy jednak zmieni się założenie i stworzy na terenie takiego placu przed wieżowcem rodzaj zagospodarowanego mikrośrodowiska — ustawi nieco krzeseł ogrodowych, pozwoli na swobodny handel żywnością i napojami, umieści kilka drzew w donicach — to miejsce natychmiast nabiera życia. Jego użytkow-

nicy samą swoją obecności odstraszać handlarzy narkotyków i ich klientelę.

Dla przyjezdnych Nowy Jork robi wrażenie zaśmieconego i brudnego do niemożliwości miasta. Przyczyną tego jest nie tylko mnogość opakowań i zwyczaj jedzenia na ulicy, powszechny wśród pośpiesznych nowojorczan. Whyte i jego ekipa zauważyli, że ludzie są na ogół porządni sami z siebie i że chętnie wrzuciliby papier lub puszkę do kosza, gdyby takie istniały, były regularnie opróżniane, a przede wszystkim gdyby były skonstruowane odpowiednio do swoich celów. Ale takich pojemników jest jak na lekarstwo. Przy okazji Whyte odnotowuje też istnienie osobnej grupy ludzi, których nazywa umownie „sępami ulicznymi”. Zaskoczyło go, że wśród tych, którzy z upodobaniem grzebią w pojemnikach na śmiecie, znajduje się tyłu ludzi dostatnio ubranych, w sile wieku. Autor książki *Miasto* nie jest jednak moralistą. Zauważa, że taka działalność jest nawet pożyteczna dla ogółu, ponieważ grzebacz upycha na koniec śmiecie i stwarza w ten sposób nieco więcej miejsca w przepelnionym pojemniku.

Sporo uwagi poświęca William Whyte konkretnym ludziom ulicy, to jest ludziom mieszkającym na ulicach lub korzystającym z nich w nietuzinkowy sposób. Píše też zastanawiająco trzeźwo i bez sentymentalizmu o tak zwanych *bag ladies*. To określenie nie ma chyba odpowiednika w języku polskim. Chodzi o bezdomne kobiety, które noszą swój cały dobytek w kilku torbach plastikowych. Ciekawe, że ów zwrot powstał w angielskim z bardzo wyraźnym określeniem płci; nie mówi się na przykład o *bag gentlemen*. Lub nawet o *bagman*'ach. Istnieją inne wyrazy, określające na przykład alkoholika żyjącego na ulicy: *bum*. Istnieją oczywiście nadal ludzie (prawie wyłącznie płci męskiej), którzy kontynuują nawyki pionierskie i jeżdżą tysiące mil towarowymi pociągami bez biletu. Ci nazywają się *hobo*. Ale choć odpowiedniki męskie *bag ladies* istnieją, na razie przynajmniej nie słyszałam o zbiorowej dla nich nazwie. Whyte, po wielu wymuszonych na *bag ladies* wywiadach popartych obserwacjami, przedstawił swoją tezę: większość współczesnych nomadek w megalopolis żyje całkowicie poza jakimkolwiek systemem czy umową społeczną i brzydzi się wszelką formą opieki społecznej, ponieważ wie, że opieka oznacza też kontrolę, a więc jest zamachem na przyrodzone człowiekowi wolności. Nowojorskie *bag ladies* nie przyjmą schronienia, nie pójdą do lekarza, nie dadzą się nigdzie zarejestrować, nawet w celu otrzymania zasiłku dla ubogich. I podobno nigdy nie podadzą nikomu swoich prawdziwych danych personalnych. W kraju, gdzie nie ma dowodów osobistych, zachowanie tak głębokiego incognito jest nadal prawnie możliwe. Z wywiadów, jakie na

temat *bag ladies* przeprowadzili ludzie Whyte'a wynika, że większość nowojorskich pań z torbami pochodzi z klasy średniej; niektóre mają nawet ukończone studia wyższe.

Książka *Miasto* jest żywa i plastyczna jak film dokumentalny, który zresztą powstał w trakcie zbierania materiałów przez Whyte'a i jego pomocników. Był on wyświetlany przed kilkoma laty przez sieć telewizyjną Public Television System (PBS). Niech ostatnie słowo należy zatem do autora i inicjatora tej prawdziwie pasjonującej i odkrywczej pracy. Istotę miasta — przypomina William H. Whyte — tworzą ludzie, jego mieszkańcy, i oni właśnie mogą miasto ocalić. A sercem miasta musi być centrum, jak starożytna agora, która cele wniosłe łączyła z przyziemnymi.

*Powyższe omówienie pozwalam sobie
zadedykować bardzo bliskim, bliskim
i dalszym architektom*

Renata GORCZYŃSKA

„Ameryka kanadyjska”

Kanada jest przedmiotem zainteresowania publicystów, pisarzy, naukowców i różnych polskich podróżników. Czy to oni spowodowali żywiołowy niemal pęd do tego kraju, czy też na odwrót, jego rozwój, szerokie możliwości i znaczna emigracja z Polski spowodowały zainteresowanie wyżej wymienionych? Autorzy polscy nie zachęcają bynajmniej do osiedlenia się w Kanadzie bez odpowiednich kwalifikacji. Ocena skupisk polonijnych oraz życia i pracy ich organizacji jest powściągliwa, choć przeważnie życzliwa, w każdym razie do końca drugiej wojny światowej. Okres następny jest burzliwy i obfituje w różnorakie wydarzenia, opublikowano więc o nim mnóstwo artykułów i książek. Niektórzy autorzy poruszali tematykę polonijną tylko ubocznie, skupiając uwagę na sprawach kanadyjskich.

Fakt znamieny: po wojnie, kiedy napłynęła nowa fala imigrantów, ukazały się zaledwie dwie prace przedstawiające całą Kanadę: *Kanada między przeszłością a przyszłością* Hansa Bernharda i Ernesta Winklera oraz *Współczesna Kanada* — praca zbiorowa pod redakcją M. Dobroczyńskiego i R. Marcha. Dwaj pierwsi auto-

rzy są szwajcarskimi naukowcami, druga książka zawiera prace autorów z Kanady i z Polski. Nadal jednak brakowało popularnej a zarazem źródłowej monografii. Przymierzył się do takiej pracy Jan Zakrzewski, korespondent Polskiego Radia i TV w Stanach Zjednoczonych. Kilkakrotnie przyjeżdżał w odwiedziny, składał wizyty, zwiedzał różne obiekty, widywał ważne i mniej ważne osoby, aż powstała z tego książka pt. *Ameryka kanadyjska*.

Wbrew temu, co się p. Zakrzewskiemu wydaje, nie odkrył nowej Ameryki ani nie ujawnił niczego nowego. Nim jednak przejdziemy do krytyki, powiedzmy kilka słów o zaletach książki: przyjemne są opisy przyrody, niektórych miast i obiektów. Gładko brzmią szkice historyczne o miastach, prowincjach i całym kraju, oparte na popularnych źródłach i rozmowach z profesorami. Niestety, wnioski i przepowiednie, jakimi autor częstuje czytelników, są w najlepszym przypadku naiwne, a szereg prognoz, ocen i relacji jest po prostu spóźnionych.

Kilka przykładów. Jan Zakrzewski twierdzi, że Kanadyjczycy żywią powszechną nieufność do Amerykanów, która rozszerzyła się na wszystkich cudzoziemców. Znika ona jednak, gdy cudzoziomec „nie okaże słowem, gestem, zachowaniem, iż widzi w Kanadzie zależność amerykańską”. Abstrahując już od zbędnego dziwoląga, jakim jest „zależność”, myśl jest nader wątpliwa. Nieco dalej autor pisze, że powszechne wybory do Izby Gmin w 1988 r., które były niemal plebiscytem za traktatem wolnej wymiany handlowej ze Stanami Zjednoczonymi, ponownie dały większość konserwatom, umożliwiając ratyfikację traktatu, czyli dalsze, jak najbardziej świadome powiązanie z USA. Byłbyż to wyraz „powszechnej nieufności do Amerykanów”?

„Na antenie ottawskiej słyszy się narodowy akcent kanadyjski”, twierdzi Jan Zakrzewski. Jakże interesująca informacja, zwłaszcza jeśli się zważy, że centralna antena anglojęzyczna znajduje się w Toronto, ale w stolicach prowincjonalnych i niektórych innych miastach czynne są oddziały lokalne. Sieć jest połączona, spikerzy mówią tą samą angielszczyzną, która nie ma wprawdzie „narodowego akcentu” (coż za polszczyzna!), ale różni się nieco od angielskiego i amerykańskiego, jeśli chodzi o znaczenie pewnych pojęć i terminów.

Następnie autor dzieli się swymi wrażeniami odnośnie kobiet: „Kanadyjska frankofonka bywa często, może częściej niż anglosaska, ładna... Jest większą kokietką niż kobieta anglosaska, oczywiście ma piękne futro, marzy o drugim jeszcze lepszym... Kobieta anglosaskiego pochodzenia jest bardziej surowa w obyczajach... rezygnuje jako żona z pracy i chętniej zajmuje się dziećmi i kuchnią...” Jest jeszcze sporo podobnych rewelacji: która jest lepsza w kuchni, w innych pomieszczeniach, aż po konkluzję, że „generalnie kobieta kanadyjska jest bardziej zorganizowana, bardziej świadoma świata, w którym żyje, bardziej świadoma swego celu i metod jego osiągnięcia, bardziej emancypowana i materialnie ucywilizowana niż polska kobieta”.

Autor serwuje również rewelacje polityczne. Np. twierdzi, że wszyscy przywódcy Partii Liberalnej wcześniej czy później zostają premierami. A co z przywódcami konserwatystów? Czyżby komuś innemu powierzali kierownictwo rządu?

Jan Zakrzewski odkrył też, że partia Social Credit (Kredytu Społecznego) zdobyła nawet w Brytyjskiej Kolumbii fotel premiera. A czy pozostali członkowie rządu Nowej Kolumbii są z innej partii? Rządy w Kanadzie są jednopartyjne. Nietrudno to ustalić nawet zza granicy.

Zakrzewski nie ominął — niestety — Polonii kanadyjskiej, o której opublikowano przecież w Polsce sporo książek. Dla niego „cztery sylwetki na czterech skrajach kanadyjskiego świata są symbolem”. Przyjrzyjmy się im więc: w osadzie eskimoskiej na Ziemi Baffina (Arktyka) samotna Polka uczy dzieci eskimoskie; na południe od Winnipegu Polak Sokołowski gospodaruje na fermie; w Halifaxie były polski marynarz Józef Adam jest sprzedawcą galanterii męskiej w jakimś sklepie, a w Vancouverze Aleksander Iwańczyk, kolega autora z wojska, obecnie emeryt, był kierownikiem składu drewna. Dalej Zakrzewski zwięźle informuje, że przedwojenna emigracja składała się z ludzi zawiedzionych, którzy założyli lewicowe organizacje, a *Głos Pracy*, wychodzący dwa razy w tygodniu, „był głosem socjalistów polskich”. Otóż nie socjalistów, tylko komunistów, a dwa razy w tygodniu ukazywał się jedynie od 8 lutego do 11 października 1939 r.

Zakrzewski spędza wieczór w domu jednego z wodzów owych „socjalistów”. Jest wielka rodzina, rozmawia się po angielsku, a gospodarz łączy się na... PAGART, który wysyła tylko zespoły rewiowe, których aktorzy wyśmiewają ustrój, rząd i warunki życia w Polsce. Interweniował wielokrotnie w konsulacie, słał listy do Polski, ale bezskutecznie. Wobec tego przekazuje postulaty korespondentowi TV, swojemu gościowi.

Z Toronto udał się do Winnipegu, gdzie odwiedził „Klub Kombatanta”. Tam zamówili z żoną bigos i piwo, jako że niczego innego nie było. Gdy kelnerka dowiedziała się, że zaledwie przed tygodniem opuścił Warszawę, rozplakała się i zaprosiła ich do swego mieszkania. Byli więc wieczorem u państwa D., zjedli i popili po polsku. Pani D. „miała oczy czerwone od łez. Czy linia 116 dalej chodzi, gdzie chodziła...”

Następnie Edmonton. Duże miasto z dynamicznym środowiskiem polskim. A oto relacja w *Ameryce kanadyjskiej*: „W edmontońskim barze spotkałem człowieka, który niegdyś był zdolnym i dobrze zapowiadającym się kamerzystą w warszawskiej telewizji. Piłany, pełen żalów prawdziwych i urojonych, szerokim gestem zapraszał: Chcesz pan te wszystkie butelki za ladą? Możesz je pan mieć, ja zapłacę, pij pan! — Głowę opuścił na stół, przykrył ją rękami. Rozplakał się. Edyta Wojtczak dalej jest spikerką? — spytał”.

Jeszcze jeden filar rekonesansu naszego autora. Znalazł się w śródmieściu Montrealu, gdzie spotkał pochod organizacji polonii-

nych, zdążających do złożenia wieńców z okazji uroczystości trzeciomałajowych. Podszedł do grupy panów — „osobistości”, jak pisze — i przedstawił się. Rozwinęła się rozmowa: adwokat z Warszawy pytał, czy aktorka Dulęba żyje, piekarz z Krakowa dowiadywał się o szopki, ale najważniejszy powiedział:

„Nie wiem, czy mam się z panem przywitać?, wyjaśniając iż jest delegatem rządu.

— Kanadyjskiego?

— Nie, londyńskiego.

— To znaczy, że pan reprezentuje królową? — spytałem.

Spurpurowiał, ale nie był pewien, czy to moja ignorancja, czy kpina.

— Nie, polskiego.

— Pan jest z Warszawy? — spytałem.

— Nie, legalnego rządu Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie”.

Trudno o bardziej głupi i płaski zapis w odniesieniu do Polonii.

Benedykt HEYDENKORN

Jan Zakrzewski: *Ameryka kanadyjska*, Wydawnictwo Radia i Telewizji, Warszawa 1988 r. str. 240.

Nadesłane nowości wydawnicze

KUROŃ (Jacek). *Wiara i wina. Do i od komunizmu*. Wspomnienia. Str. 371 i 3 nbl. (Wyd. Aneks, Londyn 1989, cena £8, \$US 16).

CHOJECKA-SZEREMETA (Halina). *Koloryt codzienności*. Str. 191 i 1 nbl. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).

Uwierzyć sercem. Str. 246 i 2 nbl. (Wyd. Nasza rodzina, Paryż 1989).

STANISŁAWSKI (Wojciech Jan). *Mrok nocy. Wybór wierszy*. Str. 191 i liczne fotografie. (Wyd. Bronisława Stanisławska, Futura Graphics, Toronto 1989).

Inny Gorbaczow. Str. 52. (Wyd. Wydawnictwo Niepodległość, Warszawa 1989).

WYSOCKI (Stefan). *Polska z oddali — prawda z bliska*. Str. 27. (Wyd. Solidarność Walcząca oddział Trójmiasto, 1989).

KARPIŃSKI (Wojciech). *Herb wygnania*. Str. 219 i 5 nbl. (Wyd. Zeszyty Literackie, Paryż 1989, cena F. 112, \$US 20).

KOMAR (Zenon). *Jak się robi pieniądze? O inwestowaniu, ryzyku i instrumentach finansowych*. Str. 78 i 10 nbl. (Wyd. Puls, Londyn 1990).

HRADYSKA (Irena). *Wywieziona Rzeczpospolita*. Str. 103 i 1 nbl. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

GÓRSKI (Jerzy W.). *Głodne stepy*. Str. 128. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

NADLEROWA (Eugenia). *Wrzesień*. Str. 195 i 5 nbl. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

SZNARBACHOWSKI (Włodzimierz). *Charonowe sianie*. Str. 71 i 1 nbl. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

GAN-GANOWICZ (Rafał). *Kondotierzy*. Str. 186 i 6 nbl. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

LURCZYŃSKI (Mieczysław). *Trzy siostry i inne opowiadania*. Str. 178 i 4 nbl. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

ROSTAFIŃSKI (Wojciech). *Niedostrzeżalne światy*. Str. 168. (Wyd. PFK, Londyn 1989).

NIECIECKI (Stanisław P.). *Pamiętnik kossowski*. Str. 196. (Wyd. Veritas, Londyn 1989).

MUSZKOWSKI (Krzysztof). *Inter alia*. Str. 167 i 1 nbl. (Wyd. OPiM, Londyn 1990).

BAUMAN (Janina). *Zima o poranku. Opowieść dziewczynki z warszawskiego getta*. Str. 245 i 3 nbl. (Wyd. Znak, Kraków 1989).

BONIECKI (Adam, ks.). *Notes rzymski*. Tom 2: 13 grudnia 1983 — 13 kwietnia 1986. Str. 277 i 3 nbl. (Wyd. Znak, Kraków 1989).

CIEŚLIŃSKA (Nawojka, opr.). *Sacrum i sztuka*. Str. 320. (Wyd. Znak, Kraków 1989).

NOWAK (Jan). *Kurier z Warszawy*. Str. 543 i 1 nbl. (Wyd. ResPublica i Znak, Kraków 1989).

HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Inny świat. Zapiski sowieckie*. Str. 324 i 4 nbl. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1989).

DYLAŁOWA (Hanna). *Unia brzeska i unicy w Królestwie Polskim*. Str. 72 (Wyd. Kuria Metropolitalna Warszawska, wydział duszpasterstwa, 1989).

BEDNARSKI (Piotr). *Parsifal*. Str. 176 i 4 nbl. (Wyd. Wydawnictwo Poznańskie, 1989, cena zł 750).

SZELAĞ (Zdzisław). *Literatura zabroniona 1832-1862. Zjawisko — rynek — rozpowszechnianie*. Str. 290 i 2 nbl. (Wyd. Wyższa Szkoła Pedagogiczna im. Jana Kochanowskiego, Kielce 1989).

TURSKI (Topiel). *Laparotomia*. Wiersze. Str. nbl. (Wyd. Niezależna Grupa Twórców Imperatyw, Poznań 1989).

BARAŃCZAK (Stanisław). *Widokówka z tego świata*. Str. 58. (Wyd. Wydawnictwo A-S, Poznań 1989).

SKWARNICKI (Marek). *Spotkamy się w słońcu*. Wiersze. Str. 133 i 3 nbl. (Wyd. Archidiecezji Warszawskiej, Warszawa 1989).

CZERNIAWSKI (Adam). *Jesień*. Wiersze. Str. 64 (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989, cena zł 400).

Białe plamy? Materiały ze spotkania 28.11.1987 Konserwatorium Historii Kultury. (Wyd. Kościół św. Trójcy, Warszawa 1988, str. 116).

DARSKI (Józef). *O dezinformacji komunistycznej*. Str. 60. (Wyd. Wydawnictwo Niepodległość, Warszawa 1989).

KOSTRZEWA (Robert, ed.). *Between East and West. Writing from Kultura*. Str. 274. (Wyd. Hill and Wang, New York 1990).

SPROSTOWANIE

W „Nadesłanych nowościach wydawniczych” (*Kultura* 1-2/1990) zbiegły się wskutek pomyłki technicznej dwie pozycje. Ich poprawne brzmienie jest następujące: 1. DREWNOWSKI (Jan, red.). *Samorzutne procesy rozkładu systemów typu sowieckiego*. (Wyd. PUNO, Londyn 1989, str. 64) oraz 2. STEINER (Rudolf). *Zasadnicze podstawy nowego ustroju społeczeństwa i państwa*. (Wyd. Lohengrin Verlag, Rendsburg RFA, str. 150 i 6 nbl., przedruk wydania z 1933 r.). Przepraszamy.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

25.11.89

Czy to nie przesada? Związek Legionistów Polskich PRL wystąpił z wnioskiem do generała Jaruzelskiego i marszałków Sejmu i Senatu o nadanie członkom tego związku orderu *Virtuti Militari*, awansowania na wyższe stopnie oficerskie i wprowadzenie zasady oddawania żyjącym legionistom honorów, bez względu na ich stopień wojskowy.

27.11.89

Barbara Romanowicz-Jonikas otrzymała doroczną nagrodę Francuskiej Akademii Nauk w dziale astronomii i fizyki globu za prace dotyczące badań poziomych i pionowych ruchów skorupy ziemskiej oraz udział w prowadzeniu programu *Geoscope*. Barbara Romanowicz jest córką znanej pisarki Zofii Romanowiczowej i Kazimierza Romanowicza, znanego paryskiego wydawcy i księgarza.

15.12.89

W Warszawie odbyło się XIV posiedzenie stałej polsko-sowieckiej grupy roboczej do spraw wydawniczych i księgarskich. Podano do wiadomości, że w ciągu marca 1990 r. zostanie zakończone wydawanie „Dzieł wszystkich” Lenina w języku polskim. W związku z tym zaprotokołowano, że w Polsce odbędzie się szereg imprez z okazji 120 rocznicy urodzin Lenina. Jaki był nakład „Dzieł”? Ile tomów rozsprzedano?

22.12.89

Gdyński Dalmor zatrudnił 37 oficerów sowieckich. Są to w pierwszym rzędzie radiooficerowie, oficerowie pokładowi i oficerowie maszynowi. Będą wynagradzani wyłącznie w dolarach — miesięcznie około 500 dolarów. Podobno wynagrodzenie oficerów sowieckich wynosi około połowy płacy oficera polskiego, gdyż średnia płaca polskiego oficera marynarki wynosi około 770 dolarów. Jest to informacja radia Warszawa.

26.12.89

Zmarł w Warszawie w wieku 87 lat Klaudiusz Hrabyk, bardzo znany i kontrowersyjny prawnik i publicysta.

29.12.89

W Warszawie powstał Instytut Historyczny im. Romana Dmowskiego. Komitet założycielski stanowią pp. Jan Zamoyski, doc. dr Tomasz Wituch i Napoleon Siemaszko. Celem tego Instytutu jest działalność badawcza i naukowa oraz wydawniczo-propagandowa w zakresie historii, zgodnie z duchem ruchu demokratyczno-narodowego. Instytut będzie współpracował z emigracyjnym Stronnictwem Narodowym.

30.12.89

Parlament polski uchwalił zmianę nazwy państwa polskiego, które przestało być Polską Rzeczpospolitą Ludową i powróciło do nazwy Rzeczpospolita Polska. Jednocześnie przywrócono polskiemu orłowi koronę oraz zniesiono — uprzednio przewidzianą w konstytucji — kierowniczą rolę partii. Niestety ta

uchwała spowodowała groteskowe dyskusje na temat, jaki kształt powinna mieć korona, ile piór ma być w skrzydłach polskiego orla etc. Postawie zacytują się w dziełach heraldycznych, a przecież sprawa jest prosta: należy powrócić do istniejących międzywojennych wzorów godła R.P. Takim wzorem jest pieczęć Prezydenta R.P. w Londynie. ■ Powstał komitet Funduszu Daru Narodowego. Na jego czele stanął Prymas Józef Glemp, a w składzie komitetu są m.in. Edward Raczyński i Jan Nowak. Lech Wałęsa przekazał na ten Fundusz Pokojową Nagrodę Nobla, którą otrzymał w 1983 r. w wysokości 200 tys. dolarów. ■ Nowym przewodniczącym „Solidarności” Regionu Mazowsze został wybrany Michał Boni, były redaktor *Woli* i zastępca redaktora naczelnego *Tygodnika Solidarność*. W regionie bydgoskim przewodniczącym został Jan Rulewski. ■ Na Fundusz dyspozycyjny Tadeusza Mazowieckiego zebrano w Wielkiej Brytanii ponad 300 tys. funtów.

1.1.90

Z datą „Październik 89” ukazał się pierwszy numer pisma Ukraińców Ziemi Olsztyńskiej pt. *Zorna*. ■ W ub. roku 60 tys. Żydów mogło wyjechać ze Związku Sowieckiego — jest to liczba rekordowa. ■ W Wilnie ukazał się pierwszy numer tygodnika *Znad Wilii*, którego wydawcą jest mec. Czesław Okinicz, a redaktorem — Romuald Mieczkowski. Ponadto zaczął wychodzić dwutygodnik *Magazyn Wileński*. Pisma te można zaprenumerować za pośrednictwem RSW Prasa-Książka-Ruch. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 76 lat Bolesław Jaszczuk, b. wybitny działacz PZPR, wielokrotny minister, który w dużym stopniu przyczynił się do zniszczenia polskiego przemysłu. Od 1971 r. był na emeryturze. ■ W Dubnie, w Instytucie Nuklearnym, zamordowano pracownika naukowego, Polaka Jerzego P., nożem, do którego była przypięta kartka: „Za Lenina w Krakowie”.

8.1.90

Zmarł w Łodzi w wieku 84 lat Marian Piechal, znany poeta, członek grupy poetyckiej „Kwadryga”.

10.1.90

W rejonie Bab-El-Mandeb na Morzu Czerwonym polski statek „Bolesław Krzywousty” został zatrzymany przez Front Wyzwolenia Erytrei. Trzydziestu marynarzy wzięto jako zakładników, a sam statek został spalony. W tym samym czasie drugi statek polski, „Adam Asnyk”, został ostrzelany. Wszystko wskazuje na to, że oba statki przewoziły broń. Sprawa handlu bronią przez Polskę Ludową niestety nadal istnieje, mimo zaprzeczeń polskich czynników wojskowych. Według źródeł angielskich PRL był dziesiątym eksporterem broni (w skali światowej) i obrót bronią wynosił około miliarda dolarów. Jest to jeszcze jedna dziedzina niekontrolowana przez rząd Mazowieckiego.

12.1.90

Został wznowiony tygodnik *Po prostu* pod redakcją Ryszarda Turckiego i Eligiusza Lasoty. Nakład będzie wynosił 40-50 tys. egzemplarzy.

16.1.90

Gazeta Wyborcza podaje, że zostały zlikwidowane następujące pisma: *Stolica*, *Miesięcznik Literacki* oraz pisma regionalne: *Fakty*, *Relacje*, *Krak*, *Profile* i *Przemiany*. Zlikwidowano cztery pisma partyjne wydawane przez RSW Prasa: *Życie Partii*, *Fakty i Komentarze*, *Prezentacje* oraz *Zagadnienia i Materiały*. Na miejsce *Życia Literackiego* ma powstać nowy, zreformowany

tygodnik. Prawdopodobnie ulegną likwidacji pisma regionalne: *Śląsk, Nurt, Nadodrze, Opole, Warmia i Mazury*. Ministerstwu Kultury i Sztuki przekazano następujące pisma: *Kino, Odra, Twórczość, Dialog, Teatr* oraz *Ruch Muzyczny*. Ministerstwo Kultury i Sztuki ma się również zaopiekować pięcioma pismami mniejszości narodowych. Jak dotąd zlikwidowano 29 tytułów.

18.1.90

Prof. Aleksander Gieysztor został wybrany prezesem Polskiej Akademii Nauk (poprzednio pełnił tę funkcję w latach 1980-1983). Wiceprezesem wybrano prof. Władysława Findeisena. ■ Drugi kongres „Solidarności” został zwołany na dni od 19 do 24 kwietnia do Gdańska. ■ W Warszawie rząd zapowiedział odwołanie 19 ambasadorów Polski będących członkami nomenklatury PZPR. Szef polskiej dyplomacji oświadczył, że łatwiej jest dymisjonować, jak powoływać nową kadrę. ■ Ambasadorem Polski w Belgii został mianowany Tadeusz Olechowski, ambasadorem w Wielkiej Brytanii — mec. Tadeusz de Virion, ambasadorem przy Wspólnocie Europejskiej — Jan Kułakowski, sekretarz Międzynarodowej Organizacji Pracy i działacz Chrześcijańskich Związków Zawodowych. Tomasz Jastrun, znany poeta i publicysta, został mianowany kierownikiem Instytutu Polskiego w Sztokholmie.

19.1.90

Prezydent Czechosłowacji, Vaclav Havel, powołał Radę Doradcą spośród uchodźców czechosłowackich na Zachodzie. Rada ta będzie łącznikiem pomiędzy Pragą a krajami ich osiedlenia, zapewniając kontakt w sferze politycznej, kulturalnej i biznesowej. Na czele Rady stanął książę Johannes Karl von Schwarzenberg. ■ Rzecznik prasowy rządu Mazowieckiego oświadczył, że rząd dystansuje się od postulatu Lecha Wałęsy w sprawie opuszczenia Polski przez garnizony sowieckie. ■ Znany historyk sztuki, Barbara Majewska, została mianowana dyrektorem warszawskiej Zachęty. ■ Sąd Wojewódzki w Katowicach zarejestrował stowarzyszenie pn. Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Ludności Pochodzenia Niemieckiego woj. Katowickiego w Gliwicach.

20.1.90

Odbyło się inauguracyjne spotkanie posłów, naukowców, przedsiębiorców, prawników, publicystów i polityków reprezentujących PSL, KPN, ZCHN-Łódź, WPR, Solidarność Rzemieślniczą, ZRI „Solidarność”, którzy uchwaliли powołanie Komitetu Organizacyjnego Towarzystwa Popierania Polskiego Kapitalizmu. Sekretarzem Generalnym Komitetu został Paweł Wohl. Wybrani postanowili jako jedno ze swoich zadań ogłosić białą księgę w sprawie polityki podatkowej. ■ Nowy adres KPN-u: Konfederacja Polski Niepodległej, Nowy Świat 18/20, 00-373 Warszawa. Telefon: 22-26 54 01 w. 265 lub 266.

29.1.90

Po XI Zjeździe PZPR, gdzie powzięto uchwałę o zakończeniu działalności, odbył się Kongres Socjaldemokracji Rzeczypospolitej, przewodniczącym został Aleksander Kwaśniewski, a sekretarzem generalnym Leszek Miller.

1.2.90

Dyrektorem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” został znany historyk, Michał Komar, natomiast prezesem i redaktorem naczelnym Jerzy S. Sito. ■ Zostało rozwiązane wydawnictwo „Książka i Wiedza”. Organizatorem

nowego wydawnictwa został Zbysław Rykowski. ■ Polskie Wydawnictwo Naukowe (PWN) obejmuje Grzegorz Boguta. ■ Katolicki Uniwersytet Lubelski nadał tytuł doktora *honoris causa* prof. Zbigniewowi Brzezińskiemu.

2.2.90

Została zamknięta *Trybuna Ludu*, na jej miejsce powstała *Trybuna Kongresowa* jako organ Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej. Redaktorem naczelnym został Marek Siwiec. ■ Jednocześnie na gruzach PZPR powstała druga organizacja, a mianowicie Unia Socjaldemokratyczna RP. Przewodniczącym został Tadeusz Fiszbach.

13.2.90

Dziennik *Rzeczpospolita*, oficjalny organ rządu, podaje, że Związek Sowiecki zredukował o 1/3 swoje dostawy ropy dla Polski w pierwszym trymestrze bieżącego roku. Czy nie można byłoby usprawnić informacji? Waldemar Kuczyński, szef doradców premiera, w wywiadzie udzielonym *Gazecie Wyborczej* 1-3.12.1989 oświadczył, że dostawy ropy będą utrzymane na dotychczasowym poziomie.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15.12.89

Zmarł w Paryżu René Tavernier, znany pisarz francuski, prezes Międzynarodowego PEN-Clubu, wielki przyjaciel Polski.

3.1.90

Zmarł w Cleveland, Ohio w wieku lat 94 Tadeusz Konopacki, długoletni przedstawiciel *Kultury* na stan Ohio. Jako oficer WP był instruktorem Wojskowego Wychowania Fizycznego, a zarazem kierownikiem popularnego programu radiowego gimnastyki porannej Polskiego Radia.

7.1.90

W ciągu ub. roku 65 reporterów zostało zabitych w trakcie pełnienia obowiązków zawodowych lub zmarło w niewoli — najwięcej w Ameryce Łacińskiej (43 ofiary): 15 osób w Kolumbii, 11 w Salwadorze, 7 w Peru, 4 w Brazylii, 2 w Meksyku, 2 w Ekwadorze, po jednym w Gwatemali i Panamie. W Azji natomiast zginęło w Sri Lanka 4 dziennikarzy oraz po jednym w Bangladeszu, Burmie, Chinach, Korei Południowej, Indiach, Libanie, na Filipinach i w Tajwanie. Zaś w Afryce był jeden zabity w Etiopii oraz po jednym w Somali i w Zambii. W Europie dwóch dziennikarzy zginęło w ZSSR i dwóch w Rumunii i w Turcji.

13.1.90

Polski Uniwersytet na Obczyźnie nadał doktorat *honoris causa* prof. Stanisławowi Swianiewiczowi. ■ Zmarł w Angli w wieku 89 lat ks. infułat W. Staniszewski, wieloletni rektor Polskiej Misji Katolickiej w Anglii.

15.1.90

Stefan Soboniewski ze względów zdrowotnych zrezygnował ze stanowiska naczelnego dyrektora Polskiej Fundacji Kulturalnej. Stanowisko to objął Lucjan Kindlein.

18.1.90

W Klubie „Kontakt” w Paryżu p. Hanna Skarżanka prezentowała program poświęcony polskim kresom pt. „W mojej ojczyźnie”. Tym spotkaniem Klub „Kontakt” zamyka swoją kilkuletnią działalność.

12.2.90

Od 24 stycznia br. do 11 lutego miała miejsce w Brukseli, w Galerie Montjoie kolejna wystawa malarska Jana Lebensztejna.

17.2.90

W Towarzystwie Historyczno-Literackim w Paryżu odbył się odczyt prof. Jana Marczewskiego na temat „Reforma gospodarcza w Polsce”.

23.2.90

W Centre du Dialogue w Paryżu odbyły się w br. następujące odczyty: 26 stycznia Michał Heller (Adam Kruczek) mówił na temat „ZSSR: rewolucja z góry czy wiosna ludów?”; 9 lutego ks. prof. Janusz Pasierb wygłosił odczyt na temat „Kultura wobec natury”; 16 lutego Gabriel Meretik mówił na temat „Białe plamy w najnowszej historii Polski”; 23 lutego Mgr. Virgil Georghiu, duchowny rumuńskiego Kościoła prawosławnego i znany pisarz, wygłosił odczyt w języku francuskim „Le scandale et la sainteté de l'Eglise orthodoxe rumaine”.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Konsul kanadyjski w Chicago, J. Deschens, poinformował, że istnieją trzy programy imigracyjne, którym podlegają Polacy pragnący osiedlić się w Kanadzie — D2, D3 i D4. Pierwszy jest programem bardzo ogólnym i punktowane są w nim: zawód, wiek, znajomość języków obowiązujących w tym kraju, miejsce przyszłego zamieszkania i stan rodzinny; D3 jest specjalnym programem dla Polaków — warunkiem jest dłuższe, nielegalne przebywanie w USA, chęć osiedlenia się w Kanadzie oraz posiadanie tam sponsora; D4 dotyczy osób mających oszczędności nie mniejsze niż 4000 \$ (regularne wpłaty), znających dobrze język angielski, które mogą być kilka miesięcy samowystarczalne finansowo. Konsul ostrzegł przed firmami pośredniczącymi, których pomoc wielokrotnie podwyższa koszty, podczas gdy bezpośrednie załatwienie formalności kosztuje 125 \$. ■ W USA nie ma wydzielonej struktury duszpasterstwa polonijnego (w Europie są misje polskie), a parafie są podporządkowane odpowiednim diecezjom. Jest jedno seminarium duchowne założone w XIX wieku, w Orchard Lake (Michigan). Jest tam też kolegium (*college*) i szkoła średnia oraz największe w kraju archiwum i centrum badawcze Polonii; ostatnio założono tam też Muzeum Armii Krajowej. ■ Założona w 1969 r. w Chicago przez E. Puacza księgarnia „Polonia” obchodziła dwudziestolecie. Księgarnia propaguje wartościową literaturę polską i o Polsce w językach polskim i angielskim. Obecnie jest ona największą poza Polską księgarnią polską i ma zarejestrowanych 15.000 tzw. klientów wysyłkowych. Wydaje cztery razy do roku katalog w dwu językach. Księgarnia jest głęboko osadzona w życiu kraju i Chicago oraz Polonii. Współpracuje z bibliotekami publicznymi w wielu miastach amerykańskich, z bi-

bliotekami uniwersyteckimi oraz z Biblioteką Kongresu USA. Właścicielka, Mira Puaczowa, sponsoruje wiele imprez polonijnych, np. konferencję o Leśmianie, udział prof. N. Daviesa w sesji dotyczącej 70-tej rocznicy odrodzenia Polski, ale też instytucje amerykańskie, np. chicagowską Lyric Opera. ■ Od kilku lat październik jest uznawany — po proklamacji przez Kongres USA — za Miesiąc Polskiej Spuścizny w Ameryce. Z tej okazji prez. G. Bush spotkał się z przedstawicielami Polonii i zapowiedział wystanie do PRL specjalnej misji, która będzie miała ocenić potrzeby polskiego rządu. ■ Płk J. Jurewicz (zbiórki pieniędzy dla KOR-u) oraz B. Piasecka-Johnson otrzymali Nagrodę Dziedzictwa, przyznawaną przez Kongres Polonii Amerykańskiej w stanie Illinois. ■ W październiku z inicjatywy B. Mikulski Federalna Agencja Rozwoju Międzynarodowego przekazała jako dar milion dolarów na potrzeby szpitali wiejskich i Amerykańskiego Szpitala Dziecięcego w Krakowie. ■ W październiku odbył się 25-ty Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Chicago; było wiele polskich filmów, ale dominował mający dobrą prasę K. Kieślowski. ■ A. Michnik mówiąc o Europie wsch. w University of Michigan porównał sytuację w PRL do demokracji amerykańskiej, określił inflację jako głównego wroga podziemnych wydawnictw, Kiszczaka jako dobrego szefa złej policji, a o opozycji pozaparlamentarnej powiedział: „Jeśli potrafią się wpisać w Solidarność realnie istniejącą, wtedy zostaną jej skrzydłem i będę mieć znaczenie”. ■ Bardzo pozytywne artykuły o J. Kuroniu wydrukowały *Washington Post* i chicagowski *Sun Times*; jego wtorkowe telewizyjne wystąpienia porównano do wystąpień prez. Roosevelta w latach Wielkiej Depresji. ■ Związek Narodowy Polski rezygnuje ze sponsorowania radiowych programów w Chicago, a jedna z najstarszych polskich gazet, detroicki *Dziennik Polski*, jest na skraju przepaści i ratuje się połączeniem edycji polskiej i angielskiej. Natomiast w Nowym Jorku istnieją aż dwa kanały telewizji. ■ W prasie polonijnej i amerykańskiej pisano euforycznie o L. Wałęsie, ale część prasy polskojęzycznej wyrażała zaniepokojenie jego „autokratyzowaniem”. Media amerykańskie wytworzyły wokół L. Wałęsy klimat „męża opatrnościowego” i „największego w historii przywódcy robotniczego”. Tłumacz przemówień Wałęsy, J. Kalabiński, w kilka dni później porównał reakcje Amerykanów na L. Wałęsę z reakcją na wszystkie osobliwości (mówił on wprost o reakcji na zwierzątko panda). ■ Biblioteka L. Dundarewa-Ossetyńskiego, licząca 2000 woluminów, została przekazana Muzeum Polskiemu w Chicago. L. Dundarew-Ossetyński był przedstawicielem kultury polskiej w USA, a do teatrów amerykańskich wprowadził Witkacego oraz promował sztuki Grotowskiego. ■ Październikowa wizyta przywódców Kongresu Polonii Amerykańskiej w PRL została przyjęta bardzo krytycznie przez większość działaczy. W rozmowie za A. Hallem niezidentyfikowany członek delegacji powiedział: „Czyż nie można by ograniczyć wydawania paszportów w Polsce kandydatom na wyjazd do USA, gdyż tam nie ma dla nich miejsca” (za warszawską *Panoramą* nr 4/5 i chicagowskim *Relaxem* nr 51). ■ Mieszkający od 1977 w Nowym Jorku, robiący wielką karierę polski grafik J. Wajdowicz uzyskał brązowy medal na International Book Design Exhibition w Lipsku. ■ Biblioteki chicagowskie otrzymały z Joyce Foundation \$ 170.000 na wzbogacenie zbiorów etnicznych. Podział na poszczególne grupy nastąpił w oparciu o cenzus demograficzny z 1980 r.; na polskie książki przypadło \$25.000. ■ W listopadzie 1989 grupa najwyższych urzędników administracji stanu Illinois przedstawiła projekt utworzenia w Warszawie specjalnego ośrodka handlowego tego stanu. ■ 17.11.89 zatwierdzono jednogłośnie program KPA w sprawie finansowania obligacji dla Polski; chęć współdziałania zgłosiło *dwóch* inwestorów amerykańskich (wykupienie obligacji na sumę 25 mln dolarów). Do tej pory w

KPA nie można zdobyć żadnych informacji ani dokumentów. ■ Bezpośrednio po wyjeździe z USA L. Wałęsy władze amerykańskie postanowiły obciążyć liczbę Polaków, którzy mogliby wjechać do kraju jako uchodźcy polityczni. Prawo miało tu działać wstecz, ponieważ oczekujący w obozach w Europie zach. Polacy (i Węgrzy, choć w mniejszych ilościach) już zakwalifikowani na przyjazd do Stanów, też mogą ostatecznie nie otrzymać prawa wjazdu do USA. W ciągu ostatnich ośmiu lat wjechało do USA 33.060 Polaków oraz 5.459 Węgrów; w roku 1988/89 — 3.607 Polaków i 1.075 Węgrów. ■ W związku z tym D. Rostenkowski, opisując sytuację Polaków od lat przebywających w obozach w Europie, wystąpił na forum Podkomisji d/s Imigracji, Uchodźców i Prawa Międzynarodowego z wnioskiem o przyznanie prawa do osiedlenia się 20.000 Polaków, którzy opuścili Polskę przed początkiem 1987 r. D. Rostenkowski skrytykował też decyzję Rady Bezpieczeństwa o zaostrzeniu kryteriów przy rozpatrywaniu polskich podań o azyl polityczny oraz wystąpił z projektem przyznawania corocznie 200.000 wiz samym tylko Polakom (ten projekt jest oceniany bardzo sceptycznie). Z przywódców KPA tylko prezes tej organizacji w stanie Michigan, P.C. Odobina, wystosował w tej sprawie list do prez. Busha, zwracając uwagę na moralną dwuznaczność takiego stosunku do polskich imigrantów. *Time* z 18 grudnia relacjonował wrażenia z pobytu w PRL delegacji amerykańskiej wysokiego szczebla. Podkreślano przerażenie i zdumienie Amerykanów stopniem dekapitalizacji i archaicznością maszyn, brakiem podstawowych struktur ekonomicznych — banków, giełdy, prawa gospodarczego, wymiennalnego pieniądza, doświadczeń w zakresie ekonomii wolnorynkowej, stanem sieci telefonicznej. Jeśli jest to odpowiedź na apele o inwestycje w Polsce, to nie wróży ona wiele dobrego. ■ Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Ameryce w grudniu ostro potępiło przywódców KPA za ich wizyty i wypowiedzi w PRL oraz o ciągłości państwowości polskiej uosobionej w rządzie londyńskim aż do wolnych wyborów w Polsce. ■ Po dwudziestu latach monopolu Związku Narodowego Polskiego w Chicago powstał niezależny polski dziennik, wydawany przez prywatnego wydawcę M. Kuchedę.

Mariusz SZEJNERT

KRONIKA KANADYJSKA

Na University of Toronto utworzono w bieżącym roku akademickim katedrę studiów etnicznych, imigracji i pluralizmu im. Roberta F. Harney'a, profesora zmarłego w 1989 r., który miał być kierownikiem tej katedry. ■ Na University of Calgary zostanie uruchomiona w przyszłym roku akademickim katedra kanadyjskich studiów etnicznych. ■ 9.12.89 r. zmarła nagle na atak serca Iwona Grabowska, wykładowca polskiego i rosyjskiego na York University. Wykładała również dzieje kultury polskiej w ramach programu studiów słowiańskich tegoż uniwersytetu. ■ Rządowym programem inwestycyjnym dla Polski i Węgier kieruje specjalne biuro w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Udziela ono szczegółowych informacji, kompletuje odpowiednią dokumentację i przygotowuje spotkania w Polsce. ■ *Związkowiec* prowadzi zbiórkę na fundusz wyborczy, a *Echo* na Mazowieckiego. W czasie

pobytu w Toronto Lecha Wałęsy przekazano prof. Geremkowi na fundusz wyborczy kilkanaście tysięcy dolarów. Niezależnie od zbiorów o charakterze politycznym, prowadzone są zbiórki na pomoc emerytom, samotnym matkom i na zaopatrzenie szpitali w leki. Te akcje nie są ani skoordynowane, ani scentralizowane. ■ Nowa fundacja im. Władysława i Nelli Turzańskich, mająca na celu „popieranie badań i prac dokumentarnych dotyczących osiągnięć obywateli kanadyjskich polskiego pochodzenia oraz rozpowszechnianie dzieł polskich pisarzy, artystów, naukowców i popularyzowanie ich wkładu w kulturalne, naukowe i estetyczne dziedzictwo świata zachodniego”, przyznała 20.10.89 r. nagrody za 1988 rok. Nagrodę w wysokości dol. 1.500 otrzymał Wacław Iwaniuk za całokształt twórczości literackiej; dol. 1.000 otrzymał dr Mirosław Kułakowski za pracę „Marynarka Wojenna Polski Odrodzonej”. Nadto przeznaczono: dol. 2.500 na cele wydawnicze KUL-u; dol. 5.000 na katedrę historii Polski (w rocznych ratach po dol. 1.000). ■ Według oficjalnych danych MSZ w Ottawie w 1986 r. złożono w konsulacie kanadyjskim w Warszawie 14.321 podań o przyznanie wizy na pobyt czasowy w Kanadzie. Przyznano 13.091 wiz, czyli załatwiono odmownie 1.230 podań. W 1987 r. wpłynęło 20.350 podań, przyznano 19.160 wiz, a odmówiono 1.190 osobom. Wreszcie w 1988 r. wpłynęło 26.761 podań, pozytywnie załatwiono 25.226, odmownie — 1.335. Na stały pobyt przyznano w 1986 r. wizy 1.296 osobom, w 1987 — 2.137, a w 1988 r. 2.170; załatwiono odmownie: w 1986 r. 413 podań, w 1987 r. — 228, a w 1988 r. — 198. W 1989 r. rozpatrzono 13.537 podań o status uchodźcy. Odrzucono 550, w tym 40 Polaków. Podania 5.306 osób rozpatrzono po apelacji powtórnie. Z tej liczby status uchodźcy przyznano 4.744 osobom, a odmówiono go 562, w tym 32 Polakom. Nie zapadły jeszcze decyzje odnośnie 1.100 osób, a na przesłuchanie czeka kilkanaście tysięcy ludzi. Ile osób, którym przyznano wizy na pobyt czasowy pozostanie legalnie, zdoła uzyskać status imigranta — nie sposób przewidzieć. Znaczna liczba Polaków przybyłych do Kanady z wizami turystycznymi, którzy następnie zgłosili się jako uchodźcy, dotychczas nie ma uregulowanej sytuacji. Specjalne komisje obecnie ich przesłuchują. ■ Barbara McDougall, minister Zatrudnienia i Imigracji, złożyła w Izbie Gmin ramowy plan imigracji na rok 1990. Przewiduje on przyjęcie 165 do 175 tys. imigrantów, w tym 13.000 uchodźców, których poręczycielem będzie rząd. Z Europy Wschodniej przewidziano przyjęcie 3.500 osób, z południowo-wschodniej Azji — 3.500, z Ameryki Łacińskiej — 3.000, z Afryki — 1.000, ze Środkowego Wschodu i Zachodniej Azji — 1.700 (300 miejsc stanowi rezerwę dla pozostałych krajów). Minister podkreśliła, że podstawą planu jest łączenie rodzin i przewidziano w tej kategorii około 61 tys. imigrantów. Przewidziano również udzielenie około 6.000 osób wiz ze względów humanitarnych. ■ 6 stycznia br. wybuchł pożar w budynku konsulatu generalnego PRL w Toronto. Straty wynoszą około 3 mln dolarów. Kanadyjski *Głos Polski* wystąpił z nieprawdopodobnym apelem: „Droży Czytelnicy! Odpowiadając na apel serca i duszy tych, którzy nie oglądając się na bolesne jeszcze różnice pospieszili z pomocą placówce Rzeczypospolitej, poddajemy pod Waszą ocenę propozycję 'Pojednania' — Akcja na rzecz odbudowy Konsulatu Odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej. Czekamy na odzew”. Bez komentarza. ■ Kongres Polonii Kanadyjskiej nie włączył się do akcji „Dar Narodowy” na skutek telefonu prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, p. Moskala, który zakomunikował, że jego nazwisko zostało umieszczone w apelu bez porozumienia się z nim. ■ Komunistyczna *Kronika Tygodniowa* w ostatnim numerze z ubiegłego roku

ogłosiła apel do czytelników o pomoc, gdyż pismo stoi w obliczu likwidacji. Tymczasem w b. roku ukazały się dalsze dwa numery, a więc dotacja jest kontynuowana. Ciekawe, jaka instytucja w Polsce nadal to pismo finansuje. ■ W Montrealu zmarł 7 stycznia br. w wieku lat 94 dr Tadeusz Brzeziński, ostatni konsul generalny R.P. w Kanadzie. Przybył na tę placówkę w październiku 1938 r. i pozostał na niej do cofnięcia uznania rządowi R.P. Został w tym kraju jako uchodźca polityczny. Znał doskonale Polskę, włączył się szybko i stał się jednym z jej najbardziej znanych przywódców. Piastował różne godności do prezesa Okręgu Montreal i Rady KPK włącznie. Wzywał do czynnego udziału w życiu publicznym Kanady, co umożliwiłoby działanie na rzecz Polski i zapewniłoby należne miejsce w tym kraju. Proponował w artykułach ogłoszonych w numerach 1-2, 3, 5 *Kultury* z 1957 r. porozumienie wszystkich organizacji emigracyjnych na świecie, utworzenie odpowiedniej reprezentacji, która jego zdaniem mogła lepiej i więcej działać aniżeli rząd R.P. na uchodźstwie. Sugestia ta nie spotkała się z odzewem. Ośrodek londyński odrzucając ją zaznaczył, iż organizacje społeczne mają i winny mieć inne zadania i cele. ■ W Toronto zmarł po dłuższej chorobie w wieku lat 85 ks. prałat Franciszek Pluta, poprzedni delegat rządu R.P. na Kanadę. Był pierwszym proboszczem parafii polskiej w London, Ont. Uformował ją, zbudował kościół, patronował różnym inicjatywom i akcjom polonijnym. Po opuszczeniu parafii Matki Boskiej Częstochowskiej — tj. po osiągnięciu wieku emerytalnego — przeniósł się do Toronto, skąd posługiwał w parafiach polskich, był czynny w organizacjach polonijnych.

B.H.

Toronto, 29.I.1990

Z ostatniej chwili

JAPOŃSKA POMOC GOSPODARCZA DLA POLSKI

Faktyczny stan zadeklarowanej pomocy:

- Paźdz. 89: \$ 40 mln — fundusz żywnościowy, w ramach ODA (*grant aid*)
 Listop. 89: \$ 150 mln — fundusz „stabilizacyjny”, ODA (*loan aid*)
 Stycz. 90: \$ 25 mln — fundusz żywnościowy, ODA (*grant aid*)
 Stycz. 90: \$ 25 mln — „pomoc techniczna”, ODA (*technical aid*)
 Stycz. 90: \$ 500 mln — kredyty rządowe na modernizację gospodarki; tzw. *official flows* w ramach Jap. Współpracy Gospodarczej, realizowane przez Exim Bank of Japan, w formie kredytów eksportowych lub inwestycyjnych.
 Stycz. 90: \$ 350 mln — gwarancje rządowe dla inwestycji prywatnych.

Pod względem wartości powyższa pomoc spada do trzech następujących kategorii:

- 1) ODA (Oficjalna Pomoc Rozwojowa), w danym wypadku: *grant aid* i *technical aid* (bez obciążeń spłatowych) oraz *loan aid* (o niskiej, 3% stopie oprocentowania); łącznie \$ 240 mln.
- 2) Kredyty rządowe (łącznie \$ 500 mln).
- 3) Gwarancje rządowe dla kapitału prywatnego — łącznie \$ 350 mln.

W odniesieniu do wyżej wymienionych kategorii, premier Kaifu podpisał w Warszawie trzy umowy pomocy/współpracy gospodarczej z Polską. Umowy w kat. 1) i 2) są *wiążące*, z tym, że w kat. 2) zależne od dalszych konkretnych porozumień. Umowa w kat. 3) zależy, oczywiście, od zainteresowania prywatnego kapitału japońskiego.

Realizacja powyższego:

\$ 40 mln funduszu (pierwszego) żywnościowego — finalizacja pocz. grudnia 1989 (Warszawa). Dostawy od połowy stycznia 1990.

Pomoc techniczna — pierwsza misja JICA* w Warszawie w dniach 27 stycz. - 5 lutego 1990, celem uzgodnienia pierwszego etapu szkoleniowego dla polskich kadr technicznych w Japonii.

Modernizacja gospodarki (kredyty rządowe \$ 500 mln).

Specjalna misja rządowa przybywa do Polski w połowie kwietnia br. celem uzgodnienia kredytów rządowych na odbudowę gospodarczą. Strona japońska przewiduje wykorzystanie/przeznaczenie pomocy w następujących dziedzinach:

- modernizacja różnych gałęzi przemysłu przetwórczego (spożywczego) i konsumpcyjnego;
- technologiczacja mniejszej i średniej wielkości przedsiębiorstw w Polsce;
- technologiczacja sektorów ochrony środowiska.

Inwestycje prywatne

Specjalna misja przemysłowo-rządowa (pod egidą jap. Ministerstwa Komunikacji) ma przybyć do Polski w marcu br. celem zbadania japońskich możliwości inwestycyjnych w sektorze telekomunikacji.

P.S.: Sprawa \$ 150 mln *loan aid* wiąże się z funduszem stabilizacyjnym państw Zachodu, sterowanym z Brukseli, lecz ma być również poruszona w rozmowach misji rządowej w kwietniu br.

(opracowanie na podstawie źródeł japońskich)

* JICA (Japan International Cooperation Agency) — agencja rządowa (podlegająca jap. MSZ) która realizuje pomoc rządową w ramach ODA.

Amherst, 29.1.1990

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W swoim liście (*Kultura* 1-2/1990) p. Woroszyński sugeruje, iż moja z nim rozmowa wspomniana w tekście „Poza marginesem” (*Kultura* 11/1989) nie mogła mieć miejsca, bowiem „w roku akademickim 1955/56” nie było go w kraju. Nie napisałem, że odbyła się ona w obrębie tego czasu. Napisałem: „Nie pamiętam daty”. Mam też wątpliwości, czy ściśle jest to, czego p. Woroszyński dowiedział się „obecnie” o Jerzym Braunie. W rzeczywistości na podstawie amnestii z 3.V.1956 jego wyrok dożywocia obniżono do 12 lat. Nie wiadomo mi, aby został wtedy uwolniony. (Na „urlop”, z gruzlicą, wyszedł uprzednio mój ojciec). Dopiero na interwencję Prymasa Wyszyńskiego w dn. 10.XI.1956 wyrok Jerzego Brauna został zamieniony przez Radę Państwa z 12 na 10 lat, z równoczesnym zawieszeniem reszty wyroku na 3 lata. Po tym wyszedł z więzienia. W końcu 1957 jego wyrok uchylono, a w 1958 został zrehabilitowany. Te fakty i daty nie zdają się wykluczać mojej rozmowy z p. Woroszyńskim, po jego powrocie do kraju, o sytuacji mego ojca i mego stryja, gdy stryj jeszcze siedział lub gdy ubiegał się o rehabilitację, był ciągle zagrożony i potrzebował pomocy. Fakt, że stryj siedział w latach 1948-1956 jest bezsporny. Nic nie wskazuje na to, aby którykolwiek z partyjnych pisarzy przyczynił się do wypuszczenia go z więzienia. Rozumiem, że byłem dla p. Woroszyńskiego nieważnym interesatem. Do jego twórczości i życia — po okresie gdy był komunistycznym literatem — odnoszę się z należnym szacunkiem. Jego list zdaje się jednak dowodzić, że jeszcze i dziś nie czuje się on współodpowiedzialny za losy takich ludzi jak Jerzy Braun w czasach stalinowskich.

Z wyrazami wysokiego poważania,

Kazimierz BRAUN

Marsylia, 21 grudnia 1989 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Andrzej Dobosz w znakomitym artykule „O słowach nowych i starych” (*Kultura*, nr 12/507 z 1989 r.) pisze o ładnej polszczyźnie i jej psuciu przez niektórych autorów. Nawiązując do opinii prof. Kurkowskiej o „humanistycznych intelektualistach”, rzuca on (na stronie 39) pytanie: „Jak określić matematyka Hugo Steinhausa, bezwzględnie przestrzegającego reguł dobrej polszczyzny?”. Znałem dość dobrze prof. Hugona Steinhausa i myślę, że właśnie dlatego, że przestrzegał on reguł dobrej polszczyzny, nie spodobałoby się mu użycie nieodmiennej formy jego imienia.

Łączę wyrazy wysokiego poważania

Józef HURWIC

Listy do Redakcji

Lille, 15.01.1990

Szanowny Panie Redaktorze,

W moim tekście pt. „Trzy oddechy literatury emigracyjnej” (*Kultura* 1990, nr 1-2) odnajduję dwie istotne pomyłki na str. 157, które zrodziły się, jak łatwo mi ustalić z porównania maszynopisu z tekstem drukowanym, przez opuszczenie wersów. W efekcie tych lapsusów okazuje się, iż „wszystko co najważniejsze” O. Watowej należy do felietonistyki radiowej, zaś „Uciekinier z utopii” został napisany przez T. Burka, co jest jawnym nonsensem.

W rzeczywistości dwa feralne zdania brzmią następująco:

1. „Jednocześnie jednak uderza w oczy pewna niedostateczność każdej typologii, w sytuacji, gdy proza współczesna, przeżywając stan wewnętrznego wrzenia, rozsadza dotychczasowe formuły, wdziera się na nowe pola, zawłaszczając sobie diariusz („Miesiące” K. Brandysa, „Dziennik pisany nocą” Herlinga, „Dziennik 1954” L. Tyrmanda), scenariusz filmowy („Przyznaję się do winy” R. Bugajskiego), felieton radiowy („Wspomnienia polskie” W. Gombrowicza), zapis wspomnieniowy („Wszystko co najważniejsze” O. Watowej)... itd.

2. „Obok nich pojawiła się jednak szeroka grupa twórców, proponujących zbiory wprost nawiązujące do utrwalonych ideałów („Solidarność i samotność” A. Zagajewskiego, „W poszukiwaniu królestwa człowieka” E. Bieńkowskiej), przechylające się ku modelowi krytyczno-literackiemu („Uciekinier z utopii” S. Barańczaka, „Polskie, arcy-polskie” A. Wernera, „Zadnych marzeń” T. Burka, Nyczek, Karpiński)... itd.

Byłbym wdzięczny za zamieszczenie sprostowania, gdyż te typowo drukarskie omyłki rodzą przypadkowo informacje całkowicie błędne, nie zawinione przeze mnie, krzywdzące autorów mylną atrybucją, pominięciem lub błędnym przypisaniem do innej grupy. Ponieważ dotyczy to autorów i dzieł wybitnych, sprostowanie uważałbym za konieczne.

Łączę wyrazy szacunku

Stanisław BEREŚ

W wydawanym przez środowisko krakowskiej *Arki* dwutygodniku *Świat*, w numerze z 17 października 1989 r. ukazał się mój artykuł pt. *Suplement do Rokity*. Z artykułu tego redakcja *Świata* bez mojej wiedzy i zgody usunęła następujące post scriptum:

„P.S. W tymże samym numerze *Świata* (chodzi o numer 9, przyp. z 4.I.1990) Ryszard Terlecki wysunął nader ciekawą hipotezę, iż robotnicy, którzy w Oświęcimiu krzyčili do amerykańskich Żydów *Juden raus!* nie żywią względem Żydów żadnych niechętnych uczuć, a po prostu nie znają języków obcych. Jednak przyjęcie hipotezy Terleckiego może się dlań okazać niemiłe, jako że podsuwa pytanie: skoro nie znają języków obcych, to dla czego akurat ten okrzyk mieli na swoim, by tak rzec, podorzędzi językowym.

Zachodzi również domniemanie, że zleceniodawca przebudowy byłego magazynu „cyklonu” na klasztor nie powiedział owym robotnikom, co się tu kiedyś mieściło i czemu służyło. Sam Terlecki zdaje się nie wiedzieć, że przy pomocy „cyklonu”, tj. w komorach gazowych mordowano jedynie Żydów i Cyganów, w związku z czym „oddzielanie” owego magazynu od *Vernichtungslager Birkenau* jest, jak na gust niektórych ludzi, sofistyką zbyt daleko posuniętą”.

Odczekałem do początku listopada w nadziei, iż redakcja *Świata* wykona jakikolwiek gest, który dowodziłby, iż rozumie na czym polega absolutna niedopuszczalność takiego postępowania. Milczenie. Po upływie tego czasu zatelefonowałem do jednego znanego mi osobiście współredaktora czasopisma. Wyraził osobiste oburzenie, stwierdził, iż usiłował sprawę wyjaśnić, ale mu się nie udało. Powiedziałem mu, że redakcja miała pełne prawo odrzucić artykuł w całości i że nie żywiłbym z tego tytułu żadnych pretensji. W obecnej sytuacji sędzę, że redakcja powinna publicznie powiedzieć, iż samowolnie usunęła z mego artykułu fragment polemizujący z artykułem dotyczącym sprawy klasztoru ss karmelitanek w Oświęcimiu i po prostu przeprosić poszkodowanego. Rozmówca mój zapewnił mnie, że tekst taki ukaże się w najbliższym numerze *Świata*. Po bez mała trzech tygodniach zatelefonował do mnie z Krakowa Ryszard Terlecki, powiedział mi, że to on usunął ów polemizujący fragment, ponieważ wydał mu się niejasny i że jest mu przykro. Odczytałem mu cytowane przed chwilą post scriptum i zapytałem, w czym upatruje niejasności. Odpowiedział, że już nie pamięta. Powtórzyłem wówczas to, co powiedziałem poprzedniemu rozmówcy. Od tego czasu ukazały się dwa numery *Świata*, pismo przestało się ukazywać, zapowiadając zarazem starania o legalizację w nie dającej się przewidzieć przyszłości. O sprawie okaleczenia mego artykułu ani słowa.

Zarówno środowisko *Arki*, dla którego żywię wiele sympatii, jak i redakcja *Świata* określają się jako konserwatywne. Żywiłem dotychczas i żywię nadal przekonanie, iż do niezbywalnych cech postawy konserwatywnej powinny należeć dobre manieri. Okazuje się jednak, że niektórym konserwatyście zapomniało powiedzieć, że przy stole się nie siorbie, nie ciamka i nie czka. Do podzielenia się tymi informacjami z redaktorami *Świata* zostałem niestety zmuszony przez nich samych. Mam nadzieję, że skorzystają z nich w przyszłości.

LEOPOLITA

4.I.1990 r.

Lawrence, Kansas, w styczniu 1990 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uprzejmie proszę Pana Redaktora o zamieszczenie w *Kulturze* krótkiego sprostowania i małego komentarza na marginesie artykułu Wojciecha Skalmowskiego pt. „Mickiewiczowski 'wskrziesiciel narodu'” (*Kultura* nr 1-2, 1990).

Autor artykułu myli się pisząc, że na temat „matki obcej” Mickiewicza była na Międzynarodowym Kongresie Sławistów w r. 1985, w Waszyngtonie „osobna sesja”. Nasza biedna polonistyka na tym kontynencie nie dostąpi nigdy chyba zaszczytu tak specjalistycznej sesji. Natomiast komitet ustalający program przyjął mój referat pt. „Of an Alien Mother — Was Adam Mickiewicz of Jewish Descent?” jako tzw. *individual paper*, bo właśnie żadnej sesji, w której by się zmieścił, nie było. Ten tytuł i nazwisko autora, czyli moje, widniały oczywiście w programie. O czym Wojciech Skalmowski może się łatwo przekonać, o ile zachował program na pamięć.

Wojciech Skalmowski myli się twierdząc, że „z matki obcej” podstawił Mickiewicz pod Towiańskiego, gdy się zdecydował z niego zrobić „wskrziesiciela narodu”. Wręcz przeciwnie. Z jedenastu wierszy, we własnym przekładzie francuskim Widzenia ks. Piotra wyłączył zdanie o matce obcej. Wspomina o tym Weintraub w nocie cytowanej w przypisku, w artykule Skalmowskiego. I to pominięcie daje do myślenia.

Genialny Boy napisał sześćdziesiąt lat temu o mickiewiczologach, że „wszystko biorą od strony idei, a nie od strony ludzi”. Uwaga Boya jest i dziś aktualna. Pewnie, jeśli się „matkę obcą” oderwie od Mickiewicza, jeśli się zignoruje fakt, że mesjanizm polski stylizował się na mesjanizm żydowski (o czym pięknie pisał Kleiner), o ile się pominie Litwę neofitów pospolitych i „dystygowańszych” (uszlachconych przez Stanisława Augusta), Misję ks. Turczynowicza, której działalność zdołała nawrócić kilka tysięcy Żydówek i kilkuset Żydów, no i o ile się będzie uparcie milczało o frankistach, to można sobie snuć domysły, że Barbara po grecku znaczy obca, lub że „matka obca” to Polka-Litwinka, czyli obca dla kronikarzy. Tylko wtedy musi się zrozumieć, że te pomysły zawieszono są w całkowitej próżni i że ktoś inny może wystąpić jeszcze z setką podobnych rozwiązań. Z żadną rzeczywistością, nawet jak najbardziej literacką, nie mają one jednak nic wspólnego. Za to jeśli się pamięta o wypowiedzi Branickiego — „ojciec mój z Mazurów, a matka Majewska z wychrztów”, tak cytował Branicki poetę — o złośliwościach satyrycznego czasopisma *Pszonka*, o relacji Karoliny Jaenisch i o wielu jeszcze innych okolicznościach, to wtedy żadna teoria „zga-dywana” nie wytrzymuje ani konkurencji z tezą „żydowską”, ani próby zdrowego rozumu. A że Polacy woła wołać „nie pozwalam” niż dopuścić do zżydzenia Mickiewicza? To nic, samych faktów przecież to nie zmieni. A w mickiewiczologii trzeba się do przekręcania faktów lub ich przemilczania przyzwyczaić.

Węzły życia Adama Mickiewicza, narodziny z „matki obcej”, zagadkowa decyzja ożenienia się z frankistką Celiną Szymanowską i śmierć poety w Konstantynopolu w tajemniczych bądź co bądź okolicznościach podczas prac nad projektem Legionu Żydowskiego zahaczają o świat Żydów. Tematykę tę wykrojono tak gruntownie i umiejętnie, że nie pozostały po niej nawet „białe plamy”.

Prawda, że mickiewiczologów często ponosi fantazja. Ale nie sądzę, żeby podjęli tezę Skalmowskiego, jakoby rosyjska wymowa tajemniczej liczby z Widzenia była testem polskości i aby „wskrzesiciel narodu” miał się podać próbie, po to aby niezawodnie okazać się Polakiem...

Proszę, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy szacunku i pozdrowienia,

Jadwiga MAURER

Monachium, w styczniu '90

Szanowny Panie Redaktorze,

Swego czasu Józef Mackiewicz liście do *Kultury* (1965, nr 6) przypomniał ukaz cara Aleksandra II z 1864 r., zezwalający na publikację wszystkiego, cokolwiek się dzieje na przewodzie sądowym, bez jakichkolwiek skreśleń. Intencją Mackiewicza było podkreślenie roli działu „Listów do redakcji” w *Kulturze*, który dla wielu osób stał się jedyną możliwością wyrażenia pewnych stanowisk i myśli. Pozwalam sobie prosić Pana o zamieszczenie mego listu, widząc w tym właśnie jedyną możliwość sprostowania pewnych poglądów dotyczących procesu sądowego i okoliczności, które do niego doprowadziły.

W lutym 1988 r. otrzymałem wymówienie z Radia Free Europe, gdzie byłem zatrudniony od marca 1983 r. na stanowisku redaktora w Sekcji Polskiej. 18 grudnia 1989 r. Krajowy Sąd Pracy (*Landesarbeitsgericht*) w Monachium orzekł, że mój stosunek pracy z RFE nie został rozwiązany, bowiem wypowiedzenie było sprzeczne z prawem (& 134 BGB — kodeks prawa cywilnego). Kopię wyroku — numer sprawy 4 Sa 881/88 — załączam.

Tyle w kwestii formalnej. Główną przyczyną mego listu jest jednak szereg okoliczności towarzyszących wypowiedzeniu i procesowi: chodzi o nieprawdziwe wersje na temat przyczyn zwolnienia mnie z RFE. Otóż jedyną i — w odpowiedzi na kolejne pytania sądu — uparcie powtarzaną przez adwokata rozgłośni przyczyną wypowiedzenia miały być moje spowodowane chorobą nieobecności w pracy. Osobiście uważam, że był to jedynie pretekst, a rzeczywiste przyczyny zwolnienia mają charakter polityczny.

Nie postawiono mi żadnego zarzutu dotyczącego mej pracy albo postępowania. Wiem natomiast o krążących — także poza Monachium — pogłoskach, jakoby powodem wypowiedzenia były:

- kradzież, której dopuściłem się w RFE;
- symulowanie chorób;
- szantaż wobec dyrektora Sekcji Polskiej RFE p. Łatyńskiego (że to nieprawda, oświadczył sam p. Łatyński w trakcie innego procesu przed sądem pracy w Monachium — nr sprawy 11 Ca 12290/88; kopię protokołu sądowego załączam);
- stałe konflikty z kolegami w pracy.

Wymieniam zaledwie te wersje, które najczęściej się powtarzały. Rzecz cała może i nie warta byłaby publicznej wypowiedzi (w dzisiejszych czasach kursuje wiele nieprawdziwych poglądów o ludziach i sprawach, najczęściej politycznych, których nikt nie jest w stanie sprostować), gdyby nie przykry

dla mnie fakt, że podobne opinie rozeszły się dość szeroko i dotarły także do instytucji, w których starałem się znaleźć pracę (W RFE wielokrotnie mi oświadczano, że rozgłośnia nie życzy sobie mego dalszego zatrudnienia). Znów ograniczę się do kilku przykładów: szef Sekcji Wschodnioeuropejskiej radia Deutschlandfunk w Kolonii powiedział mi w 1988 r.: „po tej historii z 'Wolną Europą' nie dostanie pan pracy w żadnej rozgłośni”. Na dwa podania, które skierowałem do Sekcji Polskiej Radia France Internationale w Paryżu, nie dostałem w ogóle odpowiedzi. Wicedyrektor Sekcji Polskiej radia Voice of America oświadczył jednemu z moich przyjaciół w Gdańsku, że sprawa mego zwolnienia z RFE jest „co prawda przykra, ale sam jestem temu winien”. Plotka, jakobym przywłaszczył sobie meble z RFE i dał tym samym powód do wypowiedzenia, dotarła także do Prezydenta R.P., śp. Kazimierza Sabbata. Choćby dla wymienionych tu przyczyn sprawa — jak Pan widzi — jest dla mnie niebłaha. Wdzięczny zatem będę, jeśli zechce Pan list mój w *Kulturze* zamieścić.

I jeszcze jedno, tytułem informacji. W szeroko rozpowszechnianym liście, który dyrektor Radia Free Europe A. Ross Johnson skierował do Pana 21 września '89, znajduje się m.in. następujący passus:

„Jeżeli chodzi jednak o Zdzisława Najdera, który opuścił RFE w 1987 roku, cieszymy się z jego powrotu na naszą antenę. Jest on znakomitym i powszechnie szanowanym autorytetem w polskich sprawach”. Natomiast w trakcie mego procesu przeciwko RFE, adwokat radia, reprezentujący prezydenta RFE-RL p. Pella, oświadczył w piśmie z 12 lipca 1989 r. że p. Najder został z rozgłośni usunięty dn. 30 września 1987 r. z powodu roli, jaką odegrał w sprawie zniesławienia mnie przez jednego z pracowników Sekcji Polskiej (w sprawie tej zmuszony byłem opublikować oświadczenie — zob. *Kultura* nr 12 z 1987 r.) oraz z powodu innych zarzutów dotyczących jego (Najdera) zachowania. Adwokat RFE określił postępowanie Najdera jako „w najwyższym stopniu pożałowania godne” (*höchst bedauerlich*). Kopię odpowiedniego ustępu z pisma adwokata RFE załączam.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

Tomasz MIANOWICZ

Kraków, 4.1.1990

Szanowny Panie Redaktorze,

Albo Jaruzelski jest osobą „wymuszoną” przez geopolitykę — tak można by tłumaczyć paniczny strach naszych deputowanych (zwłaszcza ratującej generała dziewiątki: Wielowiejski, Stomma, Paszyński, Szymanderski, Trzciakowski, Kulerski, Stelmachowski, Miłkowski, Bernatowicz): nie wybieramy go, to zaturkoczą zaprzyjaźnione czołgi. Ale w takim razie jest on, podobnie jak pomnik Lenina jeszcze wczoraj stojący w Nowej Hucie, znakiem niesuwerenności Polski. Haraczem płaconym moskiewskiej centrali za ograniczoną autonomię? Czy jednak udzieliwszy błogosławieństwa Mazowieckiemu Gorbaczow rzeczywiście wciąż chce utrzymywać „swojego człowieka” w „niepewnej” Warszawie? Na kształt ks. Konstantego w Belwederze, rosyjskiego wodza napoleońskich szwoleżerów? Jeżeli takie są katagoryczne żąda-

nia silniejszego sąsiada, niech nasz rząd da to wyraźniej odczuć opinii publicznej, przyglądającej się z pewną zazdrością potokowi wolności za południową i zachodnią granicą Polski, gdzie spadają jak przegniłe gruszki i Honecker i Krenz i Husak i Ceausescu, a prezydentem Czechosłowacji zostaje Havel, niedawny więzień...

Jeśli natomiast Autor Stanu Wojennego został narzucony nie przez geopolitykę, ale zwyczajnie przez pakt nieagresji z PZPR, to respektowanie tego paktu w chwili, gdy partia komunistyczna znajduje się w agonii świadczy nie tyle o poczuciu rzeczywistości i realizmie, ile raczej o zdumiewającym braku pomysłu na niepodległość wśród naszych elit politycznych, bez śladu wyobraźni upierających się, by zachować PRL-owski skansen z Jaruzelskim, Kiszczakiem czy Siwickim i wysyłającym MO dla obrony spiżowych portek Wodza Rewolucji na nowohuckim placu... Gdy tymczasem fala rwie do przodu, aż dech zapiera.

I jeszcze sprawa natury, rzekłbym, honorowej. Jeśli — jak się z solidarnościowej prasy i z telewizora ustawicznie mruga w naszą stronę — generał Jaruzelski naprawdę przejrzał na oczy niby Szaweł w Damaszku i tylko ratowanie Ojczyzny ma na względzie, nie dbając o władzę czy zaszczyty, to czy nie najwłaściwiej by uczynił, rezygnując z prezydenckiego fotela? Wie chyba, w jakich okolicznościach go zdobył...

Wreszcie ostatnie: Sejm i Senat przywróciły zarówno nazwę Rzeczpospolita Polska jak koronę godła państwowemu. Można obawiać się z Janem Józefem Lipskim, że jeszcze za wcześnie na gesty, skoro mamy na razie tylko na pół wolną Polskę. Co gorsze jednak, nikomu z naszych posłów i senatorów uchwalających radykalną zmianę dekoracji bez równie radykalnej zmiany treści nawet do głowy nie przyszło wyrazić wdzięczność tym, co porzuceni przez sojuszników, w najtrudniejszych latach ucisku podtrzymywali symbole suwerenności państwa i narodu, przypominając ustawicznie o uzurpatorskim charakterze narzuconych przez Związek Sowiecki rządów PZPR. Zabrakło słów podziękowania Prezydentowi i Rządowi RP na obczyźnie. Wstyd, panie Marszałku Senatu.

Jan PROKOP

Warszawa, 22 grudnia 1989

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Grube łamanie praw autorskich, „złe obyczaje”, „gangsterskie metody” niestety nie ograniczają się do wydawnictw krajowych — uprawiają je również wydawnictwa emigracyjne.

Redakcja *Zeszytów Literackich* bezprawnie, bez mojej zgody jako spadkobiercy Mirona Białoszewskiego, drukowała nigdzie przedtem nie publikowane i nie objęte zbiorowym wydaniem utwory jakoby Białoszewskiego. Trudno mi stwierdzić, na czym opiera się redakcja *Zeszytów Literackich* i jakiej proveniencji są dostarczane im teksty podawane za utwory M. Białoszewskiego. Wysłałem w tej sprawie dwa listy — jeden do redaktora Stanisława Barańczaka, który potwierdził odbiór. Niestety po tych listach redakcja *Zeszytów Literackich* ciągle robi to samo.

Ośławiona „Alfa” oraz „Młodzieżowa Agencja Wydawnicza” przynaj-

mniej wyplacają, i to dość dobrze, za nieprawne wydrukowanie. Natomiast *Zeszyty Literackie* nie płacą ani się nie zgłaszają.

Nie wszystkie numery *Zeszytów Literackich* były mi dostępne. W dostępnych mi *Zeszytach* wydrukowano nieprawnie następujące teksty:

„Kabaret Kici-Koci”, *ZL* Nr 5 (zima 1984 r.), str. 5-11;

„Rajza”, „Obóz ZMP”, „Chamowo (fragment I i fragment II)”, *ZL* Nr 11 (lato 1985 r.), str. 13-31;

„Pora złych snów — dwusen wrześniowy”, „Dzwonosen wrześniowy”, *ZL* Nr 23 (lato 1988 r.), str. 6-8.

Trudno będzie w Polsce zmienić coś na lepsze, bo złe obyczaje i nawyki towarzyszą Polakom wszędzie.

Łączę wyrazy najwyższego szacunku i poważania

Leszek SOLIŃSKI

SPROSTOWANIE

W związku z tłumaczeniem mojego artykułu z *Foreign Office*, który ukazał się w grudniowej *Kulturze* z 1989 r. pt. „Postkomunizm i dążenia narodowościowe” muszę stwierdzić, że zrobiono skróty, których ze mną nie uzgodniono, a co gorsze, przynajmniej w jednym wypadku, dopisano zdanie, którego nie było w moim artykule. Odnosi się to do tłumaczenia w ostatnim akapicie na str. 53 *Kultury*. Tłumacz opuścił tu cały ustęp, a zdanie dodane jest nie tylko złe, ale jednocześnie sprzeczne z tym, co ja właśnie mówię w drugim akapicie na str. 54, specjalnie w związku ze wzrastającym konfliktem węgiersko-rumuńskim.

Ważniejszy jeszcze jest fakt, że w moim artykule rozmyślnie popieram „konfederację” jako korzystniejsze rozwiązanie wewnętrznych problemów Związku Sowieckiego. W *Kulturze* natomiast znajdujemy „federację”, co zasadniczo zmienia moją myśl i moje intencje. W rzeczywistości bowiem konfederacja pociąga za sobą konstytucyjnie i prawnie swobodniejszą strukturę niż federacja — rozróżnienie to ma pewną polityczną wagę, dobrze znaną badaczom zagadnień konstytucyjnych.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

OD REDAKCJI

Listem z dnia 9 stycznia br. p. Marek Tabin zwrócił nam uwagę, że w numerze 4/499 (1989 r.) w artykule Grażyny Pomian i jego pt. „Emigracja z socjalizmu” popełniliśmy błąd w nazwisku p. *Anny Morawskiej*, której autorzy artykułu dziękowali za pomoc w opracowaniu ankiety *Kultury*. Przykro nam, ale niestety tego rodzaju błędy drukarskie czasem się zdarzają.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Cz.K.B., Kalifornia; E.M.N., Kolonia, RFN; Cz.J., Syracuse, USA; M.G., Paryż: — Nie zamieścimy.

W.Ch., Villemoble, Francja: — Pana monodram „Biedni święci” jest bardzo słaby, nie zamieścimy.

J.P., Francja: — Rozumiemy Pana obronę Józefa Mackiewicza, ale nie sądzimy, by było właściwe obrażanie tych, którzy go potępiają.

J.L., Polska: — Opowiadanie „Most nad Bodensee” jest bardzo słabe, nie zamieścimy.

A.S., Ridgewood, USA: — Pana list o polsko-litewskim i polskim problemie w ZSSR jest mało przejrzysty, nie wiadomo, o co Panu chodzi.

H.Z., Wrocław: — Nie sądzę, by Pana relacja o obozach sowieckich wniosła coś nowego. Nie reflektujemy na Pana opracowanie.

J.A., Vancouver: — Pana list jest dla nas zupełnie niezrozumiały. Nie rozumiemy, dlaczego Pan go przysłał do nas.

Tadeusz Walendowski, Bethesda, MD (USA), po raz 6-ty — \$ 50,00	F. 325,00
Lucie Wieczorek, Malmaison (Francja), po raz 8-my	F. 200,00
Wacław Winnicki, Cincinnati, OH (USA), po raz 12-ty — \$ 50,00	F. 325,00
Dr Stefan Wowczak, Isernhagen (RFN), po raz 10-ty	F. 200,00
W piątą rocznicę śmierci mego nieodżałowanego Małżonka, śp. Edwarda Puacza, założyciela księgarni „Polonia” w Chicago, istniejącej 20 lat, której jubileusz był uroczystie obchodzony w listopadzie 1989 r. — Mira Puacz — \$ 1.000,00	F. 6.650,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 52-gi	F. 390,00
Bezimiennie z Mediolanu po raz 27-my	F. 150,00

DZIĘKUJEMY!

A. Kowarska, Auckland (Nowa Zelandia): na Fundusz „Kultury”, po raz 8-my — \$ Aus. 15,00 dla syna Witolda Charłampa — \$ Aus. 10,00 razem \$ Aus. 25,00	F. 109,50
--	-----------

Andrzej Jakubiec, Brooklyn, NY (USA) — na walkę z komunizmem w Polsce — za m-ce styczeń i luty 1990 r. po \$ 50,00 — \$ 100,00	F. 665,00
--	-----------

Prof. William Hunt, Canton New York, NY (USA) — na Fundusz Daru Narodowego — \$ 50,00	F. 325,00
---	-----------

Na cele „Solidarności Walczącej” w Kraju — Przyjaciele z Phoenix, AZ (USA) — (nadesłał Tadeusz Pietrzak) — \$ 360,00	F. 2.358,00
--	-------------

Ewa Zając, Lausanne (Szwajcaria) — na apel Andrzeja Vincenza na Internat Liceum Ukraińskiego w Legnicy	F. 100,00
--	-----------

S. Zaremba, Bordentown, NJ (USA) — na zakup polskich książek dla Polaków na terenach ZSSR — \$ 31,00	F. 201,00
--	-----------

Zamiast kwiatów na grób śp. Zbigniewa Ruszczyca, b. żołnierza AK i więźnia łagrów sowieckich, zmarłego 1 stycznia 1990 r. w Szczecinie — Irena i dr W. Dowoyna Sylwestrowicz — na lekarstwa dla biednych w Polsce — \$ 75,00	F. 500,00
--	-----------

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 7504 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1990.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 2498-1990

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj.	Prenumerata	
	1/2-roczna	roczna

Ceny na rok 1990

AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 BL Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Flh 20,00	Flh 95,00	Flh 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszański, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; «Police Voice Publishing» Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. («Związkowiec»), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 10,00	\$ can. 50,00	\$ can. 98,00
NIEMCY: Renata Rosenbusch, Ludwig-Thoma-Str. 36, D-8025 Unterhaching. Tel.: (89) 611-36-57; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 14,00	DM 85,00	DM 160,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 135,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 346	K.S. 47,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 110 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 47,00	F. 260,00	F. 500,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 500; półroczna — F. 260.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 454 — PAWEŁ SMOLEŃSKI (T. JERZ)

POKOLENIE KRYZYSU

Obraz współczesnego pokolenia młodych Polaków.

Str. 136.

Cena F. 75,00.

TOM 456 — ZBIGNIEW BRZEZIŃSKI

WIELKIE BANKRUCTWO

Narodziny i śmierć komunizmu w XX wieku

Nowa książka Zbigniewa Brzezińskiego składa się z jego *Wstępu*, sześciu części: *Wielkie bankructwo. — Rozpad. — Odrzut organizmu. — Komunizm handlowy. — Kompromitacja praktyki. — Agonia komunizmu oraz Postowia.*

Str. 276.

Cena F. 145,00.

TOM 458 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘDZIESIĄTY PIERWSZY

zawiera opracowania: J. Trznadel: *Stan wojenny (czas generała)*; B. Druker: *Dwie rewolucje*; J. Ciechanowski: *Przystąpienie Anglii do wojny*; H. Godulski: *Na Zaolziu (1 maja 1945 — marzec 1947)*; Agata Tuszyńska: *Modlitewnik „na polskom jazykie”*; A. Suchcitz: *Sprawa nadania gen. Komorowskiemu Krzyża Komandorskiego orderu Virtuti Militari*; J. Kuropieska: *Jak kandydowałem na senatora*; K. Watanabe: *Notatka z rozmów z płk. dypl. Antonim Sanojczą, szefem I Oddziału KG AK*; M. Komar, K. Lang: *Myśmy już o tym mówili, proszę pana (wywiad z płk. Antonim Skulbaszewskim)*; *Jak Stalin rozpętał wojnę domową w Polsce w 1944 r.*; *Obóz koncentracyjny w Łambinowicach 1945-1946*; P. Wandycz: *In memoriam*; P. Wandycz: *Nowe książki*; R. Bubnicki: *Duch Orwella*; J. Korczak: *W kręgu legendy Rydza-Śmigłego*; T. Wyrwa: *Francuska misja wojskowa w Polsce w latach 1919-1932*; *Zb. Brzeziński o wizycie w Moskwie i Katyniu*; A. Skarbek: *Mój udział w wypadkach majowych 1926 r.*; N. Kozłowska: *Zakończenie batalii Aleksandra Tiplta o honor żołnierzy polskich spod Monte Cassino oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.

Cena 47 F